



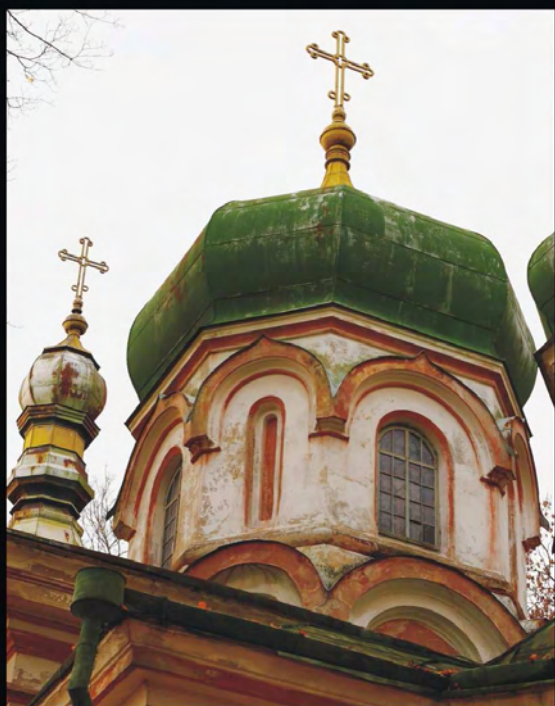
NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(8) 2009

ISSN 1898-1801





ZABYTEK Z OKŁADKI

Cerkiew prawosławna w Bończy z XIX w.
p.w. Matki Boskiej Pokrowskiej



Foto W.Kowiński

Spis treści	
Słowo redaktora 2	A. D. Misiura
Krasnostawskie podziemia - fakty i mity 3	Zbigniew Atras
Ziemiaństwo powiatu krasnostawskiego w okresie międzywojennym 7	Aleksandra Borzęcka
Ps. „Dzieciol” - konspiracyjne życie L. Majchrzaka 10	Daniel Piekarus
Wielki patriota, czy większy marzyciel? 14	Zbigniew Atras
Poezja 17	Stanisław Bojarczuk
Drewniana noga i Żelazny Krzyż 18	Leszek Janeczek
Poezja 18	Stanisław Bojarczuk
Wolność i Chleb 19	Kalikszt Szymonowicz
Jak wygląda woda? 21	Alicja Wiech
Zelżyj, po trzykroć zelżyj... 26	Andrzej David Misiura
Poezja 28	Andrzej David Misiura
Babińskie facecje 29	
Poezja 30	Jadwiga Demczuk, Marta Stręciwilk
Spód stopy kamyk 31	Adalbert Wojciszyn-Skowyrski
Poezja 31	Mariusz Kargul
We mnie zapach lata 32	Jan Henryk Cichosz
Poezja 33	Jan Henryk Cichosz
Jan Henryk Cichosz - szkic biograficzny 36	Dariusz Włodarczyk
Poezja 37	Edward Franciszek Cimek
Jan Henryk Cichosz - niezwykłe życie poety 38	Edward Franciszek Cimek
Poezja 39	Mariusz Kargul
Zaklinanie czasu 40	Urszula Gierszon
Magdalena Jakowska: poetka, pisarka i krytyk teatralny 41	Jadwiga Demczuk
Bryll słowieszczy 45	Henryk Radej
Mój przyczynek do Brylla 46	Andrzej David Misiura

Spis treści	
Poezja 46	Ernest Bryll
Dionizos przechodzi 47	Maurycy Witkowiak
Poezja 52	Piotr Kupczak
Tryptyk polanicki 53	Mariusz Kargul
Za garść euro 54	Zbigniew Masternak
Stare dziwki z mojej ulicy 62	Elżbieta Szadura-Urbańska
Apokryf znaleziony w jajeczku 64	Mariusz Kargul
Norwid - nowator sztuki 65	Tadeusz Polanowski
Pejzaż pogranicza 66	Agnieszka Szykuła
Poezja 67	Andrzej David Misiura
Opium władzy 67	Andrzej David Misiura
Stacja Trawniki - przystanek śmierci 68	Artur Borzęcki
Do Chaty zawiła Powiatowy Konkurs... 69	
Dni Złotego Karpia 70	Andrzej David Misiura
Biblioteka imienia Bojarczuka? 71	
Kilka form prezentacji Grupy A4 72	
Hiperseksualni, agresywni, monogamiczni 73	Elżbieta Szadura-Urbańska
Championy Mariusza 77	
Poezja 79	Stanisław Bojarczuk
Weekend w Bishop Hill 80	
Poezja 82	Ernest Bryll
Arborësch - zapomniana mniejszość etniczna... 83	Artur J. Katolo
Sen o Siennicy 86	Marek Kusiba
Księżyc, ludzie i słowa 87	Wiesław Krajewski
Poezja 90	Andrzej David Misiura



NR 2(8) 2009 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficina Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 082-576 6009,
Konfederacja NESTOR e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

„TangaGraf”, ul. Szymonowicza 29, Krasnystaw
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Gminy w Izbicy
Urząd Gminy w Krańcownicy



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Henryk Wróbel (skład i łamanie)
Stale współpracują:
Alicja Wiech
Mariusz Kargul
Dariusz Włodarczyk
Henryk Radej

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Postanawiamy corocznie przyznawać tytuł NESTORA i honorować laureata Orderem Nestorii w uznaniu wyjątkowych osiągnięć w dziedzinach artystycznych, społecznych lub naukowych. Nagradzać będziemy osoby, których działania miały znaczący wpływ na rzecz rozwoju, umacniania środowiska i poznawania historii ziemi krasnostawskiej.

Redakcja *Czasopisma Artystycznego Nestor*

Decyzją Redakcji *Czasopisma Artystycznego Nestor*, tytuł

NESTOR 2008

oraz

Order Nestorii

otrzymuje

dr Józef Zięba

za sukces odczytania z rękopisów kilkuset sonetów Stanisława Bojarczuka, przygotowanie ich do druku oraz

słowo redaktora



Jako miasto, Krasnystaw ma już 615 lat. Jest to oczywiście data umowna, ponieważ gród, zanim nadano mu prawa miejskie, istniał już co najmniej 200 lat. Miejscowość, jak na XII-XIII wiek, była niebagatelna, a zaświadcza o tym nie tylko kwitujące wówczas rzemiosło i handel, ale również obecność dwóch ośrodków wyznaniowych: kościoła i cerkwi.

Interesującym tematem są bogate miejskie podziemia, o których wspominałem w poprzednim numerze. Informacja wywołała sporo ostrych kontrowersji w krasnostawskim ratuszu, ale mam nadzieję, że wszelkie wątpliwości rozwiane zostaną po lekturze artykułu Zbigniewa Atrasa, wielkiego pasjonata lokalnej historii. Materiał ten otwiera serię opracowań dotyczących np. dziejów ziemiaństwa (Aleksandra Borzęcka), postaci Kajetana hr. Kickiego (Z. Atras), czy bohaterskiego partyzanta Leona Majchrzaka (Daniel Piekarski). Przeczytamy też fragmenty wspomnień więźnia obozu koncentracyjnego, świetnego pedagoga Kaliksta Szymonowicza i opowieść z czasów II wojny światowej ze zbiorów regionalisty - Leszka Janeczka.

Łamy Nestora, dzięki Henrykowi Radejowi, zaszczycił swoją obecnością Ernest Bryll. Znany polski poeta, wyrozumiały dla szczupłego budżetu redakcji, zrezygnował z honorarium. Wielkie dzięki, Mistrzu!

Nie zapomniał o nas w nowym miejscu pracy i zamieszkania, czyli we Włoszech Południowych, ks. prof. dr hab. Artur J. Katolo i przygotował specjalną korespondencję o losach Albańczyków w Kalabrii. Ze swoim reportażem o Bishop Hill dołączył też Wojtek z Illinois (USA), który z dumą mówi o sobie: *chłopak z Krasnegostawu*.

Interesujący i odważny wywiad z biologiem, filozofem, etologiem etc. dr Zuzanną Stromenger przeprowadza Elżbieta Szadura-Urbańska z Warszawy. Obok, w innej rozmowie, przedstawiony zostaje najlepszy na świecie trener koni arabskich Mariusz Liśkiewicz.

Dział poezji i prozy to tradycyjnie najobszerniejszy pakiet, który rozpoczyna jak zawsze pełen zaskakujących spostrzeżeń siódmy już esej, tym razem na temat wody, autorstwa Alicji Wiech, z cyklu *Pytania retoryczne*. Nieobojętnym wątkiem, także dla siennickiego Amatorskiego Teatru Pokoleń stanie się

Rzeczpospolita Babińska, której dzieje, za inspiracją dziennikarza Franciszka Piątkowskiego, pozwoliłem sobie fragmentarycznie przedstawić. Później kolejny wywiad, tym razem z literatką Magdaleną Jankowską (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich) prowadzi Jadwiga Demczuk, po czym tomik wierszy tej ostatniej recenzuje 60-latek, poeta Jan Henryk Cichosz, a o tomiku Cichosza z kolei pisze Urszula Gierszon - prezes Związku Literatów Polskich w Lublinie i Edward Franciszek Cimek (ZLP). Jak zawsze, spora grupa autorów zamieszcza recenzje książek, wiersze i prozę (m.in. Agnieszka Szykuła, Artur Borzęcki, Tadeusz Polanowski, Piotr Kupczak, Zbigniew Masternak, Maurycy Witkowiak).

Ofertę Nestora zamyka historia podboju kosmosu i wyprawa na Księżyc dokładnie sprzed 40 lat, której komentatorem prasowym w Nestorze jest Wiesław Krajewski.

Okładki, jak widać, ilustrują kraśniczyńską gminę, a w galerii jednego obrazu tym razem królują ikony i ich autorka Agnieszka Szykuła - redaktor odpowiedzialny Zamojskiego Kwartalnika Kulturalnego.

Aż mi skóra cierpieć, że mogłem nie wymienić wszystkich autorów, a jeszcze bardziej, że nie zdołałem zamieścić wszystkich nadesłanych artykułów. Kochani, spotkamy się w następnym numerze!

Andrzej David Misiura

PS A listy? Byłoby nieuczciwością o nich nie wspomnieć. Artur Daniel Liskowacki - pisarz, poeta i redaktor naczelny *Kuriera Szczecińskiego* nie zapomina o mieście swoich rodziców: *Każdy numer Nestora czytam z ciekawością, bo interesująco odślanianie Państwo krasnostawską przeszłość, a i nowinki śledzę. (...) Stawia Pan sobie ambitne cele, jako autor i wydawca, a że Krasnystaw mam wciąż w sercu, więc serdecznie Pana dopinguję w tej mierze!*

List trochę innej treści, ale też pełen sympatii i starej przyjaźni podpisał Zbigniew Strzałkowski - artysta plastyk, literat i zastępca redaktora naczelnego pisma *Lublin. Kultura i Społeczeństwo*. Zaskoczył mnie, wyrażając obawę: *Przesyłam Ci nasz ostatni numer Lublina..., oby nie był ostatni. (...) Andrzej, to co tworzymy ma wielki sens, nie daj się - twórz dzieła drukarskie!!!* Słowa te dotarły do mnie w pełni dopiero gdy poszukiwałem dobrodziejów niniejszego wydania.

Jestem przekonany, że oprócz Redakcji, Czytelnicy Nestora także pozdrawiają Was, Przyjaciele.

Zbigniew Atras

Krasnostawskie podziemia - fakty i mity

Przekazywana z pokolenia na pokolenie stara legenda głosi, że pod miastem Krasnymstawem rozciąga się gęsta sieć podziemnych lochów. Jest ona tak rozległa, że przebiega na kilku poziomach i, przechodząc pod Wieprzem, prowadzi do zamku w Krupem, a nawet do grobiska arińskiego w Krynicy. Najśmielsza, wręcz fantastyczna wersja legendy mówi o lochach ciągnących się aż do zamojskiej twierdzy, i tak obszernych, że między Krupem, Krasnymstawem, a Zamościem można było podróżować pod ziemią konno, bez wyjeżdżania na powierzchnię. Miejskie lochy służyły ochronie ludności w czasie wrogich najazdów i wojen. Niejednokrotnie ratowały mieszkańców Krasnegostawu i okolic przed pogromem. W okresach pokoju wykorzystywano je jako składy kupieckie i magazyny. Ich znaczenie było ogromne i doceniane, tak że stale utrzymywano je w należytym porządku i powiększano. Przez stulecia takich prac powstała rozległa sieć korytarzy, która utworzyła prawdziwy, podziemny labirynt. W latach 1667-1672 nastąpił kolejny okres rabunkowych najazdów tatarskich na Polskę, w tym na tereny ziemi krasnostawskiej. W ich wyniku w powiecie krasnostawskim zniszczono od 80 do 95% wsi królewskich i 65-70% - prywatnych. Grabiono i niszczone kościoły, dwory, pałace i miasta. Ostatni najazd przyniósł znaczne straty ludnościowe, ponieważ Tatarzy masowo brali jeńców w jasyr i uprowadzali na azjatyckie stepy. Legenda z tego okresu mówi, że w czasie walk o Krasnymstaw, którego załoga dzielnie broniła miasta i zamku, miejscowa ludność schroniła się w podziemnych korytarzach. Po zdobyciu miasta Tatarzy bezskutecznie uganiali się po domach w poszukiwaniu mieszkańców grodu. Wśród wojowników tatarskich wyróżniał się zwłaszcza młody, żądny sławy i bogactw Batu-bejowicz, daleki potomek słynnego Batu-chana, władcy Złotej Ordy. To on odkrył wejście do labiryntu podziemi, a pragnąc uznania i bogactwa tylko dla siebie, sam zszedł do lochów w poszukiwaniu jeńców. Jednak sieć korytarzy była tak gęsta, że zabłądził i nigdy z labiryntu nie wyszedł. Umarł w mękach, z głodu i pragnienia. Jego potępiona dusza do dzisiejszego dnia błąka się po labiryncie krasnostawskich podziemi. Szuka mieszkańców grodu. Słyszy odgłosy ich życia. Są blisko, na wyciągnięcie ręki, lecz nigdy nie znajduje właściwego korytarza prowadzącego do wyjścia. Szuka więc dalej, ciągnąc za sobą wory pełne skarbów znalezionych

w ciągu wieków w różnych skrytkach i zakamarkach lochów. Skarbów ukrytych lub porzuconych przez dawnych mieszkańców miasta. Zgromadzone bogactwa ciąży mu bardzo, spowalniając jego poszukiwania. Osłabiają i tak wątłe siły. Jednak żądza bogactwa zaślepia i zwycięża. Czasami późną nocą, w pobliżu dawnej studni na dziedzińcu Kolegium Jezuickiego, można usłyszeć rozpaczliwe zawodzenia w dziwnym, obcym języku. Są to prawdopodobnie głosy rozpaczliwego zagubionego Tatarzyna, wydobywające się gdzieś z głębin podziemnych korytarzy. Najstarsi mieszkańcy miasta powiadają, że dopóki nie znajdzie i nie weźmie w jasyr pięknej krasnostawianki, potępiona dusza Tatarzyna nie zazna spokoju. Dlatego prawdopodobnie krasnostawskie lochy są tak szczególnie zamknięte, a wejście do nich ukrywane w głębokiej tajemnicy. Tyle mówią legendy, a wracając do wydarzeń roku 1672 czyli tatarskiego najazdu na nasze ziemie, to walki zakończyły się pomyślnie. Właśnie z naszego miasta, z Krasnegostawu, 5 października 1672 roku Jan Sobieski podjął wyprawę na czambuły tatarskie, i na czele trzytysięcznej jazdy, w okolicach Lwowa odbił z tatarskiego jasyru 44 tysiące jeńców polskich.



A co z krasnostawskimi lochami? Czy istnieją naprawdę? Oczywiście, że istnieją. Nie wiadomo do końca, czy są tak rozległe i sięgają tak daleko, jak mówią legendy. Ale są i faktem jest, że następujące przed laty osunięcia gruntu w okolicach rynku, pęknięcia murów krasnostawskich kamieniczek spowodowane były zapadaniem się mas ziemi w istniejących podziemnych tunelach. Krasnostawskie podziemia należy podzielić na trzy główne obszary ich występowania. Pierwszy, chyba najstarszy, to obszar krasnostawskiego zamku, kościoła i klasztoru Augustianów. Zamek nie istnieje,

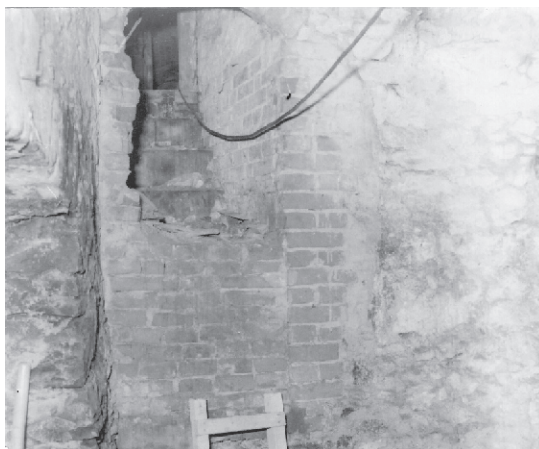
a jego teren nie został przebadany. Dalej czeka na swego odkrywcę. Z całą pewnością fundamenty zamku i jego podziemne lochy istnieją. Być może połączone są z podziemiemi zespołu augustiańskiego, z którym zamek stanowił najprawdopodobniej jeden wspólny system fortyfikacji. Klasztor augustiański jest w całości podpiwniczony i murowany z cegły. Układ piwnic ma podobną architekturę jak parter i piętro budynku. Wnętrze jest trzytraktowe z korytarzem na osi podłużnej, po bokach którego znajdują się ciągi pomieszczeń o sklepieniach kolebkowo-krzyżowych. Połowa piwnic od strony południowej, pod głównym skrzydłem klasztoru i refektarzem jest niedostępna, ponieważ wejście zostało zamurowane. Znajdują się tam krypty grobowe zakonników augustiańskich. Od północy korytarz zamyka odgałęzienie poprzeczne, w którym z jednej strony po stromych schodach można wyjść bezpośrednio na dawny dziedziniec klasztorny, a w drugą stronę odchodzi korytarz (obecnie zamurowany) o skośnym nachyleniu, prowadzący na wschód, w kierunku Wieprza. Najprawdopodobniej łączy się on z podziemiemi dawnego, augustiańskiego kościoła Świętej Trójcy i prowadzi dalej do lochów zamkowych, a być może także pod rzeką, na drugi brzeg Wieprza. Pod zachodnią częścią refektarza znajduje się oddzielna piwnica z osobnym wejściem z dawnego dziedzińca klasztornego. Augustiański kościół i klasztor oraz nieistniejący już zamek królewski to obiekty o dużym znaczeniu, które z reguły zawsze posiadały podziemia i sieć lochów. Wymienione budowle były masywne w murach, a ich podziemia także miały solidną, murowaną konstrukcję. Dlatego z całą pewnością należy przyjąć, że nawet po rozbiórce zamku, jego podziemia zachowały się, przynajmniej częściowo. Drugim obszarem, w którym zlokalizowane są krasnostawskie podziemia jest teren kościoła św. Franciszka, Kolegium Jezuickiego i dawnego placu Katedralnego z budynkiem seminarium i miejscem po nieistniejącym już kościele katedralnym Wszystkich Świętych. Najstarsze podziemia zlokalizowane są pod dawną katedrą. Na pewno zawierają krypty grobowe biskupów chełmskich i dobroczyńców kościoła. Podczas rozbiórki starych murów zrujnowanej katedry w roku 1810, podziemi z całą pewnością nie zniszczono, choćby ze względu na znajdujące się tam grobowce.

Ten obszar w większej części zajmuje obecna plebania. Nigdy nie został zbadany i jest raczej niedostępny. Być może do katedralnych katakumb prowadzi korytarz wychodzący z podziemi kolegium jezuickiego zlokalizowanych pod południowowschodnią częścią budynku. Jest to najstarszy zespół lochów, jakie są dostępne do zwiedzania w Krasnymstawie. Utworzyły go murowane z kamienia i cegły podziemia średniowiecznych kamienic miejskich, istniejących w tym miejscu przed 1690 rokiem. Na fundamentach tych kamienic zostały posadowione mury południowowschodniego skrzydła kolegium jezuickiego. W czasie restauracji kolegium, w latach 2007-08, lochy zostały wyremontowane i udostępnione do zwiedzania. Wejście do nich znajduje się w piwnicach zachodniego skrzydła kolegium, zajmowanych przez krasnostawskie muzeum. Podziemia przebiegają na dwóch poziomach pod południowym skrzydłem kolegium. Posiadają wiele nisz, zakamarków i przeważnie kolebkowe sklepienia. Przez jedno z pomieszczeń przebiega poprzecznie, murowany z cegły kanał wentylacyjno-ściekowy odprowadzający wody opadowe z wirydarza kolegium, prowadzący od starej studni, przez dawne mury miasta, w kierunku zachowanego muru południowego bastionu, w którym ma chyba swoje duże, owalne kształtu ujęcie. Wymieniony zespół podziemi składa się z dwunastu połączonych ze sobą piwnic, ułożonych dwupoziomowo. W ich ścianach widać kilka wyraźnych łuków świadczących o istnieniu przejść (obecnie zamurowanych) do kolejnych pomieszczeń, zarówno na pierwszym jak i drugim poziomie podziemi. Od wschodniego skrzydła kolegium, na drugim poziomie, odchodzi murowany z cegły tunel prowadzący pod budynek dawnego seminarium. Ma on długość kilkunastu metrów i został udostępniony tylko w części dobrze zachowanych murów.



Dalszy jego przebieg nie był sprawdzony i został zamurowany. Jednak wyraźnie zmierza w kierunku dawnej katedry. Podpiwniczona część zachodniego skrzydła kolegium jest dwutraktowa, z długim korytarzem i ciągiem pomieszczeń. Wygląd końcowej ściany korytarza od strony kościoła św. Franciszka świadczy o zamurowaniu jego dalszej części. Być może prowadziła ona do podziemi kościelnych, o których wiemy, że istniały i uległy zniszczeniu w dniu 21 maja 1849 roku, kiedy runęła kopuła kościoła, łamiąc posadzkę i zagruzowując istniejące podziemne krypty. W podziemiach świątyni pochowani byli jej fundatorzy i wielu jezuickich zakonników, między innymi wybitny heraldyk Kasper Niesiecki. Do zniszczonych krypt prowadziły także wejścia z wnętrza kościoła, znajdujące się przy bocznych ołtarzach (obecnie zamurowane) oraz przy ołtarzu głównym. Jak duża powierzchnia świątyni była podpiwniczona - nie wiadomo. Schodząc do podziemi kościoła wejściem przy głównym ołtarzu, widzimy ich początek i dwie zniszczone krypty grobowe. Dalsza część podziemi jest zagruzowana i niedostępna. Ciekawe piwnice istnieją pod budynkiem wzniesionym przez jezuitów, zwanym Pałacem Biskupim. Ich wygląd może świadczyć o wcześniejszym pochodzeniu. Być może stanowiły jakąś boczną część piwnic dawnej Bramy Krakowskiej. Czy podziemia kościoła, kolegium oraz starej katedry były połączone i czy łączyły się z podziemiami istniejącymi pod miastem - trudno powiedzieć.

Najciekawszym i najbardziej zagadkowym obszarem występowania systemu podziemi jest rynek. Początek jego zabudowy sięga końca XIV wieku. Wtedy powstawały gotyckie piwnice miejskich kamienic. Obecna zabudowa rynku pochodzi z XVII-XIX wieku i usadowiona jest na średniowiecznych piwnicach, które tworzyły system podziemnych lochów obejmujących teren całego rynku. W początkach lat 80. XX wieku (1982-84) prowadzono w Krasnymstawie na terenie północnej pierzei rynku górnicze prace ratownicze. Miały one na celu zabezpieczenie starych lochów i kamienic miejskich przed zawaleniem. Prace prowadzono pod naukowym kierunkiem i nadzorem Specjalistycznego Zespołu Akademii Górniczo-Hutniczej i profesora Zbigniewa Strzeleckiego. Brak wizji zagospodarowania krasnostawskich podziemi wśród ówczesnych władz miasta i województwa chełmskiego, a także nieuregulowane sprawy własnościowe doprowadziły do tego, że lochy północnej pierzei rynku zostały bezpowrotnie



stracone. Takie same prace prowadzono w tym czasie w Sandomierzu, Bystrzycy Kłodzkiej, Jarosławiu i Opatowie. Wszędzie tam system podziemi, po zabezpieczeniu, udostępniono jako podziemne trasy turystyczne. W Krasnymstawie stało się inaczej. Podziemne lochy północnej pierzei rynku zostały przebadane i zasypane. Szkoda, bo odkryto wiele piwnic różnej wielkości, najczęściej połączonych ze sobą systemem korytarzy i schodów. Sięgały one ponad 10 metrów głębokości i tworzyły system pomieszczeń na trzech, a nawet czterech poziomach. Piwnice i podziemne korytarze były obiektami murowanymi z kamienia i cegły, czyli posiadały solidną i trwałą konstrukcję, która miała służyć na długie czasy. O ile pierwszy poziom piwnic stanowił elementy przypisane do poszczególnych kamienic, to pomieszczenia i chodniki drugiego, trzeciego, a nawet czwartego poziomu stanowiły wspólny ciąg komunikacyjny, do którego należała większa część odkrytych lochów. W kilku miejscach istniały korytarze prowadzące w kierunku środkowej części rynku. Dwie piwnice odkopano przy budynku starego sądu. Prowadziły one w kierunku obecnego budynku PSS. Wykonywano też wiercenia do głębokości 16 metrów na terenie rynku. W ten sposób odkryto kilka nisz podziemnych, które także zasypano. Przeprowadzone prace zabezpieczyły rynek, a zwłaszcza jego północną pierzeję. Dzięki temu uzyskano trwałą stabilność gruntu i można było przeprowadzić remonty i odbudowę kamienic mieszczańskich tej części starego miasta. Całe szczęście, prace te tylko w niewielkim stopniu dotknęły pierzei wschodniej, południowej i zachodniej. Tworzące je kamienice znajdowały się w rękach prywatnych. Wiadomo, że tam także istnieją podziemne lochy. Badania rozpoznawcze

na tym terenie odkryły istnienie podziemnego korytarza w kamienicy Sobieskich (dawna „trzynastka”) prowadzącego w kierunku środka rynku. Taki sam tunel o długości kilkunastu metrów biegnie z kamienicy stojącej po zachodniej stronie ratusza. Duże nisze odkryto na skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Mostowej. Z wiadomych przyczyn, nie prowadzono badań w systemie piwnic i lochów znajdujących się pod byłym budynkiem UB. Pozostawiono ten temat przyszłym pokoleniom. Dla świętego spokoju zrezygnowano nawet z budowy w tym miejscu hotelu, a istniejące już plany odłożono na półkę. Wykonane odwierty nie potwierdziły istnienia dużych lochów pod rynkiem, które miały służyć jako podziemne stajnie. Ich opis z 1902 roku, autorstwa Wierzbowskiego, krasnostawskiego regionalisty, znajduje się w Bibliotece Łopacińskiego. Mówi on o wejściu do lochów odkrytym w murowanym parkanie podtrzymującym wzgórze, na którym stoi dom proboszcza. Wejście prowadzi do czworokątnej piwnicy, z której po lewej i prawej stronie odchodzą korytarze. Prawy korytarz prowadził w kierunku zamku i w dół, schodami o ośmiu stopniach, a po kilkuset krokach dochodził do szerokiego lochu. Tam miały znajdować się żłoby z drabinami, kowadła, młoty, porozrzucane podkowy, broń palna o bardzo długich lufach, pałasze, piki oraz łuk. Dalsza część korytarza prowadziła jeszcze kilkaset kroków, jak się wydaje w kierunku Wieprza, do miejsca, gdzie dzisiaj znajduje się most. Lewy korytarz odchodził w kierunku kolegium jezuickiego i po kilkunastu krokach zamknięty był żelaznymi drzwiami. Korytarz ten w części przechodzącej pod ulicą uległ zawaleniu i został zasypany. Czy pod krasnostawskim rynkiem istnieje jeszcze nadal podziemny labirynt korytarzy, oprócz tych odkrytych i zasypanych pod kamienicami północnej pierzei? Z całą pewnością. Przecież najstarsze i najbogatsze kamienice miasta stały właśnie na rynku. Jeżeli domy zbudowane na peryferiach, przy samym murze miejskim, na których fundamentach wzniesiono Kolegium Jezuickie, miały tak rozbudowane podziemia, to niby dla czego kamienice najbogatszych mieszczan krasnostawskich miałyby być ich pozbawione? Przecież właśnie najbogatsi kupcy i rzemieślnicy tworzyli ten system zabezpieczeń, wykorzystywany w czasie wojen, gdy ucieczka była jedynym sposobem uratowania życia. Miasto otaczały mury i tylko podziemne korytarze dawały szansę ratunku. Istnienie podziemi to nie przypuszczenie, ale pewność. Dopóki jednak nie zostaną podjęte prace na wzór tych wykonanych w kolegium, nie będzie

kolejnych dowodów. Kolejnych, bo przecież koronnym dowodem na istnienie krasnostawskich podziemi są właśnie odrestaurowane lochy Kolegium Jezuickiego. Lochy zbudowane nie przez jezuitów, ale przez poprzednie pokolenia krasnostawskich mieszczan.



Tak więc legenda o podziemiach nadal w dużej części pozostaje legendą. Czy kiedyś zostanie potwierdzona i udostępniona mieszkańcom w formie podziemnej trasy turystycznej? Miejmy nadzieję, że tak. Początek już został zrobiony w Kolegium Jezuickim. Oby dalsze części krasnostawskich podziemi zostały jak najszybciej odkryte, zabezpieczone oraz wyremontowane w czasie kolejnych prac rewitalizacyjnych starego miasta i tym sposobem zachowane dla potomnych.

Zbigniew Atras

Aleksandra Borzęcka

Ziemiaństwo powiatu krasnostawskiego w okresie międzywojennym

Międzywojenny powiat krasnostawski miał charakter wybitnie rolniczy. Na najżyźniejszych glebach usytuowane były majątki obszarncze, a w obrębie własności ziemskiej egzystowała stosunkowo duża liczba proletariatu wiejskiego: robotników rolnych oraz służby folwarcznej. We wschodniej części powiatu wielkie obszary ziemskie należały do hr. Potockiego (z majątkiem kluczowym w Bończy), natomiast zachodnia część była własnością hr. Zamoyskiego (z ośrodkiem w pobliskim Michałowie, na terenie przyległego powiatu zamojskiego).

Na początku XX w. liczba właścicieli ziemskich powiatu krasnostawskiego wynosiła około 50 rodzin. W okresie tym najwięcej majątków ziemskich znajdowało się w miejscowościach położonych w obrębie urzędu pocztowego Żółkiewka (24), natomiast najmniej w Izbicy (2). Przeważały wówczas pojedyncze majątki (37), choć niektórzy właściciele (11) mieli w posiadaniu po 2 majątki. Z analizy porównawczej danych z początku XX w. z danymi z końca 1929 r. wynika, że 9 właścicieli ziemskich zachowało w posiadaniu ten sam majątek. Wśród tych właścicieli, którzy gospodarowali przeszło 20 lat w jednym miejscu byli: Józef Florkowski (Fajstławice), Juliusz



Juliusz Florkowski

Florkowski (Wygnanowice), August Janisławski (Celinin, Wola Żółkiewska), Wacław Kiwerski (Wierzbica), Antoni Mazurek (Bzite), Hugon Radziejowski (Wola Studziańska), Władysław Rzurowski (Płonka), Feliks Smorczewski (Stryjów) oraz Jan Smorczewski (Żdżanne).

W 1929 r. liczba właścicieli ziemskich wzrosła w porównaniu z początkiem XX w. i na terenie powiatu mieszkały 92 takie rodziny. Największa liczba dóbr ziemskich znajdowała się na terenie gminy Żółkiewka (11), w pozostałych gminach: Rudnik i Siennica Różana (10), Rybczewice (9), Czajki (8), Gorzków (7), Fajstławice, Wysokie i Turobin (6), Krasnystaw i Izbica (5), Łopiennik i Zakrzew (4). Najmniejsza liczba majątków znajdowała się w najmłodszej, ustanowionej w 1929 r. gminie Tarnogóra (1).

Właścicielami największych obszarów ziemskich byli: Antoni Potocki - Bończa (2 059 ha), Zygmunt Skolimowski - Surhów (1 660), Karol Raczyński - Kraśniczyn (1 403), August Janisławski - Wola Żółkiewska (1 315), Icał Margules - Tarzymiechy (1 067) oraz Karol Stokowski - Oleśniki (1 021). Spośród posiadaczy ziemskich, najmniejszymi dobrami dysponowali: Józef Ostrowski - Jaślików (53), Antoni Mazurek - Bzite (55) oraz Jan Wasilewicz - Olchowiec (58). Niektórzy właściciele ziemscy z terenu powiatu krasnostawskiego posiadali majątki również w innych powiatach Lubelszczyzny, a nawet w innych województwach. Spośród takich posiadaczy wymienić należy m.in. Stanisława Huskowskiego, który oprócz dóbr Czernięcin Główny, dzierżawionych od Ordynacji Zamojskiej, posiadał również majątek Sułowiec (gm. Sułów) w powiecie zamojskim. Dobra ziemskie w różnych województwach posiadali m.in.: Jerzy Koszarski, który oprócz dóbr Siennica Różana (odkupił je w 1928 r. od Lubomirskich), miał także majątek Wólka Brodnicka, położony na terenie województwa poleskiego. Główną siedzibą hr. Karola Raczyńskiego, właściciela dóbr Kraśniczyn, był majątek Złoty Potok w powiecie częstochowskim, w województwie kieleckim.

Rola ziemiaństwa krasnostawskiego w latach 1918-1939 sprowadzała się przede wszystkim do działalności społecznej wśród miejscowej ludności. Na tym polu właściciele majątków ziemskich powiatu wykazywali duże zaangażowanie. Przede wszystkim ich działalność widoczna była w podnoszeniu poziomu intelektualnego, jak i gospodarczego ludności wiejskiej, zamieszkującej ziemię krasnostawską. Aktywność ta wynikała m.in. z posiadanego wykształcenia, przeważnie w dziedzinie rolnictwa. Wielu ziemian krasnostawskich kształciło się na uniwersytetach zagranicznych, jak choćby w Rydze, Belgii, Lipsku, Wiedniu czy też w Taborze (Czechy). Nabyta tam

i pogłębiania fachowej wiedzy ułatwiała prowadzenie nowoczesnych gospodarstw rolnych. Ziemianie ci, jak m.in. Leon Joachim Epsztajn, Stanisław Huskowski, Kazimierz Janisławski, Tadeusz Kielczewski (właściciel Guzówki), Tomasz Wattson (właściciel Borowa), Henryk Radomyski posiadali tytuły inżynierów rolników. Dzięki specjalistycznej wiedzy, byli dla okolicznych chłopów przykładem dobrych gospodarzy i służyli miejscowej ludności chłopskiej fachową poradą w tej dziedzinie, jak choćby Tadeusz Fleszyński



(właściciel Maszowa), który w czasie jednolitego kursu hodowlanego w Płonce prowadził wykłady dla okolicznych chłopów. Zaangażowanie właścicieli ziemskich w działalność społeczną wynikało z nakreślonego przez nich programu, przede wszystkim wynikającego z ideologii ziemiańskiej. Ludność chłopską łatwo było do siebie przyciągnąć, chociażby poprzez składanie przez posiadaczy obietnic wypełniania pewnych obowiązków społecznych. Niektórzy ziemianie odgrywali rolę społeczników, dla których działalność obywatelska i gospodarcza stanowiła rację bytu. Wielu właścicieli ziemskich poczuwało się do obowiązku podnoszenia poziomu wykształcenia ludności wiejskiej czy też poziomu kultury rolnej, jak również stanu zdrowia i obyczajowości wsi. Poprzez włączanie się do życia gmin wspólnie z zamożniejszym chłopstwem, a także inteligencją, dążyli do niwelowania różnic społecznych na wsi. Działania mające na celu szerzenie oświaty we wsiach powiatu krasnostawskiego umożliwiała współpraca obszarników z duchownymi, miejscowymi nauczycielami czy też przedstawicielami rad gminnych. Dzięki połączeniu tych sił na terenach wiejskich powstawały szkoły, początkowo jednoizbowe, ale wraz z napływem dzieci w wieku szkolnym, stopniowo uzyskiwały więcej pomieszczeń dla celów edukacyjnych. Lokale takie,

jak i place pod budowę przyszłych szkół udostępniali miejscowi ziemianie, jak: Leon Epsztajn, Kazimierz Chrościechowski, Emilia Bojarska i in. W celu kształcenia dzieci wiejskich w powiecie krasnostawskim powstawały także czytelnie i biblioteki ludowe, których inicjatorem był m.in. Juliusz Florkowski, właściciel Wygnanowic. Florkowski, były poseł do dумы państwowej, znany nie tylko w powiecie, ale na całej Lubelszczyźnie, działał w ziemiańskich organizacjach rolniczych, pełnił też funkcję komisarza w wyborach do Rady Stanu w 1918 r. W składzie Powiatowej Komisji Szkolnej zasiedli w 1925 r. wybrani przez sejmik powiatowy w Krasnymstawie posiadacze ziemscy, w osobach Tadeusza Fleszyńskiego oraz Henryka Radomyskiego.

Często z inicjatywy posiadaczy ziemskich (jak na przykład Tadeusza Fleszyńskiego) na ziemi krasnostawskiej powstawały spółdzielnie mleczarskie, które przyczynić się miały do podniesienia stanu gospodarczego wsi. Dzięki takim zabiegom w 1926 r. powiat znalazł się na pierwszym miejscu w województwie lubelskim pod względem wysokości sum wypłacanych miejscowym gospodarzom za mleko.

Dwory ziemiańskie w powiecie krasnostawskim były nie tylko warsztatami produkcji rolniczej, ale również stanowiły one pewnego rodzaju „instytucje opieki i pomocy”. Często właścicielki majątków ziemskich, bądź żony właścicieli, posiadały umiejętności pielęgniarskie, dlatego też służyły pomocą nie tylko mieszkańcom dworu, ale również ludności wiejskiej potrzebującej pomocy. Sytuacja taka miała miejsce m.in. w majątku Orchowiec w gminie Gorzków, gdzie ludność chłopska przychodziła do „pani dziedziczki” przede wszystkim po pomoc lekarską.

We wsiach powiatu krasnostawskiego autorytetem był nie tylko dziedzic, ale również miejscowy proboszcz. Obie te grupy społeczne (posiadacz ziemski i przedstawiciel duchowieństwa) współpracowały ze sobą poprzez wspólny udział chociażby w Akcji Katolickiej. Akcja ta, która była jednym z elementów programu społecznego ziemianstwa polskiego, miała na celu „współdziałanie z Kościołem nad podniesieniem kultury chrześcijańskiej narodu”. Środkami do osiągnięcia tego celu był m.in. powszechny udział ziemianek i ziemian oraz młodzieży ziemiańskiej w Oddziałach Stowarzyszeń Męskich, Żeńskich Młodzieży Katolickiej, jak również współdziałanie w pracach zarządów parafialnych, dekanalnych, diecezjalnych, a także wykonywanie zaleceń powyższych zarządów. Ważną rolę stanowił stosunek rodzin ziemiańskich do wiary, jak i związki dworu z Kościołem. Społeczność wiejska

odbierała to jako znak, że dziedzic godny jest szacunku, gdyż finansuje kościół, a religia stanowi dla niego istotną sferę życia. Stosunki właścicieli ziemskich z duchowieństwem na wsiach układały się zazwyczaj dobrze. Księża na ogół zgadzali się z ziemiaństwem w sprawach społecznych i politycznych. Duchowni, jak i obszarnicy, bywali zwolennikami przeważnie tych samych opcji politycznych. Ziemiańskie angażowali się w życie społeczności parafialnej. Przeważnie uczestniczyli oni w Radach Kościelnych. W zarządzie Rady Kościelnej w Fajstławicach w styczniu 1929 r. oprócz ks. Floriana Gąsiorowskiego, który był jej prezesem z urzędu, znaleźli się także Wojciech Michalski, właściciel majątku Suchodoły, którego wybrano na zastępcę prezesa rady. Obszarnicy byli również kolatorami, działali w Akcji Katolickiej, nieśli pomoc biednym, finansowali ochronki, które prowadziły zakonnice, fundowali obrazy.

Dwór czy pałac posiadał również istotne znaczenie z innego powodu - był elementem dyscyplinującym okolicę pod względem krajobrazowym, jak i estetycznym. Posiadacze ziemscy zamieszkujący dwory w danej wsi często inicjowali wytyczanie dróg, obsadzanie drózek i alejek drzewami. Zewnętrzne otoczenie siedzib ziemiańskich było wzorem dla miejscowych chłopów w kwestiach urządzania oraz dbałości o własne gospodarstwa. Dwór ziemiański utrzymywał w ten sposób rytm dobrej pracy.

Właściciele ziemscy posiadali swoją odrębną kulturę i swój własny świat, co automatycznie powodowało wzrost prestiżu ziemiaństwa nieodłącznie wiążącego się z dążeniem do wyróżniania się. Najczęściej wyrażało się to w istnieniu okazałych i dobrze zagospodarowanych posiadłościach, bogatych bibliotekach, kolekcjach obrazów czy porcelany. Prestiż ułatwiał obszarnikom penetrowanie przede wszystkim działalności gospodarczej oraz społecznej, gdyż pozwalał on, w razie konieczności, na praktyczne wykorzystanie znaczenia nazwiska posiadacza z zamiarem zrealizowania własnych celów.

Ziemiańskie powiatu krasnostawskiego nie tylko współpracowali ze sobą na polu działalności w środowisku lokalnym, ale również utrzymywali kontakty nieformalne, przyjaźnili się i regularnie odwiedzali się w swych posiadłościach. Wśród znajomych ziemian oraz dalszych krewnych, którzy przebywali np. u Epsztajnow w Pilaszkowicach najczęściej można było spotkać: Florkowskich z Fajstławic i Rybczewic, Hemplów z Nowin, Janisławskich ze Średniej Wsi i Woli Żółkiewskiej, Kałużyńskich z Olszanki, Koszarskich z Siennicy Różanej, Lipińskich z Piask Szlacheckich, Plewińskich z Orchowca i Wielkopola, Potockich z Bończy, Rzewuskich z Borku, Starnawskich (dzierzawców z Guzówki), Suchodolskich z Mościsk, jak również Thonnesów z Ostrzycy.

Warto zaznaczyć, że właściciele ziemscy powiatu krasnostawskiego odegrali istotną rolę podczas II wojny światowej. Wielu z nich wzięło udział w obronie ojczyzny zagrożonej najazdami: niemieckim i sowieckim. W kampanii wrześniowej udział wzięli m.in.: Teodor Suchodolski (z majątku Wielkopole), który prawdopodobnie zginął w dawnych Prusach Wschodnich podczas walk z Niemcami, Adam Radomyski (z majątku Rońsko), który był w tym czasie dowódcą baonu w Grupie „Żółkiew”, a także Tomasz Suchodolski (syn właściciela Mościsk), który należał do szwadronu ckm. Do Armii Krajowej w czasie II wojny światowej należał m.in. właściciel dóbr Piaski Szlacheckie, Stefan Lipiński, który był oficerem obwodu AK nr 633.

Dwory ziemiańskie powiatu krasnostawskiego podczas wojny stanowiły miejsce schronienia dla rodziny, krewnych, znajomych, a także uciekinierów z Polski Centralnej i Zachodniej. U właścicieli Pilaszkowic schronienie znalazła ziemiańska rodzina Hemplów z Nowin, Koszarskich z Siennicy Różanej, a także spora część wojska polskiego. Dwór Władysława Smorczewskiego stanowił miejsce kryjówki dla wielu członków bliższej, jak i dalszej rodziny oraz członków ruchu oporu. Schronienie znaleźli tu m.in.: Zofia hr. Skarbek z synami, Zofia hr. Łoś z synem, ciotka Smorczewskiego Róża hr. Skarbek oraz siostra żony właściciela Stefania Skupińska i Maria Obertyńska. Ponadto Władysław Smorczewski przez cały okres okupacji pomagał osobom prześladowanym, biorąc m.in. aktywny udział w akcji wywożenia ludności polskiej z obozu na Majdanku w 1942 r. Pozostawał w kontakcie z „Marianem”, dowódcą AK na okręg lubelski. Wspierał również finansowo i żywnościowo partyzantów, a także pomagał Żydom (paczki oraz fikcyjne zatrudnienie). W majątku Łopiennik, własności Jerzego i Ireny Kochanowskich, ukrywało się wielu ludzi związanych z podziemiem. Wśród nich znaleźli się m. in. Aleksander Wyroślak „Żegota”, który w zamian za kryjówkę pomagał właścicielowi w gospodarstwie czy Żyd ukrywany na poddaszu obory. Majątek Łopiennik w latach 1943-1944 był bazą oddziałów partyzanckich Armii Krajowej, które zaopatrywały się w nim w zboże, podwody oraz inwentarz. Oprócz udzielania schronienia potrzebującym, Jerzy Kochanowski organizował Wojskową Służbę Ochrony Powstania jako inspektor powiatowy. Obecny był również w paramilitarnej organizacji ziemian o nazwie „Uprawa”, współpracował z innymi właścicielami ziemskimi, jak na przykład z Wincentym Jankowskim, który finansował działalność tej organizacji. Ziemiańskie pomagali ludności, ale i sami ponosili najwyższą ofiarę. W ramach szerszej

akcji w Pilaszkowicach w dniu 4 czerwca 1940 r. aresztowany został przez Niemców Leon Epsztejn. Tego samego dnia jego los podzielili trzej inni właściciele ziemscy: Kazimierz Janiński, Józef Janiński oraz Stanisław Huskowski. Wyżej wymienionych ziemian umieszczono w chełmskim więzieniu i w nocy z 3 na 4 lipca 1940 r. rozstrzelano w Kumowej Dolinie koło Chełma. Podobny los spotkał Tomasza Kiełczewskiego z Guzówki, którego żandarmeria niemiecka aresztowała w lipcu 1940 r. za udział w partyzantce AK. Kiełczewski został rozstrzelany bez wyroku sądowego w lasach niedaleko Suśca pod Tomaszowem Lubelskim. Jerzy Korczak z Baranicy, po aresztowaniu przez Niemców, osadzony został na Majdanku, gdzie zmarł na tyfus w 1943 r. Prawdopodobnie w tym samym roku w Oświęcimiu zginął Tomasz Wattson z Sobieskiej Woli. W więzieniu na Zamku Lubelskim w lutym 1942 r. osadzony został Henryk Radomyski z dóbr Rońsko. Po dwóch miesiącach aresztu został zamordowany przez Niemców.

II wojna światowa oraz reforma rolna w 1944 r. przyniosła wiele strat ziemianom i ich dworcom. Przykładowo majątek Plewińskich w Wielkopoli przejęła po wojnie szkoła podstawowa oraz „Samopomoc Chłopska”, natomiast dwór w Orchowcu, pomimo że został zaliczony do zabytków klasycystycznych, został całkowicie rozparcelowany w ramach powojennego ustroju PRL. Parcelacji poddał swój majątek Stefan Lipiński, który, uciekając przed ścigającymi go Rosjanami po 1945 r., podzielił dobra Piaski Szlacheckie pomiędzy mieszkańców wsi. Okres II wojny światowej przyniósł ostateczną likwidację wielkiej własności ziemskiej oraz warstwy ziemiańskiej jako grupy społecznej. Proces degradacji ziemian, który rozpoczęli okupanci niemieccy i radzieccy w 1939 r., zakończyła ze względów klasowych nowa władza państwa polskiego.

Aleksandra Borzęcka

Piśmiennictwo (27 pozycji) do wglądu w redakcji „Nestora”.

CZASOPISMA NADESŁANE

Egeria. Pismo Literacko-Artystyczne, nr 1(11) 2009, ss. 56;

Lublin. Kultura i społeczeństwo, nr 1(24) 2009, ss. 82;

Daniel Piekaruś

Ps. „Dzięcioł” - konspiracyjne życie Leona Majchrzaka

Okres w historii Polski przypadający na lata 1939-1956, mimo że stosunkowo nieodległy, paradoksalnie nie jest dogłębnie zbadany i udokumentowany. Działania militarne w ramach tzw. wojny obronnej we wrześniu 1939 r., niemiecka okupacja, a następnie długi okres stalinowskiego terroru, dokonał niewyobrażalnych zniszczeń zarówno w dokumentacji aktowej, a zwłaszcza w psychice i pamięci naocznych świadków. Władza komunistyczna skutecznie wymazywała pamięć o dążeniach niepodległościowych narodu polskiego, o państwie podziemnym, o działalności partyzanckiej Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich czy Narodowych Sił Zbrojnych. Komuniści masowo aresztowali i skazywali członków zbrojnego podziemia, członków opozycyjnych partii politycznych (PSL, PPS-WRN), rekwirowali archiwa tychże organizacji, a wszystko po to, aby zniszczyć wspomnienia o bohaterach, którzy w większości i tak pozostali bezimienni. Ziemia krasnostawska też miała swoich bojowników, o których powoli zaczyna się wspominać. Niestety, permanentny strach przed mówieniem prawdy o autentycznej historii narodu polskiego, który tylko teoretycznie ustąpił wraz z tzw. „obaleniem komuny” sprawił, że bardzo trudno udokumentować wiele wydarzeń, które w formie opowiadań przekazywane były przez odchodzące już pokolenie.



Leon Majchrzak

Jednym z mniej znanych członków krasnostawskiego podziemia niepodległościowego był Leon Majchrzak ps. „Dzięcioł”, który urodził się 14.05.1914 r. w miejscowości Włochy koło Warszawy. Na teren powiatu krasnostawskiego trafił w czasie okupacji hitlerowskiej, gdzie działał w strukturach Armii Krajowej (Kedyw) pod konspiracyjnym ps. „Wierzba”. Prawdopodobnie jego zadaniem było wykonywanie wyroków śmierci z ramienia AK, zwłaszcza na współpracownikach gestapo. Po wojnie przeszedł do konspiracji, walcząc tym razem z reżimem komunistycznym. W grudniu 1944 roku został zatrzymany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Za działalność w „nielegalnej organizacji” AK, uchylanie się od służby w Wojsku Polskim oraz posługiwanie się fałszywymi dokumentami na nazwisko Woźniak, został osadzony na Zamku w Lublinie. Udało mu się zbiec z więzienia dzięki pomocy wartowników. Prawdopodobnie 13 lutego 1945 roku otrzymał od nich broń i uwalniając ok. 20 więźniów, uciekł do Gorkowa. (Zofia Leszczyńska w swojej książce pt. *Ginę za to, co najgłębiej człowiek ukochać może*, powołuje się na dokumentację Centralnego Archiwum Wojskowego (CAW, III - 436, 4, nr 90) i stwierdza, że Leon Majchrzak został skazany na karę śmierci, którą Najwyższy Sąd Wojskowy zamienił na 10 lat więzienia. Według Leszczyńskiej, Majchrzak uciekł z Zamku w nocy z 18 na 19 lutego 1945 roku - dop. D.P). Następnie cały czas funkcjonował w konspiracji, po czym związał się z lokalnymi strukturami Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Dowodził niewielką grupą zbrojną, jednakże po potyczce z krasnostawską „bezpieką” (podczas której postrzelił funkcjonariusza Albina Kozła), musiał opuścić powiat krasnostawski. Nie skorzystał też z ustawy o amnestii i ukrywał się na terenach woj. rzeszowskiego, a następnie osiadł w Szczecinie, gdzie w latach 1949-1950 pracował jako majster w firmie „Mostostal” przy budowie mostu na Odrze. Do Krasnegostawu powrócił dopiero jesienią 1951 roku. W tym czasie trwał konflikt zbrojny na terenie Półwyspu Koreańskiego (1950-1953) pomiędzy komunistycznymi siłami północnokoreańskimi wspieranymi przez wojska ChRL a ONZ, który dał mu złudną nadzieję na wybuch III wojny światowej, na którą bardzo liczył. Była to ostatnia szansa dla resztek działających jeszcze oddziałów zbrojnego podziemia, którym „komunistyczna ojczyzna” mogła zaoferować jedynie wieloletnią katorgę lub śmierć. W tym okresie Majchrzak postanowił po raz kolejny zorganizować grupę zbrojną, przy pomocy której chciał przeczekać ten trudny okres.

„Bezpieka” natychmiast podjęła kroki w celu likwidacji Majchrzaka, lecz oficjalnie sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Gady” założono dopiero 21 lipca 1953 roku. Jednocześnie powołano specjalną grupę operacyjną złożoną z pracowników UB i MO oraz powiększono stan osobowy posterunków MO wszędzie tam, gdzie istniała możliwość realnej walki z grupą „Dzięcioła”. Najważniejszą kwestią dla „bezpieki” było pozyskanie maksymalnie dużej liczby agentów-informatorów, którzy doprowadziliby do współpracowników Majchrzaka. Wstępnie ustalono, że członkami grupy byli przeważnie starzy koledzy z czasów okupacji: „Z analizy posiadanych materiałów wynika że, w/w figuranci jest to element w większości skompromitowany przynależnością do b. org. AK, wywodzący się z elementu kułackiego, który jest zdecydowanie wrogo ustosunkowany do obecnej rzeczywistości i z ideą tą walczył przez okres okupacji, po wyzwoleniu, aż do obecnej chwili” (AIPN Lu, sygn. 08/68, k. 19). Funkcjonariusze UB przesłuchali gros osób, które podejrzewano o współpracę z „bandytą” (tym niewyszukanym epitetem ówczesna propaganda komunistyczna określała osoby, które czynnie przeciwstawiały się nowej władzy). Szybko ustalono, że do grupy „Dzięcioła” należeli wówczas: Czesława Antoniak - nieformalna narzeczona „Dzięcioła” i jej brat Stanisław, Henryk Bojarczuk, Stanisław Bojarczuk, Stanisław Chwał, Stanisław Miszczak, Kazimierz Parada, Jan Piętał oraz sporadycznie - Kazimierz Waręcki. Paradoksalnie, w środowisku byłych żołnierzy AK i BCh udało się zwerbować kilku cennych informatorów UB m.in.: „Cichego”, „Czeka” czy „Raka”. Szczególnie „Rak” (przedwojenny policjant, a następnie członek Kedywu AK, bardzo dobry znajomy „Dzięcioła”) był bardzo skory do współpracy z „bezpieką”. To właśnie on przestrzegał funkcjonariuszy UB przed „Dzięciołem” stwierdzając, że „[...] Leonek, ps. „Dzięcioł” to jest straszny, bo on zawsze bije z dwóch pistoletów i jest bardzo sprytny [...]” (AIPN Lu, sygn. 016/971, k. 16). Mieszkańcy Kolonii Krakowskie Przedmieście, Krakowskiego Przedmieścia i Niemienic, gdzie najczęściej ukrywał się Majchrzak, potwierdzali podczas przesłuchań słowa „Raka”. Funkcjonariusze UB próbowali odtworzyć życiorys „Dzięcioła”, jednocześnie szukali ewentualnych materiałów, które kompromitowałyby jego osobę. Prowadzone mozolnie śledztwo wykazało, że podczas okupacji hitlerowskiej Leon Majchrzak wraz z Józefem Waręckim zlikwidował m.in. dr. Szpryngera [Szpringera], który odmówił pomocy materialnej na

działalność konspiracyjną. Doktora Szpryngera opisał w swoich wspomnieniach Stanisław Lisik, według którego Szprynger wywodził się z zamojskich osadników niemieckich. Prowadził gabinet lekarski w Krasnymstawie i cieszył się uznaniem lokalnej społeczności. Podczas okupacji rzekomo podjął współpracę z Niemcami. Jednakże Lisik twierdzi, iż wyrok śmierci miał wykonać członek AK - Pudełko (S. Lisik, *Czerwone opłotki*, Warszawa 1971, s. 119). Według zeznań członka grupy „Dzięcioła” - J. Piętała, Majchrzak i Warecki mieli w tym okresie jeszcze jedną misję do wykonania. Prawdziwym celem ich wyjazdu do Krasnegostawu było wykonanie wyroku śmierci na jednym z członków Policji Kryminalnej, którego jednakże nie zastali. Prawdopodobnie w drodze powrotnej natknęli się na patrol niemiecki, z którym doszło do wymiany ognia. W wyniku strzelaniny dwóch Niemców zostało zabitych. „Leonek” z raną postrzałową w okolicy piersi został przetransportowany do zabudowań Józefa Perestaja w Kol. Krakowskie Przedmieście, u którego powracał do zdrowia.

Według ustaleń „bezpieki”, powojenna działalność Majchrzaka skierowana została głównie przeciwko funkcjonariuszom UB, MO, członkom PPR oraz pomocnikom do spraw reformy rolnej. Majchrzak jawnie opowiedział się przeciwko politycznej hegemonii komunistów jak i powszechnej kolektywizacji rolnictwa. O jego postawie antykomunistycznej dobitnie świadczy likwidacja 5 marca 1945 roku, sekretarza GK PPR w Gorzkowie - Franciszka Króla oraz członka PPR i Samopomocy Chłopskiej - Piotra Bochniaka. Do zabójstwa przyznał się sam Majchrzak, twierdząc że zrobił to w asyście Franciszka Jawora ps. „Sęp”. Potwierdzając powyższe fakty, „Dzięcioł” publicznie oznajmiał, że „[...] każdego PPR-owca będą strzelać” (AIPN Lu, sygn. 016/971, k. 99). „Leonek” zastrzelił też funkcjonariusza MO - Edwarda Majkuta, który próbował wylegitymować go w restauracji u Adolfa Klimka w Gorzkowie. Jednakże, funkcjonariusze UB odstąpili od dogłębnej analizy przeszłości „bandyty”, aby nie zdekonspirować obecnie prowadzonych czynności operacyjnych.

Nowa grupa Leona Majchrzaka działająca w latach 1951-53, której skład już przedstawiono, miała nieco inne oblicze, o bardziej rabunkowym niż politycznym charakterze. Praktycznie cały czas dokonywali zbrojnych napadów na okoliczne spółdzielnie (GS), co umożliwiło im dalszą konspiracyjną egzystencję. Najbardziej zuchwałe rabunki miały miejsce w Latyczowie. Pierwszego dokonano w dniu 26 marca 1953 roku, kiedy to Majchrzak, Bojarczuk i Parada dostali się do środka budynku spółdzielni przez wykuty w ścianie otwór. Kolejny napad został dokonany osiem miesięcy później, bo dopiero 26 listopada 1953 roku.

Po wejściu do sklepu położono wszystkich na ziemię, po czym ludzie „Leonka” zaczęli pakować towar do sienników i worków po uprzednio wysypanej kaszy. Podczas napadu wszedł do sklepu Jan Sobstyl (członek PZPR i przewodniczący GRN), który, myśląc że to żart, chwycił za lufę wymierzonego w siebie automatu i zaczął siłować się z jednym z ludzi Majchrzaka. Momentalnie został wciągnięty do wnętrza budynku, uderzony odważnikiem wagowym w głowę i ciężko pobity. Po dokonaniu kradzieży „Dzięcioł” rozdał uwięzionym w sklepie ludziom po litrze alkoholu, dodatkowo rzucając na środek sklepu papierosy i cukierki, rozkazał pić i palić. Po zamknięciu sklepu z cywilami w środku, grupa „Leonka” oddaliła się w kierunku pobliskiego lasu. Prawdopodobnie jeszcze w październiku 1952 roku, S. Bojarczuk dokonał napadu rabunkowego na Władysława Pacana (sołtysa w Majdanie Krzywskim), za co został zatrzymany w dniu 11 maja 1953 roku. W obawie przed dekonspiracją, grupa postanowiła ukrywać się w lesie. Podejrzewano, że Bojarczuk może załamać się w trakcie śledztwa i wydać współtowarzyszy. Jednakże po dwóch tygodniach, podczas wykonywania rutynowych prac gospodarskich udało mu się zbiec z aresztu KPMO w Krasnymstawie (27.05.1953 r.).

Po wspomnianych napadach „bezpieka” podjęła kroki mające pozbawić grupę „Dzięcioła” ideologicznego tła. Społeczności powiatu krasnostawskiego próbowano przedstawiać Majchrzaka i jego ludzi jako pospolitą bandę rabunkową, która, nie mogąc pogodzić się ze zmianami ustrojowymi w kraju, zastrasza ludność cywilną. Świadczyć o tym miały dodatkowo następujące napady na Gminne Spółdzielnie m.in.: w Piaskach (13.10.1953 r.), w Niemienicach (12.11.1953 r.), we wspomnianym już Latyczowie (26.03. i 26.11.1953 r.), w Krasnem (16.12.1953 r.) czy w Wólce Orłowskiej (17.12.1953 r.). Grupa dokonała też licznych napadów na osoby prywatne m.in.: na domostwo Olecha w Widniówce (12.01.1953 r.) czy Apolinarego Rzepkę - młynarza z Zastawia (15.06.1953 r.). Majchrzak, wiedząc że UB gromadzi informacje oraz wysyła za nim patrole ORMO, postanowił „unieszkodliwić” co aktywniejszych funkcjonariuszy „resortu”. W nocy prawdopodobnie z 20 na 21 lipca 1953 roku napadł w miejscowości Felicjan na dwóch członków ORMO: Franciszka Stefańczyka i Jana Ilczuka. Funkcjonariusze zostali dotkliwie pobici oraz zdemolowano mieszkanie jednego z nich. Sytuacja zastrzyła się do tego stopnia, że najaktywniejszym ormowcom planowano przydzielić broń na stałe. Broni jednak nie wydano, ponieważ poszczególni funkcjonariusze mieszkali w znacznych odległościach od siebie i zaistniała obawa pojedynczych rozbrożeń.

Przełom w rozpracowaniu „Dzięcioła” nastąpił po udanym werbunku informatora o ps. „Zenon”, który był szwagrem jednego ze współpracowników Majchrzaka. „Zenon” wskazał „bezpiece” główne kryjówki grupy, zwłaszcza na terenie Kol. Krakowskie Przedmieście. W dniu 21 sierpnia 1953 r. doszło do potyczki pomiędzy „Dzięciołem” a patrolem MO pełniącym nocną służbę w okolicach zabudowań Stanisława Antoniaka. Podczas wymiany ognia ranny został jeden z funkcjonariuszy MO - Mieczysław Demczuk, który w swoim zeznaniu zrelacjonował zajście następująco: „[...] zauważyłem (...) jak od strony stodoły wyszedł jakiś osobnik. Osobnik ten był dość wysoki. Ja, widząc go, że odchodzi on w stronę pola, krzyknąłem „stój, milicja, ręce do góry!”. Na moje wezwanie osobnik ten zrobił energiczny skok kabłąkowy i odwrócił się do mnie, krzycząc „ty s...synu”. Jednocześnie z tym krzykiem zajął stanowisko leżące. Ja zrobiłem to samo (...) w tym czasie zostałem rany w kolano” (AIPN Lu, sygn. 72/52, t. 1, k. 20-20 v.). Natychmiastowy pościg za grupą, zorganizowany przez UB, mimo wsparcia KBW nie przyniósł żadnych rezultatów. Po tej nieudanej akcji „bezpieka” próbowała wykorzystywać sieć agenturalną w celu skłócenia środowiska konspiratorów. Liczono, że w sytuacji ekstremalnego zagrożenia, ludzie Majchrzaka sami postanowią dokonać likwidacji swojego dowódcy. Gra psychologiczna i „szeptana propaganda” nie przyniosły jednak większych rezultatów, uświadomiły jednakże funkcjonariuszom UB, jak silna jest jeszcze pozycja „Dzięcioła” wśród swoich ludzi i lokalnej społeczności. Co więcej - istnieje duże prawdopodobieństwo, że grupa miała „swoich ludzi” zarówno w UB jak i MO, którzy mogli przekazywać informacje operacyjne. Kolejna okazja do likwidacji Majchrzaka pojawiła się na początku grudnia 1953 roku. Szef PUBP ppor. Struś otrzymał 3 grudnia 1953 roku wiadomość (prawdopodobnie agenturalny donos), że w okolicach miasta znów pojawił się „Dzięcioł”. Podczas specjalnej narady powołano kilka grup operacyjnych, które rozstawione według określonego planu, miały za zadanie namierzyć i zlikwidować „bandę”. Po zakończonej naradzie, wspomniane grupy operacyjne złożone z pracowników UB i MO udały się na ustalone pozycje. Nad jedną ze wspomnianych grup objął dowodzenie Wacław Trochimiuk, zabezpieczając odcinek na styku Załóżkiew - Krakowskie Przedmieście. Była to ekipa najslabsza jakościowo, mało zaprawiona w walkach z „reakcyjnym podziemiem”, jednakże braki kadrowe zmuszały

szefa UB do wysłania na akcję niesprawdzonych, bardzo młodych pracowników. Jednym z nich był Zdzisław Szeremeta, który rozpoczął pracę w urzędzie zaledwie kilka dni wcześniej. Nikt nie spodziewał się, że na odcinku zabezpieczanym przez Trochimiuka pojawi się „banda” Majchrzaka. Dowódca „likwidatorów” był tak mocno o tym przekonany, że w ogóle nie zrobił przeszkolenia podwładnym. Nie pytał nawet czy znana jest im obsługa broni, którą zabierają ze sobą na akcję. „Dzięcioł” w obstawie Bojarczuka i Chwały wracał wieczorem z Romanowa, gdzie dokonali najścia na dom Józefa Staszaka (członka PZPR) w celu zdobycia prowiantu. „Banda” pojawiła się w rejonie wspomnianej grupy operacyjnej, wychodząc z miejsca, które nie było obserwowane. Na wezwanie Trochimiuka „stój! kto idzie?”, Majchrzak odrzekł, że „milicja”, czym wywołał ogólną strzelaninę. Podczas wymiany ognia, niedoświadczony Szeremeta, nie oddawszy żadnego strzału, zbiegł z pola walki.

Wspomniane niepowodzenia wywołały ogólny marazm w środowisku krasnostawskiej „bezpieki”, której i tym razem z pomocą przyszedł „Zenon”. Informator zdecydował się „wystawić” Majchrzaka w okresie świąt Bożego Narodzenia. Ostateczna likwidacja grupy odbyła się w 27 grudnia 1953 roku, kiedy to „Dzięcioł” wraz z garstką swoich ludzi bawił na imieninach u Jana Wrory, zamieszkałego na Kol. Zakręcie. Agent „Zenon”, po uprzednim sprawdzeniu, że Majchrzak jest we wspomnianym domostwie, dał sygnał „bezpiece” do rozpoczęcia akcji. Błyskawicznie funkcjonariusze UB ścignęli posiłki z Lublina. O godzinie 21.30 grupa operacyjna UB i MO w sile dwudziestu ludzi, wsparta przez żołnierzy KBW (j.w. 1702 Lublin) obstawiła zabudowania. Natychmiast oświetlono światłem samochodowym i rakietami podwórze Wrory. Majchrzak, widząc że jest otoczony, postanowił przebić się przez pierścień utworzony przez wojsko. W wyniku wymiany ognia zginęła na miejscu Czesława Antoniaka. Pozostali schronili się w stodole. O północy, za zgodą „Leonka” poddał się Stanisław Chwał. W obliczu nadchodzącej klęski „Dzięcioł” zakopał w stodole swoje rzeczy osobiste, po czym ok. godz. 7 rano (po całonocnej walce) popełnił samobójstwo. Zgon „Leonka” potwierdził Stanisław Bojarczuk, który towarzyszył swojemu dowódcy do samego końca.

Leon „Dzięcioł” Majchrzak pozostał do końca niezłomnym, nieidącym na kompromisy bojownikiem o wolną, niepodległą Polskę, jednakże sytuacja polityczna zepchnęła go na



Leon Majchrzak, foto archiwum Lu 01 383.

Taki obraz to nie wyjątek. UB nie miało szacunku nawet dla zmarłych. Zwłoki częstokroć bezczeszczono. Zdarzało się, że w oczekiwaniu na oględziny lub sekcję nawet przez kilka dni tkwiły pod gołym niebem.

marginie życia społecznego i zmusiła do popełniania czynów niegodnych żołnierza. Po likwidacji grupy Majchrzaka, „Zenon” stał się wśród lokalnej społeczności głównym podejrzanym o zdradę. Urząd Bezpieczeństwa opracował „plan lojalnościowy” względem swojego informatora. Postanowiono przeprowadzić ukartowane aresztowanie, które miało dać alibi „Zenonowi”. Obiecano także pomoc w znalezieniu pracy w innych częściach województwa lubelskiego. Natomiast gehenna współpracowników „Dzieciota” dopiero się rozpoczynała. Większość z nich została skazana przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie na kary pozbawienia wolności, często z przypadkiem mienia i utratą praw publicznych na kilka lat.

Daniel Piekaruś

Powyższy materiał jest streszczeniem artykułu (z wykorzystaniem oryginalnych fragmentów tekstu), który ukazał się w książce pt. „Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956” pod red. dr. Jacka Romanka.

CZASOPISMA NADESŁANE

- Panorama Żółkiewska, nr 1(2) 2009, ss. 32;
- Zamojski Kwartalnik Kulturalny, nr 2(99) 2009, ss. 128.

Zbigniew Atras

Wielki patriota, czy jeszcze większy marzyciel?

Kajetan hr. Kicki, a dokładnie Kajetan Jan Kanty Konstanty Kicki urodził się 19 października 1803 roku w hrabiowskim rodzie Kickich herbu Gozdawa, którego przedstawiciele trwale zapisali się na kartach historii Polski, zajmując wysokie urzędy państwowe, wojskowe i kościelne. Ród Kickich dał ojczyźnie arcybiskupów, generałów, posłów na sejm, bohaterskich żołnierzy, kawalerów Orderu Orła Białego. Jan Kicki, stryjeczny dziad Kajetana, był koniuszym wielkim koronnym, tak samo jak stryj Onufry Kicki. Ojciec Kajetana, August Kicki, to ostatni królewski starosta krasnostawski, poseł na Sejm Czteroletni i sekretarz gabinetu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W takim otoczeniu wzrastał młody Kajetan, który całe swoje życie związał z naszym regionem.

Jego biografia nie została opracowana, a przecież w pełni na to zasługuje. Wychowany w duchu patriotyzmu i oddania ojczyźnie, wielkiej tolerancji oraz głębokiej wierze kościoła katolickiego, kształtował swoją wyjątkową i niepowtarzalną osobowość. Bliskość dworu królewskiego, wielkie ideały Konstytucji 3 maja, Komisji Edukacji Narodowej, kolejne rozbiory Rzeczypospolitej, utrata niepodległości, wielkie powstania narodowe, ich klęski i następujące po nich prześladowania, podział ojczyzny, rusyfikacja i germanizacja narodu, wojny zaborców, w których Polacy zmuszeni byli walczyć po obu stronach frontu, a przede wszystkim pamięć wielkiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, dynastii Piastów i Jagiellonów, oraz chwały oręża polskiego, ukształtowały światopogląd młodego Kajetana. Nie wiemy, czy zbrojne zrywy powstańcze i ich klęski miały jakiś ujemny wpływ na jego osobowość. W dokumentach nie znajdziemy informacji, które potwierdzałyby, że Kajetan Kicki popierał bezpośrednio walkę zbrojną o niepodległość ojczyzny. Całe swoje życie poświęcił pracy i tylko pracy dla dobra kraju i narodu polskiego. Nie wybrał kariery dyplomatycznej. Nie dbał i nie starał się o zaszczyty, urzędy i tytuły.

Był właścicielem dużych majątków ziemskich w Sobieszynie i w Orłowie. Na ich rozwoju skoncentrował swoje działania. Jego tytuł to dziedzic, ziemianin - i dla tej ziemi poświęcił swoje życie. Pragnął podnieść rolnictwo polskie na najwyższy poziom. W tym celu rozwijał różne jego kierunki w swoim majątku w Orłowie Murowanym, gdzie mieszkał i prowadził wzorcowe gospodarstwo ziemskie. Miało ono stanowić przykład dla całego



Pałac Kajetana hr. Kickiego w Orłowie Murowym.

ziemiaństwa polskiego, jako wzór gospodarowania i cywilizacyjnego piękna. Gospodarował nowocześnie, przykładając wielką wagę do nawożenia mineralnego, hodowli i upraw roślin oleistych. Sprowadził nowe rasy owiec i krów. Łączył inwestycje gospodarcze z dbałością o pracowników. Budował duże i nowoczesne obory, stajnie, wołownie, stawy rybne, systemy nawadniające, gospodarstwa szkółkarskie i leśne, nie zapominając o przyzwoitych czworakach mieszkalnych dla pracowników, domu modlitwy, czy szkole. Doceniał znaczenie przemysłu rolnego, w który inwestował, wznosząc młyny, wiatraki, gorzelnie i browary. Oddany całkowicie pracy nie znajdował czasu na życie prywatne. Wzniósł w Orłowie, według projektu Henryka Marconiego, zespół pałacowy składający się z budynku głównego i dwóch bocznych oficyn. Mimo dużego majątku prowadzi bardzo oszczędne życie. Jego wrodzona skromność nie pozwalała mu na zamieszkanie w pałacu, który służył jedynie do celów reprezentacyjnych dla licznie odwiedzającego go zamożnego ziemiaństwa. Sam hrabia mieszkał w jednej z bocznych oficyn. Tu kreślił plany rozwoju swojego wzorcowego majątku. Kajetan Kicki był prekursorem gospodarki spółdzielczej. Najlepsze pomysły i wiedzę rolniczą przedstawiał na łamach „Tygodnika Rolniczo-Technologicznego”. W wieku 75 lat zdecydował się na ożenek z Marią Franciszką Maszkowską. 22 czerwca 1878 roku, miesiąc po ślubie, Kajetan hr. Kicki umiera bezpotomnie. Całe swoje życie poświęcił pracy nad podniesieniem polskiego rolnictwa na najwyższy poziom, widząc tylko w wysokim rozwoju cywilizacyjnym i gospodarczym jedyną szansę na odzyskanie niepodległości ojczyzny. Niestety, nie zdołał zrealizować wszystkich swoich planów, jak na przykład budowy kościoła św. Kajetana, czy też pięknego architektonicznie budynku na potrzeby kultury i oś-

wiaty. Jednak folwarki wchodzące w skład dóbr Orłowskich, w Orłowie Murowanym, Orłowie Drewniamym, Bartoszowie i Dworzyskach cechował postęp, wiedza rolnicza, nowoczesność gospodarowania. Majątek ziemski hrabiego obejmował 5 300 hektarów ziemi, której wartość szacowano na 5 mln złotych, 100 tysięcy rubli w papierach wartościowych, oraz kamienice w Warszawie.

Kajetan hr. Kicki pozostawił testament, którego otwarcie nastąpiło 7 lipca 1878 roku, wzbudzając ogólną sensację. *Nie mając żadnych obowiązków... - pisał w testamencie - nie posiadam bowiem potomstwa, rodzeństwo moje jest starsze wiekiem ode mnie (...), dalsi moi krewni są to ludzie zamożni, użyłoby go nieomylnie na cele czysto światowe, zapisuję cały mój majątek po mnie pozostały z zastrzeżeniami poniżej wymienionymi - instytucji przez rząd zatwierdzonej tzw. „Towarzystwu Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych” w Królestwie Polskim. W zastrzeżeniach zabezpieczył dożywotnie środki dla swojej żony i siostry, a także zapisał różne kwoty pieniężne pracownikom, stangretom, fernalom i służącym pracującym w jego majątkach. Testament Kajetana Kickiego wskazywał wiele konkretnych działań, które mają być wykonane, jak budowa kościoła, szkoły elementarnej, „ośrodka kultury”, założenie szkoły rolniczej, podnoszenie oświaty na wsi, nauki rzemiosła, prowadzenie ochronki dla dzieci, budowa domów dla robotników folwarcznych i wiele innych. Zastrzegł jednocześnie, że wznoszone budowle nie mogą naruszać piękna krajobrazu. Myślał o odkrywaniu talentów wśród młodzieży wiejskiej, o szkole matek, zakładzie resocjalizacyjnym. Marzył o bezpłatnej pomocy lekarskiej, aptece, szpitalu. Całością działań prowadzonych na podstawie ścisłej rachunkowości powinni kierować wybrani ludzie z prawdziwym powołaniem i oddaniem. Testament zawierał szczegółowe opisy wyglądu kościoła (przeprowadzenie konkursu na projekt, czystość stylu architektonicznego), szkoły rolniczej, budynku kulturalno-oświatowego, wyposażenia pałacu. Wymieniał też przyszłe działania w zakresie inwestycji rolnych jak założenie gospodarstwa na 1 000 sztuk owiec, budowę owczarni i obory na 100 sztuk bydła, a także gospodarstwa szkółkarskiego. Kajetan Kicki wierzył, że taka redakcja testamentu zabezpieczy majątek przed rozproszeniem i wygeneruje dodatkowe środki dla Towarzystwa Osad Rolnych na prowadzenie działań zgodnych z jego wolą. Wierzył, że ta filantropijna instytucja podąży do szlachetnego celu i pragnął się doń przyczynić. Ideał ten miał sfinansować pozostawiony majątek, który obok dóbr Orłowskich składał się z gospodarstw ziemskich w Sobieszynie i Rzyckach. Cały projekt nie miał mieć charakteru*

dochodowego. *Jedynym celem niniejszego legatu - pisał Kicki - jest, obok utworzyć się mającego wzoru, bezwzględne dobro...* Rozumiał je w duchu ewangelicznej miłości bliźniego i tolerancji. *W ufundowanym kościele - pisał - każdy przeto człowiek bez względu pod jaką formą Boga wyznaje ma być uznany za brata.* Testament Kajetana hr. Kickiego został opublikowany w prasie. Był to czas, kiedy Polski nie było na mapie świata. Kolejne zrywy powstańcze kończyły się klęskami, po których następowały okresy wzmożonych prześladowań. W takich warunkach Towarzystwo Osad Rolnych prowadziło swoją działalność i realizowało ostatnią wolę hrabiego. W 1886 roku, mimo sprzeciwu władz carskich, założono w Sobieszynie Rolniczą Stację Doświadczalną, a w 1894 roku, w tej samej miejscowości powstała (istniejąca do dzisiaj) Szkoła Rolnicza Niższego Rzędu. W tym czasie w Orłowie utrzymywano na dobrym poziomie majątek ziemski.

Działania wojenne w latach 1914-1918 przyniosły ogromne straty w dobrach orłowskich. W 1915 roku wycofująca się armia rosyjska swoim starym i barbarzyńskim zwyczajem paliła wszystko na opuszczanych terenach. Działania wojenne i armia austriacka, która nie chciała być gorsza od Rosjan dopełniły dzieła zniszczenia. Po kilku wsiach zostały tylko sterczące z ziemi, osmalone kominy spalonych domów. Większość budynków gospodarczych w dobrach orłowskich zostało zniszczonych. Cudem ocalał pałac w Orłowie Murowanym. Duża liczba miejscowej ludności zginęła lub uciekła przed działaniami wojennymi. Środki finansowe z zapisu Kajetana Kickiego, w wyniku wojny i kryzysu znacznie spadły na wartości. 1 stycznia 1918 roku przybył do Orłowa Murowanego Adam Ubysz, nowy administrator dóbr „Zapisu Kajetana hr. Kickiego”. Jak się szybko okazało, był to odpowiedni człowiek na właściwym miejscu. Oddany rolnictwu, wykształcony, zachwycony ideą hrabiego Kickiego, prawdziwy filantrop. Odbudował zniszczone czworaki i spaloną gorzelnię, którą adaptował na mieszkania dla pracowników majątkowych. W 1919 roku w Wólce Orłowskiej zbudował tartak parowy, a w Lipniku uruchomił nieczynną cegielnię. Starając się pozyskać nowych pracowników, przydzielał na własność każdej rodzinie podejmującej pracę w majątku krowę, a spłatę za nią rozkładał na raty. W folwarku w Orłowie Drewnianym budował dworek dla rządcy, a w 1922 roku szkołę z mieszkaniem dla

nauczycieli. W 1923 roku w Orłowie Murowanym zbudował jednopiętrowy budynek z mieszkaniami dla pracowników, a w 1925 odbudowano spaloną w czasie wojny stajnię farną i kuźnię. Starą owczarnię przebudowano na stodołę. Wszystkie budynki gospodarcze i mieszkalne utrzymywane były w jednym stylu. Murowane z cegły z białymi tynkami i narożnikami, oraz framugami okien i drzwi wykładanymi czerwoną cegłą. W tym okresie powstają z funduszy „Zapisu” dwa mosty: na Wieprzu i Wolicy. Przeprowadzono też remont oficyn pałacowych. W prawej mieściła się kuchnia i przedszkole, a w lewej biuro i księgowość dóbr orłowskich. Rozwinięto hodowlę krów, uprawę pszenicy i buraków cukrowych. Na trasie z Orłowa Murowanego, przez Bartoszków, Orłów Drewniany do Wólki Orłowskiej zbudowano konną kolejkę wąskotorową, służącą do transportu buraków cukrowych. W 1923 roku w Orłowie Murowanym, w miejscu dokładnie opisanym przez Kajetana Kickiego, ruszyła budowa kościoła św. Kajetana, według projektu Czesława Przybylskiego.



Kościół w Orłowie Murowanym.

Kościół wzniesiono z kamienia w stylu neoromańskim, a jego budowę ukończono w 1929 roku. Adam Ubysz okazał się godnym kontynuatorem idei Kajetana hr. Kickiego. Jego praca została dobrze oceniona i w 1924 roku został mianowany plenipotentem ogólnym „Zapisu”. Był założycielem Ochotniczej Straży Pożarnej w Orłowie Murowanym, a także pełnił funkcję prezesa Związku Ziemian Powiatu Krasnostawskiego. W majątku kwitło życie kulturalne. Organizowano odczyty i plenery malarskie. Założono orkiestrę dętą. Do Orłowa przyjeżdżali studenci warszawskiej SGGW i Szkoły Ogrodniczo-Rolniczej z Lublina w celu odbywania praktyk. Orłowskie gospodarstwo wywierało wielki i pozytywny wpływ na majątki ziemskie powiatu krasnostawskiego. W 1930 roku Adam Ubysz zrezygnował z pracy i przeniósł się do własnego majątku w Nowej Wsi w powiecie krotoszyńskim.

W 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Działania wojenne i okres okupacji zniszczyły orłowskie gospodarstwo. Reszty dokonała reforma rolna, socjalizm i czas. Po zabudowaniach folwarcznych nie pozostał żaden ślad. Na orłowskim wzgórzu majestatycznie wznosi się kościół św. Kajetana, i w swej romańskiej, głębokiej zadumie spogląda w kierunku nieistniejącego majątku ziemskiego, z którego tak jak po 1918 roku szczęśliwie ocalał tylko pałac, będący jedynym dowodem istnienia wielkiego dzieła Kajetana hr. Kickiego - człowieka niezwyklej ofiarności i głębokiej wiedzy, z umysłem otwartym na świat, pozbawionego wszelkich uprzedzeń, człowieka wyznającego zasadę, że bogactwo nie jest czymś, co trzeba skonsumować samodzielnie lub w gronie najbliższych, ale czymś, czym należy się roztropnie dzielić. W 2005 roku wystawiono do licytacji i sprzedano pałac w Orłowie Murowanym, za kwotę 460 tysięcy złotych. Jeden z najpiękniejszych pałaców na ziemi krasnostawskiej zmienił właściciela i od trzech lat stoi zamknięty i niszczeje dalej. Kajetan hr. Kicki w swojej ostatniej woli wyraził życzenie, aby jego szczątki spoczęły w kościele św. Kajetana w Orłowie Murowanym. Ten zapis testamentu nigdy nie został wykonany i ciało hrabiego nadal spoczywa w kościele w Sobieszynie. I tu już chyba pozostanie na zawsze, bo my wszyscy, mieszkańcy Orłowa i całego powiatu krasnostawskiego nie zrobiliśmy nic, by naprawdę poszukać ratunku dla jedynej pamiątki po wielkim człowieku - orłowskiego pałacu. Prawdziwego ratunku w postaci dobrego pomysłu na zagospodarowanie (jak wyższa szkoła rolnicza, uniwersytet ludowy, czy dom pracy twórczej), a nie „genialnych” posunięć w stylu - sprzedać i mieć święty spokój. Panie hrabio, proszę pozostać w Sobieszynie, gdzie Pana cenią, szanują i wspominają z wdzięcznością. Ziemia krasnostawska już o Panu zapomniała.

Zbigniew Atras

1. Zapiski Krasnostawskie tom I, pod redakcją Piotra Kardeli, str. 73-81 Edward Romańczuk Orłów Murowany. Kartki z historii mojej miejscowości.
2. Zapiski Krasnostawskie tom III, pod redakcją Marka Nowosadzkiego, Władysława Fedorowicza, Piotra Kardeli, str. 171-213 Elżbieta Ubysz-Kędzierska Adam Ubysz - plenipotent dóbr „Zapisu Kajetana hr. Kickiego” w latach 1918-1930.
3. Michał F. Sokołowski, Testament Marzyciela.

Stanisław Bojarczuk

Do wieku Dziewiętnastego

I

O wieku z Myślą wielką w pergamin przelaną,
piórem, pędzlem i dłutem, eołą i krtanią
artystów, mistrzów, twórców i wieszczów litanią,
piastujących kult piękna z skrętnością pszczelaną.

Wznosiłaś Wiosnę Ludów poddańczym sielanom,
zmuszonym pędzić prace syzyfo - tytanią,
sprawę niezmiernej wagi z dawną przemyślaną.

Dziecię i wychowanek twojego reżimu,
w kulturze zaliczam się do wyznawców Rzymu.
Prawda, że liczne zbrodnie ważyłeś na szali,

Lecz cię często zbrodniarze do tego zmuszali.
Mimo to Wieku Wielki, Wieku Dziewiętnasty,
nie brakło za cię ubrań, chleba, ni omasty.

II

Jak Kopernik z lunety w kosmosu zaświaty,
z żalem - ku różnym wyspom, oazom i łądom,
ich mieszkańców, różnych ras i szczepów - spoglądam,
nie znających nadobnych lektur i oświaty.

A tu kres życia zbliża przedezgonny wiatyk,
/z rachuby mych lat chwili owej już wyglądam/,
i jeśli czcicieli klasycyzmu żądam
czego, to by uczcili "przeze myśli uczuć kwiaty".

Wieku Zeszły! Niby sęp krążący w przestrzeni
spada nagle na zdobycz upatrzoną przedtem,
tak myśli ma - żal, że była wygłaszana szeptem.

Przeto może już zbędną dla przymierza skrzyni?
wkrótce runie do Lety, gdy śmierć życie przerwie,
jak dzwon strącony z wieży, gdy ulegnie szczyrbie.

Rońsko, 2 II 1869 - 1952

Leszek Janeczek

Drewniana noga i Żelazny Krzyż

W czasie niemieckiej okupacji, wśród różnych urzędników przybyłych do Krasnostawu, był starszy już pan Braun. Był to weteran I wojny światowej, mający z niej dwie widoczne pamiątki. Jedną z nich był przyznany za męstwo, Żelazny Krzyż przypięty dumnie na piersi, z którym chodził po mieście, i drewniana noga jako proteza, na której chodził, zapewne stanowiąca cenę za odznaczenie. Braun pracował na poczcie w Krasnymstawie i mieszkał na strychu pocztowego budynku, stojącego w centrum miasta, przy rynku, w pierzei razem z domem sejmikowym. Poczta jest tu do dzisiaj. Mieszkanie urzędnika ulokowane było, jako się rzekło, na samej górze budynku, w małym pomieszczeniu, gdzie planowano urządzić windę. Budynek był najnowocześniejszy w miasteczku, pierwszy i jedyny miał kanalizację. Starszy pan chyba nie podzielał faszystowskiej filozofii i jej sposobu zdobywania świata za wszelką cenę, a zwłaszcza kosztem ludzkiego życia, choćby było ono życiem obcych, wrogów.

Szef gestapo na powiat krasnostawski, Kurt Engels, rezydujący w Izbicy, często bywał w Krasnymstawie. Bał się go nawet starosta niemiecki. Engels aresztował osobiście kwiat polskiej młodzieży i inteligencji w mieście, wysyłając ich na śmierć do obozów. Niektórych sam zabił. Wraz ze swoim zastępcą, Ludwikiem Klemmem, jeździli zarekwirowanym motocyklem, siejąc postrach w Izbicy, Gorzkowie, Turobinie, Krasnymstawie zarówno wśród Polaków, jak i Żydów. Ofiarą gestapowców było wielu Polaków pracujących jako urzędnicy podlegli niemieckim władzom. Drogomistrz powiatowy, Edward Rogowski, któremu zabrali motocykl z bocznym koszem, był niemieckim oficerem walczącym w pierwszej wojnie, odznaczonym *Eisernes Kreuz der Zweite Klasse*, czyli Krzyżem Żelaznym Drugiej Klasy. Engels i Klemm chodzili do krasnostawskich restauracji, nie tylko zresztą na obiady. Pewnego razu w knajpie pani Wilewskiej, czy już wtedy Tomasiowej, doszło do spotkania Engelsa z Braunem. Do pijącego wódkę gestapowca podszedł inwalida wojenny z Żelaznym Krzyżem. Braun rzekł dobitnie i głośno do Kurta Engelsa:

- Pan swoim postępowaniem przynosi wstyd narodowi niemieckiemu!

Zdumiony Engels, pan życia i śmierci, w tej samej chwili dostał pięścią w twarz od spokojnego urzędnika-inwalidy. Braun odwrócił się i pokuśtykał. Engels nic nie mógł zrobić. Człowiek z Żelaznym Krzyżem był traktowany w swoim narodzie z najwyższym szacunkiem, był nietykalny.

W jakiś czas potem na strychu pocztowego budynku wybuchł mały pożar. Krasnostawscy strażacy ochotnicy dostali się do pomieszczenia, które niemal całkowicie spłonęło. W zgłiszczach znaleźli ludzkie zwęglone ciało, niemożliwe do rozpoznania. Zdziwienie strażaków wzbudził widok nóg - jedna była całkowicie spalona, ale nadal widoczna, drugiej jakby nie było wcale. Jeszcze bardziej zainteresowani tym faktem młodzi strażacy zaczęli wnikliwie przyglądać się pogorzeliśku. Zamiast drugiej nogi znaleźli małą, ledwie zauważalną smugę na podłodze - ślad po zwęglonej drewnianej kuli. Żelaznego Krzyża nie było.

Leszek Janeczek

Stanisław Bojarczuk

Petrarka

Na zew tonu tęczowych śnień w przymierza arce,
rozchylając kotary mgieł sześciusetletnie,
I ja nastrajam kmięcą mą wierzbową fletnię,
by złożyć zasłużony hołd godnie Petrarce.

Czystą treścią człowieka, celując szlachetnie,
łkała mu pierś miłością niby dźwięk w janczarce,
haftował w kanwie krosien filigrany Parce,
póki ta wątku życia pasma mu nie przetnie.

Promieniując przykładem cnót w kapłańskim stanie,
zasadom liberalnym wierny przy sutannie,
waży się na zarzuty tiarze i koronie.

Za to, i cykl sonetów wyśpiewanych Laurze,
niech się feston wawrzynu włożony na skronie,
klamrą mego sonetu nad czołem mu zawrze.



Kalikst Szymonowicz

Wolność i Chleb

Na wolności starałem się nie myśleć o Oświęcimiu, ale w głębi nurtowało mnie przecucie, że tam trafię.

I trafiłem.

Nie miałem żadnego doświadczenia więziennego czy obozowego. Moje myśli i wyobrażenia ukształtowała literatura i malarstwo polskie doby romantycznej czy postromantycznej. Nie przypuszczałem, że każde nasze pokolenie musi być pasowane na dziedziców tych, co ongiś ginęli na szubienicach, pod kulami karnych plutonów, w więzieniach, kazamatach, na zesłaniu.

Nie rozmyślałem teraz nad swoim położeniem, nie żałowałem tego, co pozostało za mną, nie tęskniłem do przeszłości. Wielu towarzyszom instynkt podsunął podobną postawę, i zyskiwali względny spokój. To nie była rezygnacja z nadziei. Byłem jeszcze dość silny jako częstka wielotysięcznego tłumu.

Czy myślałem o wolności? Tak, ale tylko w nocy, gdy czułem się bezpieczny, wiedząc, że nikt nie wykradnie moich myśli, żaden szpieg nie wyczyta ich z moich oczu. Raz jeden nie mogłem oprzeć się marzeniom. Chwila wyjątkowa, gdy nie tylko zwierzęta, ale i ludzie mówią ludzkim językiem.

Był wieczór wigilijny.

Ciało rozpalone, pod powiekami gorący popiół. Rano sztabowy zaprowadził mnie do szpitala. Zapalenie płuc. Śniło mi się wszystko, co początkującemu więźniowi śnić się powinno: rozwałki, kaplice, nawet buty i dym, co starzy kajdaniarze uważali za nieomylną zapowiedź wyjścia na wolność. Sceptycy pytali czy śniły mi się kościoły. - Kaplica? Otóż to - oznacza pogrzeb. Wyjść wyjdiesz, ale niekoniecznie przez bramę. Jest jeszcze komin.

O wolności rozmawiali więźniowie po wieczornym apelu na Birkenalee. Na dwu czy trzech ławkach siadywali parami pochyleni ku sobie, jakby się zwieriali z osobistych tajemnic. To spowiednicy i penitenci. Na rogach bloków wystawiali muzułmani, prowadzący detaliczny handel zamienny: chleb, zupa, margaryna, marmolada, plątek końskiej kielbasy - za papierosy „zorki”. Tych samych spotykało się w kilka czy kilkanaście dni później siedzących pod murem bloku w czasie apelu. Byli na wykończeniu. Najwięcej muzułmanów dawało Banhofkomando.

Stare numery rozpędywały tę zgraję samobójców i hien.

Więzień otrzymywał w obozie około 20 dag chleba dziennie, a ciężko pracujący - raz w tygodniu podwójną rację jako dodatek (Brotzulage).

Racje chleba pozostawały w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do działań na frontach i w powietrzu. Stopniowo te racje zmniejszały się do 10 dag, a wreszcie chleb stawał się wspomnieniem. Im bliższy się wydawał dzień wyzwolenia, tym groźniejsze było widmo głodowej śmierci. Wymyśliłem sobie sposób skracania czasu oczekiwaniem wolności. Miarą były najpierw miesiące, tygodnie, potem dni, dzielące nas od armii radzieckiej. A zbliżała się już do granic dawnej Rzeczypospolitej. Byłe się nie załamać teraz, właśnie teraz.

Pierwsza ewakuacja oświęcimska nastąpiła 17 sierpnia 1944 roku po zbombardowaniu budowy „Faulgas”. Poznałem Mauthausen i kamieniołomy. Pierwsza od dwu lat silna depresja psychiczna.

A koledzy w Oświęcimiu byli tuż przy progu wolności. Tu, w Mauthausen chleb stał się bezcenny, a noce i dni - straszliwą męką. Kamienie na ramieniu, sto kilkadziesiąt schodów w głąb i do góry, kęs chleba i pół litra niby-zupy. A w nocy ludzie leżeli na posadzce baraku prawie warstwami.

Dno.

I znowu transport. Dokąd?

Noc, głębokie koryta ulic, po obu brzegach wyburzone od wewnątrz bloki.

Wiedeń. Codzienne naloty, zapowiadane o dzień wcześniej ulotkami. Ludność biegła rano do schronów, gdy tylko rozległ się „kukukalarm”. Nam wyznaczono ustronne kąty w schronie.

Oto jestem w Wiedniu. Kahlenberg, Sobieski, odsiecz, Maria Teresa, Józef II, rozbiory, kongres wiedeński, Metternich, zbrodnica prowokacja w r. 1846. Kufstein... Pamiętam, pamiętam z książek. Wszystko w tę pierwszą noc marszu ulicami austriackiej stolicy odżyło w pamięci. Byłem więźniem, a kroczyłem jak Irydion z wielowiekowego snu obudzony, by nasycić oczy ruiną potęgi wroga.

Dzieło to Masynissy czy Nemezis? Mało mnie obchodzi, imię mściciela nie gra tutaj roli.

Warto dać duszę za widok tych ruin.

W zamczysku któregoś Habsburga na Simmeringu deptałem rekwizyty germańskiej potęgi i nikt mi tego nie zabronił. Transparenty, kolumny, orły, flagi i wawrzynowe wieńce, wielkie V (*viktoria*) wznoszące tylko kikuty ramion. Nie było tam marmuru, spiżu, złota. Papier, juta, drewno, zardzewiała blacha - oto wielkość od kulis oglądana. Została pusta buda cyrku, w której powiesił się bankrutujący dyrektor.

Tu uderzył we mnie potężny wicher wolności.

Ostatnie święta więźnia.

Na placu apelowym oświetlona choinka, pokrajane chleby, beczka piwa, pierniczki w pudle i zorki. Komendant przemawia: składa więźniom życzenia. Nawiązuje do zimowego przesilenia,

wierzy w zwycięstwo światła nad ciemnościami nocy. Nawet mówi coś o sobie: *...mój dom w gruzach, mój syn został pod Stalingradem...*

Dlaczego on do nas mówi po ludzku?

Tego wieczoru łamaliśmy się świętym chlebem. Może to ostatni? Mówiliśmy głośno o wolności, składaliśmy sobie przysięgi braterstwa na to, co dla nas najdroższe: Jak pragnę wolności! Takiej przysięgi nikt nie odważyłby się złamać.

Któryś z głodnych palcami dziobał rozsypane po stole drobnutkie okruchy chleba, ktoś inny zdawał się całować kęsy zanim je spożył. Potem starym zwyczajem chodziliśmy pod okna baraków z kolędą. Dyrygował Staszek R. Ten sam, co to w parę miesięcy później w podwiedeńskim schronie oczarował pieśnią austriacką szynkareczkę (*Wien, Wien, nur du allein*). A epilog tajemniczych kontaktów był taki, że dostał czerwone kółko i zapowiedź egzekucji w czasie apelu. Wytrzymał - on i jego młodszy współnik - ojcowski wymiar kary, ale srodze się zemścił, tak z fantazją. W czasie ewakuacji obozu z Wiednia wprowadził jednego z eskorty; wprawdzie był to już landszturmista, ale zawsze w mundurze i z karabinem. Musiał go dolecieć dym z komina rodzinnego domu, skoro nie tylko dał się porwać, ale poszedł z porywaczem w kierunku, skąd najstraszniej dochodziły odgłosy radzieckich armat.

Wolność armatami dobijała się do nas.

W Wielkanoc rozjaśnioną słońcem i przepełnioną zapachem fiołków, których w takiej mnogości nigdy w życiu nie widziałem, tylko tu na zboczach rowów i podwiedeńskich wzgórz, wkraczaliśmy w podgórze alpejskie. A było nas „około tysiąca osób różnego stanu” nienormalnie wydłużonych, w drewnianych chodakach i cuchnących kwaśnym potem. W pierwszej piątce szedł mecenas ze zmasakrowaną twarzą i zastygłą w kątach ust krwią. Wysoki, zamknięty w sobie, zdeterminowany. W dłoni - nadgniły kostur. Jakże mało podobny do romantycznego pielgrzyma w udrapowanym płaszczu, ale cel tułaczki ten sam.

Kluczył nasz pochód, wchodząc w lasy lub na boczne drogi. Jedliśmy co wpadło pod rękę: młodziutki mniszek lekarski, wylażące spod liści żaby, ślimaki, kiszonkę pastewną, łuski z jaglanej kaszy zalane gorącą wodą w korycie, suszone wytlóczy z buraków. Ludzie coraz częściej padali z głodu. Dobijano ich i grzebano na miejscu.

W czasie postoju w jakimś gospodarstwie umierał mój towarzysz, gajowy (na wolności). Leżeliśmy obok siebie pod rozkwitłą gruszą.

- Powiedz mi, co tam jest?

- Nie ma bicia, zabijania, nie ma głodu, ni strachu...

- A co jest?

- Wolność.

Umierał cicho, spokojnie. Głowę przykrył kawałkiem koca jakby się oddzielał od świata, na którym się zawiódł.

Drugi, który stale mnie się trzymał, to fotograf z Niska czy Rudnika nad Sanem. Zatrut się nikotyną. Chodził między towarzyszami i zebrał o odrobinę tytoniu. Ktoś zapewne dał mu prymkę.

Wolność przyszła w Gusen II. A zaczęło się od wywieszenia na dachach baraków flag Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Byliśmy więc już pod jego opieką. On jeden w czasie wojny nie zawiódł. W nocy wymknęli się z obozu ci, którym zaczęła się ziemia palić pod stopami. Komendę i odpowiedzialność przejął oficer Schutzpolizei.

W dniu 5 maja 1945 roku o godzinie 17.00, gdy szykował się apel, na balkonie kamiennej bramy zjawił się amerykański oficer. Stojący obok komendant obozu podał mu swój pas i pistolet.

Kalikst Szymonowicz



Kalikst Szymonowicz (1903-1982), absolwent Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, wyjątkowy pedagog i polonista. Bohaterski nauczyciel Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie.

Alicja Wiech

Jak wygląda woda?

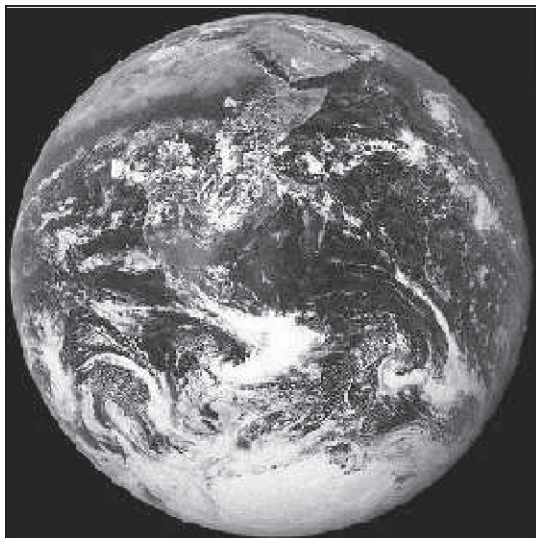
Jak wygląda woda? No, nie, to pytanie jest dziecinnie proste. Przecież każdy wie, jak wygląda woda. Stykamy się z nią codziennie, wiele razy dziennie. Jest bardzo rozpowszechniona: rzeki, stawy, jeziora, morza, oceany. Woda w kranie, woda w czajniku, woda w wannie. Pijemy ją, myjemy się w niej, podlewamy nią rośliny.

Józio oświadczył: „Woda mi zbrzydła,

Dość już mam szczotki, wstręt mam do mydła!”

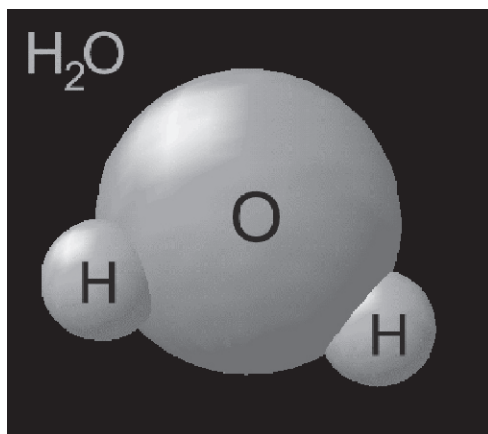
(J. Brzechwa, *Brudas*)

Gdzie nie ma wody!? Chyba tylko na pustyni o nią trudno. *Nie ma, nie ma wody na pustyni* (Bajm). Poza tym wszędzie właściwie możemy ją napotkać. Najwięcej w stanie wolnym - w postaci płynnej, stałej (lód) oraz gazowej (para wodna). *Para - woda w natchnieniu* (J. Tuwim). Tyle samo jako składnik wszystkich organizmów żywych - zwierząt i roślin. Stanowi aż 70% masy ciała dorosłego człowieka; nawet w kościach jest jej 20%, a w liściach i owocach - aż 90%. *Ludzie są jak morze, czasem łagodni i przyjaźni, czasem burzliwi i zdradliwi. Przede wszystkim to jednak tylko woda* (A. Einstein). Bez wody nie istniałoby życie. *Chcesz być zdrowy, młody, nie stroń nigdy od wody* (A. Klimuszko). Wreszcie, niektóre związki chemiczne (hydraty) zawierają cząsteczki wody w swoim składzie. Ponad 71% powierzchni naszej planety stanowi woda. Występuje na ziemi (*wody powierzchniowe*), pod ziemią (*wody podskórne, gruntowe, głębinowe*) i nad nią - w powietrzu (para, chmury). Ta, którą pijemy to woda słodka, choć tak naprawdę woda (czysta, rzecz jasna) nie ma smaku, jest też bezbarwna (choć w większych ilościach sprawia wrażenie niebieskawej) i bezwonna. *Woda w naczyniu błyszczy, woda w morzu jest ciemna* (R. Tagore). W dziele Antoine'a Saint-Exupéry'ego *Ziemia, planeta ludzi* (opowieść *W sercu pustyni*), do umierającego z pragnienia na pustyni podchodzi Beduin z naczyniem pełnym wody: *Wodo, nie masz ani smaku, ani koloru, ani zapachu, nie można ciebie opisać, pije się ciebie nie znając ciebie. Nie jesteś niezbędna do życia: jesteś samym życiem. Zasady gościnności Bliskiego Wschodu wymagały poczęstowania wędrowca świeżą wodą do picia i do umycia zmęczonych stóp. Temu, kto ofiarował ci kroplę wody, zapłać niewysychającym nigdy źródłem* (D. Diderot). *Najmądrzejsze słowa nie napoją spragnionego, tak jak kubek wody* (Sofokles). Nawet w ciężkich więzieniach dawano do jedzenia chleb i wodę. Przysłowia: *Gdzie chleb i woda, tam nie ma głoda. Chleb i woda - ludzka wygoda. Chleb z wodą życie utwierdzą.*



Powierzchnia Ziemi.

Wodą nazywamy tlenek wodoru - H_2O . Cząsteczka wody składa się z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu. Można to przedstawić schematycznie w postaci połączenia trzech sferycznych atomów. Pod względem chemicznym istnieje też ciężka woda - to tlenek deuteru D_2O czyli izotopu wodoru 2. Organo-leptycznie nie różni się ona od zwykłej wody. Można by rzec: „woda, jaka jest, każdy widzi”. Ale fakt, że występuje ona w trzech stanach skupienia, z których każdy wygląda zupełnie inaczej, a mimo tego można nazywać go wodą sprawia, że pytanie o jej wygląd nie jest takie banalne.



Cząsteczka wody.

Ogromna większość wody (ponad 97%) jest słona. Zawiera dużo rozpuszczonych soli, głównie chlorku sodu. W wodzie rozpuszczonych jest też wiele gazów, przede wszystkim dwutlenek węgla. Słona woda nie nadaje się do picia. Ale słodka - z dwutlenkiem węgla czy bez - jak najbardziej. Tej jest jednak znacznie mniej - zaledwie ok. 3%. *Gdy ludzie są sobie przyjacielscy, nawet woda staje się słodka* (przysł.). Występują też wody mineralne - są to przeważnie lecznicze wody zawierające różne sole lub inne składniki w postaci jonów; wody gazowane (sodowe) sztucznie nasycone dwutlenkiem węgla; woda destylowana - pozbawiona soli mineralnych. Użytkownicy pralek, czajników zwracają uwagę na wodę twardą, i raczej preferują wodę miękką. W medycynie stosowane są (lub były) woda utleniona (3% wodny roztwór nadtlenu wodoru H_2O_2), woda Burowa (roztwór zasadowego octanu glinu), woda gulardowa (roztwór octanu ołowiu), woda karbolowa (zawierająca fenol). Jest też szereg związków określanych jako woda, ale są to zupełnie inne płyny: woda amoniakalna (roztwór wodny amoniaku), woda wapienna (roztwór wodorotlenku wapnia), woda królewska (mieszanina stężonego kwasu solnego i azotowego) czy coś bardziej przyjemnego - woda kolońska (eau de Cologne) stosowany jako perfumy roztwór olejków eterycznych i innych substancji zapachowych, którego produkcję rozpoczęto w XVIII w. w Kolonii. Pochlebstwa są jak woda kolońska: do wachania, nie do połykania (J. Billings).



Oryginalna woda kolońska.

Nie sposób nie wspomnieć o wodzie, z łaciny nazywanej *aqua vitae* (woda życia), po staropolsku - *okowița*, a współcześnie, konkretnie i nieco żartobliwie - o wodzie ognistej. Trochę pijackie przysłowie mówi: *Od wody żaby się w brzuchu lęgną*. A inne - *Od wódki częste smutki, a od wody człek zdrowy i młody*. *Drogi psuje woda; ludzi psuje wódka*. Różne są poglądy na rolę alkoholu w twórczości. Poeta Kratinos (V w. p.n.e.): *Z picia wody nigdy nie powstaje sztuka*; podobnie Horacy (I w. p.n.e.): *Nie przetrwają pieśni powstałe przy wodzie*. Ale pisarz amerykański H. D. Thoreau (XIX w.) mówił: *Woda to jedyny napój mądrego człowieka*. Z drugiej jednak strony: *Wszyscy źli ludzie piją wodę, czego niezbitym dowodem był potop* (przysł.). Od starożytności pozostaje aktualne: *In vino veritas, in aqua sanitas* - w winie prawda, w wodzie zdrowie.

W tradycji wielu narodów i kultur, woda pojmowana była jako pramateria, początek przyrody. Takim był egipski ocean pierwotny Nun. Według Babilończyków, u zarania dziejów byli tylko: Apsu - pierwotna słodkowodna otchłań i Tiamat - ocean wody słonej. Tales z Miletu uważał, że woda jest podstawą wszelkiej rzeczy; z wody jest wszystko i wszystko do wody powróci. Uzasadniał ten pogląd obserwacją: wszystko, co żywe, żyje wilgocią, a co martwe usycha, zarodki wszystkiego są mokre, a pokarm - soczysty; woda zatem jest życiodajna. W Księdze Rodzaju: *ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód, a Duch Boży unosił się nad wodami[...]* A potem Bóg rzekł: „Niechaj powstanie sklepienie w środku wód i niechaj ono oddzieli jedne wody od drugich!”. Według prastarych wyobrażeń, Ziemia - jako płaski dysk - unoszona była na bezkresnym oceanie.

Woda jest jednym z czterech żywiołów (pozostałe to ogień, powietrze i ziemia). Cztery korzenie wszystkich rzeczy: ogień, powietrze, woda i ziemia (Empedokles). Uchodziła za żywioł szlachetny. Woda najszlachetniejszym z żywiołów (Pindar). O dwóch przeciwieństwach mówimy tradycyjnie: ogień i woda. Woda to żywioł płynny, nie pozwoli się tak łatwo zdominować (P. Coelho, *Pielgrzym*). I w naszym współczesnym pojęciu woda może być żywiołem. Siła wody objawia się w sztormach, wodospadach, fontannach, powodziach, falach tsunami (A. Reguński: *Fale - woda z grywą*). Im woda fontanny wyżej w górę bije, z tym większą siłą spada (przysł.).

Wodospady huczące, gwałtowne
i jeziora ciche, spokojne,
i zielone, stojące stawy,
i górskie spienione siklawy,
i rzeki bez przerwy w podróży,
i morze, które nigdy nie znęży,
i najczystsze wody źródlane
są wieczności Wielkim Oceanem.

(L. Marjańska, *Nad wodami*)

*Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
(A. Mickiewicz, Świtezianka)*



Wodospad Iguasu.

Ogromna siła i energia, jaką niesie ze sobą woda wykorzystywana jest w elektrowniach. Ale nawet z pozoru spokojny strumyk ma swoją niewiarygodną moc. Przysłowia: *Nawet w twardej skale woda wydrąży drogę. Woda drąży kamień nie siłą, lecz częstym padaniem. Tam, gdzie woda rządzi, ziemia się poddaje. Jeśli woda spokojna, nie sądzi, że nie ma w niej krokodyli. Najgłębsze rzeki płyną cicho; cicha woda brzegi rwie. Strzeż się cichego psa i cichej wody. Cicha woda młynarza nie wzbogaci.* Woda bywa cicha, ale wydaje też dźwięki. Może szumieć (szumy na Tanwi), bulgotać, huczeć, chlupać, pluskać. *Bóg lubi, kiedy szumią Jego źródła. Ale nikt nie wie, jakie młyny napędza ta woda* (K. H. Waggenerl).

*Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie*

(A. Asnyk, *Huczy woda po kamieniach*)

*Szklanym łukiem drżą fontanny, źródła skalne
dźwięczą,
pluszczą krople: jedna, druga, trzecia, czwarta,
piąta, szósta...*

(M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Woda*)

Woda symbolizuje życie. Woda zmywa brud i grzech. W wielu religiach zanurzenie w wodzie stanowi oczyszczenie i odrodzenie. Obrzęd chrztu w Kościele katolickim odbywa się przez polanie głowy wodą, bywa też że przez zanurzenie całego ciała w wodzie. Dokonuje się tego *wodą święconą*. Można bać się czegoś *jak diabeł święconej wody*.

*Szatan jest człowiekiem
chrześcijaninem
Woda chrztu go obmywa
i szczypta soli utwierdza*

(A. Kamieńska, *Biografia szatana*)

W chrześcijaństwie motyw wody występuje wielokrotnie - od starotestamentowego potopu, rozstąpienia wód Morza Czerwonego, wody wypływającej ze skały, gdy Mojżesz uderzył w nią laską, przejścia przez rzekę Jordan u progu Ziemi Obiecanej, po cud przemiany wody w wino w Kanie Galilejskiej, umycie nóg apostołom przez Chrystusa w Wielki Czwartek, rozmowę Jezusa z Samarytanką przy studni Jakuba: *Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu* (Jn., 4, 13-14), obmycie niewidomego w sadzawce Siloe, chodzenie Chrystusa po wodzie jeziora, umywanie rąk Poncjusza Piłata czy wodę wyciekającą z przebitego boku Chrystusa.



Chrzest Chrystusa w rzece Jordan - ikona.

Popularne są także kulty patronów różnych źródeł. Woda z nich uchodzi za uzdrawiającą. Niektóre są odmładzające, inne wzmacniające siły, przywracające zdrowie. *Od wody człek młody.* W wielu miejscowościach uzdrowiskowych rozmieszczone są naturalne zasoby wód mineralnych. Dawne określenie pobytu w uzdrowisku - *pojechać do wód*. Cały dział medycyny poświęcony kąpielom, masażom, łaźniom, natryskom itp. nosi nazwę wodolecznictwa (hydroterapii). - *Szkoda, że nie jest grzechem pić wodę - powiedział pewien Włoch. - Tak świetnie by smakowała* (G. Ch. Lichtenberg).

W naszej kulturze patronem tego, co łączy się z wodą jest św. Jan Nepomucen. Jako opiekun chroniący przed powodziami i ratujący tonących, pilnuje on przejść rzecznych, wysychających studni i źródeł. Żył w drugiej połowie XIV w. Był kanonikiem w Pradze. Wskutek zatargu z czeskim królem Wacławem IV został torturowany, a potem zrzucony z mostu Karola do Wełtawy i utopiony. Według legendy, gdy zwłoki Jana płynęły Wełtawą, wokół jego głowy pojawiło się pięć gwiazd, tworzących świetlistą aureolę. Figurki św. Jana Nepomucena są dziś częste przy mostach, kładkach, rzekach, źródłkach.



Figura św. Jana Nepomucena w Pradze

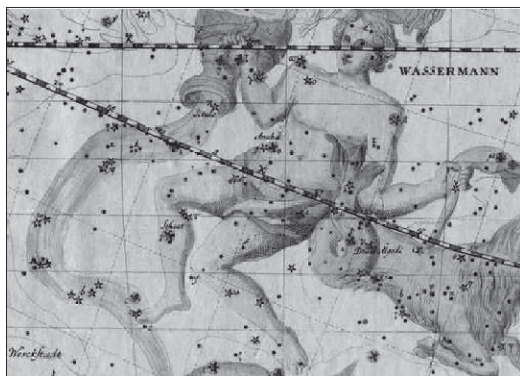
Woda może być narzędziem kary lub sądu. W potopie giną wszyscy niegodziwi ludzie, w Morzu Czerwonym tonie wojsko faraona, nieposłuszny Panu Jonasz zostaje wrzucony do morza. Księga Liczb wspomina o próbie wody wobec podejrzanej o cudzołóstwo. Specjalnie spreparowaną wodę goryczy dawano pić kobiecie. Jeśli jest winna *tono jej spuchnie, a biodra zwiotczą* (Lb., 5, 27). Stosowana w średniowieczu próba gorącej wody polegała na zanurzeniu ręki oskarżonego we wrzątku; jeśli nie było śladów poparzenia - był niewinny. Wobec domniemyanych czarownic stosowano próbę zimnej wody (pławienie). Wierzono bowiem, że czarownica nie może utonąć. Skrępowaną oskarżoną wrzucano do wody. Jeśli utonęła - była niewinna. Jeśli nie - była czarownicą i czekał ją stos. Ale jest też w wodzie nadzieja: *Gdy cię mają wieszać, poproś o szklankę wody. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, zanim przyniosą* (A. Sapkowski).

Z wodą powiązane jest całe nasze życie: *Chrzest przyjmuj wodą, ślub polewaj wódką, a śmierć płakaniem*. Przejście ze świata żywych do świata umarłych w mitologii greckiej stanowiła rzeka Styks, a dusza zmarłego, pijąc wodę ze źródła Lete zapominała o swoim przeszłym żywocie. W mitologii greckiej najważniejsze bóstwa wodne to: Posejdon - władca mórz i oceanów, Eurybia - bogini morskiej siły, Nereus - opiekun żeglarzy, Pontos - bóg głębin, Okeanos - ojciec wszystkich rzek. Mitologię rzymską reprezentują: Neptun - bóg wód, chmur i deszczu, Juturna - bogini źródeł, Salacja - uosobienie słonej wody. Ulubionym napojem bogini Artemidy była woda źródłana, którą przedkładała nawet nad ambrozię. W tradycji istnieje wiele świąt i obrzędów związanych z wodą. Takimi są: topienie marzanny, śmigus-dyngus, sobótki, noc kupały, rzucanie wianków na wodę. W świecie baśni obecne są liczne duchy bagien i mokradeł, nimfy wodne, rusałki i syreny. Najświętszą rzeką Indii jest Ganges. Jej źródła wypływają u stóp Brahmy i spływają po włosach Siwi. Rzeką Nil wymieniana jest w Biblii m.in. w opisach ocalenia Mojżesza, plag egipskich, snów faraona. Symboliczne znaczenie miały rzeki Jamuna, Tybr, Jordan, Eufrat, Skamander czy Rubikon.

Cechą wody jest zmienność. Woda jest żywa. Znajduje się w ciągłym ruchu - płynąca rzeka, padający deszcz, wzburzone morze (albo choćby *burza w szklance wody*). *Nie można wejść dwa razy do tej samej wody* (nic dwa razy się nie zdarza). *Woda, której dotykasz w rzece, jest ostatkiem tej, która przeszła, i początkiem tej, która przyjdzie; tak samo teraźniejszość* (L. da Vinci). Woda przybiera kształt naczynia, do którego się ją wlewa. *Woda pasuje i do kwadratowego, i do okrągłego naczynia* (przysł.). *Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie* (przysł.). *Jesteś niestały jak woda* (Biblia, Gen. 49, 4). Z tą cechą wody wiążą się wyrażenia: *coś na wodzie pisane, w gorącej wodzie kąpany, idzie jak woda. Złe obyczaje człowieka wykuwa się w brzoje, cnoty zapisuje się na wodzie* (W. Shakespeare). Zmienność wody kojarzy się z upływem czasu: *Rok za rokiem, jak woda potokiem. Ani się woda wróci, która upłynęła, także ani godzina, która już minęła*. Wylewanie wody jest zwykłą czynnością jej pozbywania się, ale *lanie wody* to już zupełnie co innego. Według dawnego rytuału *lać wodę na szablę* znaczyło tyle, co zawrzeć zgodę, przymierze, braterstwo. *Lać wodę na czyj młyn* jest niczym innym jak działaniem na czyjąś korzyść. A w slangu młodzieżowym *woda w piwnicy* określa zbyt krótkie spodnie, podobnie jak *lanie wody* jest po prostu mówieniem pozbawionym treści lub nie na temat. *Nowi poeci zbyt wiele wody wlewają do atramentu* (J. W. Goethe).

*Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki,
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne*
(A. Mickiewicz, *Nad wodą wielką i czystą...*)

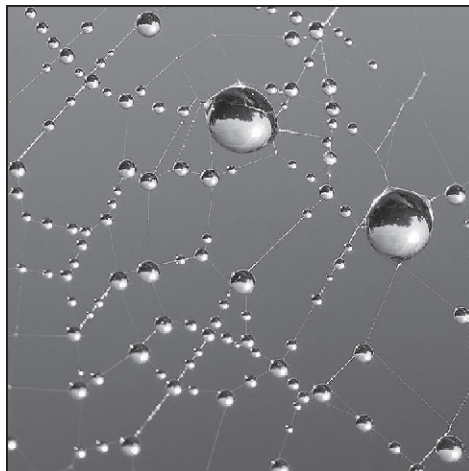
W astrologii łączy się wodę z czterema znakami zodiaku: Rakiem, Skorpionem, Wodnikiem i Rybami. Wodnik (*Aquarius*) jest gwiazdozbiorem widocznym u nas najlepiej wieczorem jesienią. Wyobrażany jest jako mężczyzna wylewający wodę z dzbanka. Na niebie są zresztą inne gwiazdozbiory związane z wodą (Rzeka Erydan) lub innymi zwierzętami wodnymi: Delfin, Wąż Wodny, Ryba Latająca, Złota Ryba, Ryba Południowa. W kosmosie też występuje woda. Odkryto ją na Marsie, najprawdopodobniej jest w głębi księżycowych kraterów, na niektórych księżycach Jowisza, a także w dalekich obszarach naszej Galaktyki.



Ryby i woda często kojarzą się z... doskonałym samopoczuciem (czuć się *jak ryba w wodzie*) lub wręcz przeciwnie - *jak ryba wyjęta z wody*, prowadzeniem „brudnych” interesów (*łowić ryby w mętnej wodzie*), dumą i zarozumiałością (*woda sodowa uderza do głowy*), milczeniem (*nabrać wody w usta*), zaginięciem (*jak kamień w wodę*), samodzielnością i ryzykiem (*rzucić się na głęboką wodę, puszczać na szerokie wody*), dalekim pokrewieństwem (*dziesiąta woda po kisielu*). *On Horeszkom dziesiąta woda po kisielu* (A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*). *Rzuć szczęściarza do wody, a wypłynie z rybą w zębach*. Woda ma swoje święto - 22 marca.

Czysta woda jest symbolem prawdy, uzdrowienia i porządku. *Czysta woda zdrowia doda*. Można *wypłynąć na czyste wody* (wyjść z tarapatów), według przysłowia: *Kto chce mieć czystą wodę, niech idzie do źródła*. Blask drogich kamieni najlepiej oddaje porównanie: *diamant czystej wody*. U Goethego woda jest zwierciadłem

duży: *Duszo ludzka, jakżeś podobna do wody!* Leniwie płynąca woda w rzece, fale uderzające o brzeg jeziora lub rozbijające się o falochron, nocny spacer nadmorskim bulwarem sprzyjają rozmyślaniom, oderwaniu od rzeczywistości, kontemplacji: *Bo woda i rozmyślania kojarzą się z sobą* (G. Swift, *Kraina wód*).



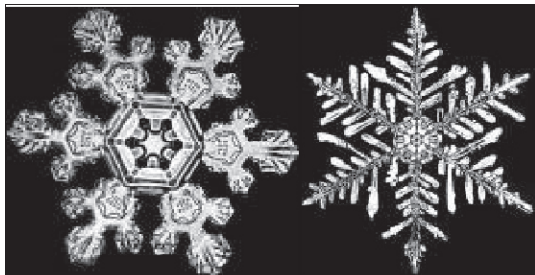
Krople wody na pajęczynie.

Woda na pierwszy rzut oka wydaje nam się zawsze taka sama. Powiedzenie mówi nawet: *podobni jak dwie krople wody*. Ale to nie zawsze jest prawda.

*Nie starczy ust do wymówienia
przelotnych imion twoich, wodo.*
(W. Szymborska, *Woda*)

To zwyczajne H₂O może wyglądać bardzo różnie. Przecież śnieg to też H₂O. Jak wyglądają płatki śniegu? Przecież każdy z nich jest inny! Eskimosi mają kilkanaście wyrazów na określenie śniegu. My - kilka: zamieć, śnieżycza, kurzawa, zadymka, a także szreń. A deszcz? - H₂O. Ile my mamy postaci deszczu? Mżawka, kapuśniaczek, siąpanina, ulewa, nawałnica, oberwanie chmury, deszcz majowy, deszcz jesienny, jest też coś, co nazywa się virga (deszcz niedocierający do ziemi). Lód także nie jest taki jednorodny. Inaczej wygląda na jeziorze, inaczej na szybie w oknie. Grad to też lód. Szron - lód. Szadź i gołedź - osady z lodu. To wszystko H₂O. Coś pośredniego między śniegiem a lodem to firn. Bywają też krupy śnieżne lub lodowe - to takie samo H₂O. Mgła jest z H₂O i chmury też, i rosa... A wszystko to wygląda inaczej!

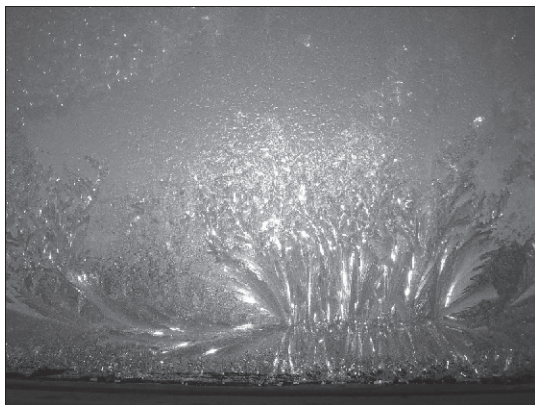
Woda. Tlenek wodoru. Oksydan. Monotlenek diwodoru. *Na tym świecie nie znam nic bardziej tajemniczego od wody* (E. Cioran).



Płatki śniegu.



Mgła



Lód na szybie.

Jest tak powszechna i tak różnorodna, tak niezbędna i tak niezauważana, tak czczona i tak trwoniona. Gdzieś jest poszukiwana na wagę złota, gdzie indziej stanowi klęskę obfitości. *Nigdy nie pojmimy wartości wody, dopóki studnia nie wyschnie* (T. Fuller). Nie można jednoznacznie i autorytatywnie, jasno i konkretnie, krótko i zwięźle, bez zastrzeżeń i wątpliwości odpowiedzieć na pytanie:

jak wygląda woda?

Alicja Wiech

Andrzej David Misiura

Z

Współcześnie Rzeczpospolita Babińska określana byłaby mianem stowarzyszenia, a w XVI-wiecznej rzeczywistości, w Polsce Złotego Wieku, objawiała się jako elitarne towarzystwo w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tworzyły ją rody i przedstawiciele szlachty polskiej. Sama nazwa potwierdza jej satyryczny charakter. Na spotkania nazywane giełdą (pomysł zaczerpnięty od gdańszczan), zjeżdżali nie tylko zaprzyjaźnieni sąsiedzi, ale i znakomitości w osobach takich jak Jan Andrzej Morsztyn, Walerian Otwinowski, Andrzej Trzeciński, Mikołaj Sęp-Sarzyński, Stanisław Sarnicki, Mikołaj Rej, a także Jan Kochanowski ze swoim bratem Andrzejem i zięciem Filipem Łobodowskim. Listę dałaby się jeszcze uzupełnić, ale i ta w zupełności wystarcza, aby udowodnić rangę i popularność zjawiska, które stało się lubelskim ewenementem na skalę Europy.

Towarzystwo Rzeczpospolita Babińska było niczym innym jak parodią państwa. W żartobliwej twórczości literackiej wyśmiewano przywary, wymyślano śmieszne, kłamliwe opowieści i anegdoty na przeróżne tematy. Za najbardziej trafne lub niewiarygodne nadawano ich autorom tytuły na wzór urzędów państwowych. Jeżeli więc żołnierz chwalipięta rozprawiał o swoim wydumany męstwie, nadawano mu godność rycerza, a nawet hetmana. Takiej samej miary przechwałki o sukcesach na polowaniach pretendowały do tytułu wielkiego łowczego. Podobnie rzecz się miała co do receptur medycznych lub wymyślnych sposobów leczenia, za co można było zostać nadwornym lekarzem. Przekorny tytuł oratora przypadła na przykład jąkałe, a opojowi nadawano urząd strażnika piwnicy. Można było też zyskać godność biskupa, senatora, a nawet kanclerza. Wszystko odbywało się zgodnie z maksymą *omnis homo mendax*, czyli *każdy człowiek jest kłamcą*. Urzędy zazwyczaj nadawano od ręki podczas zabawy, zakrapianej (podobnie jak dzisiaj) winem albo okowitą, a później potwierdzane były i przesyłane na piśmie opatrzonym woskową pieczęcią.

Inicjatorami tej wesołej społeczności, powstałej w latach 1550-1560 byli sędziowie lubelscy: Stanisław Pszonka (ok. 1511-1580) z Babina i mąż jego bratanicy Anny, Piotr Kaszowski (zm. ok. 1594) dziedzic Wysokiego w Krasnostawskim, który po śmierci Pszonki jeszcze 12 lat patronował babińskiemu towarzystwu. Po półwieku, bo od 1601 roku ród Pszonków, rozpoznając zapewne historyczne znaczenie babińskich spotkań,

zdecydował się regularnie zapisywać bezcenne historie i anegdoty. Kronikę *Dla pamięci urzędników babińskich* registr rozpoczął Jakub Pszonka, potem jego zięć Wacław Zamojski, a jako ostatni skończył składać zapisy, z chwilą swojej śmierci w 1677 roku, Adam Pszonka. W rejestrze znalazło się 413 opowieści. Bywa, że niektóre powtarzają się, część zaczerpnięta jest z twórczości ludowej, a nawet z Boccaccia, niemniej jednak przedstawiają dowód na twórcze ambicje tego swobodnego literackiego bractwa.

Nie należy jednak sądzić, że Babin był jedyną miejscowością, w której odbywały się literackie zjazdy. Takie towarzystwa istniały już we Francji, Włoszech i w Polsce. Dla przykładu - sto lat wcześniej (1450) w Łańcucie podobnie zabawiła się *Fraternitas Sacerdotum*, co się tłumaczy „Bractwo Kapłańskie”. Na dworze Zygmunta Starego działało też Towarzystwo Hulaszcze Obojga Płci Sodalitium, Rzeczpospolita Waśniowska, czy Rzeczpospolita Kleczewska.

Panowała więc swego rodzaju moda i sposób na ciekawsze i pożyteczniejsze spędzanie czasu. Było to jednocześnie ćwiczenie umysłu, rozwijanie dowcipu, formy i trafności wypowiedzi, spostrzegawczości, a wreszcie dystansu do świata i, wydaje się, najcenniejszej zalety - samokrytycyzmu. Humor ten był częstokroć przaśny i podkasany, ale zawsze prezentowany z klasą, jakiej dzisiaj szukać ze świecą, nawet wśród współczesnej inteligencji. Dlaczego tylko Babin w takim wymiarze przeszedł do historii? Zastanawiają się i chwalać go za wyjątkowość jedni historycy, a inni próbują oceniać, że w przeliczeniu na rok zbyt mało wymyślano dowcipów, że nie były błyskotliwe, że trudno w nich znaleźć satyrę itd. Twierdząc dalej, że dotychczasowe hasło Babińczyków: *Ridendo castigo mores (śmiechem naprawiam obyczaje)*, powinno być zamienione na: *Scribimus et bibimus (piszemy i pijemy)*. Jedyną zaś niepodważalną wartością dostrzeganą w Rzeczpospolitej Babińskiej był program wyszydzania absurdów życia publicznego w Polsce m.in. kpina z tytułomanii. W niektórych współczesnych opracowaniach Rzeczpospolitą Babińską porównuje się nawet do kabaretu.

Na obronę Babina mam kilka argumentów, mianowicie po pierwsze: dowcipy, z perspektywy czasu nie zawsze przemawiają do nas tak, jak zasłyszane po raz pierwszy. Coś innego śmieszyło sto lat temu, a co innego dzisiaj. Trudno więc po latach wydawać sprawiedliwy osąd. Po drugie: z czego innego mogą się śmiać w Lublinie, czy Poznaniu, a już na pewno w Londynie. Nawet mój sąsiad ma inne poczucie humoru, coś więc dopiero badacz-historyk. Po trzecie: satyra, czy humor sytuacyjny są trudne do opisanie. Tego się słucha i ogląda, a przeniesienie na papier wymaga

mistrzostwa i wcale nie znaczy, że stworzony zostanie wierny, jednakowo rozśmieszający obraz. Po czwarte: nie wszystkie historie na giełdach babińskich zostały zapamiętane i zapisane. Niektóre mogły być przecież za mało rubaszne i odpadły w pierwszej selekcji. Możliwe, że następne utracone to te, opowiedziane zbyt cicho i bez przekonania itd. Wreszcie nie wiadomo, czy kronikarz miał motywację, aby wszystko zapisać, stąd może się badaczom brać tak niska statystyka, chociaż i tak powinni być wdzięczni za pozostawienie jedynej dokumentacji. Inne stowarzyszenia nie prowadziły jej, czyżby zajęte zabawą, a może nie miały o czym pisać? I sprawa zarzutu koronnego: „piszemy i pijemy”. Zapytam, a gdzie się nie pije (nie mylić z nadużywaniem)? Dzisiaj to nawet ten zestaw dla literatury jest bardziej niebezpieczny, ponieważ bywa realizowany w odwrotnej kolejności: „pijemy i piszemy”! Nie chciałbym też głośno mówić, że abstynentem jest tylko chory, albo alkoholik po skutecznym odwyku. Wytykanie więc pijaństwa w Babinie to chyba nie najtrafniejszy argument.

Prawdopodobnie wyższość Rzeczpospolitej Babińskiej (nad innymi stowarzyszeniami) brała się z konsekwentnej wieloletniej aktywności i członkostwa znanych literatów. A już na pewno przysłużył się do tego jej współzałożyciel, błyskotliwy Piotr Kaszowski, kierując ją na tory, chociaż nie miał najznamienitszych korzeni. Fakt ten byłby potwierdzeniem reguły, że kultura owocnie rozwija się tylko wokół wybitnych jednostek, i jeżeli takowych brakuje to najświetniejszy rodowód i najlepiej wyposażone ośrodki kultury i tak nie są w stanie jej namnożyć. O niezwykłości tego miejsca zaświadcza literatura, dowodem są opisy Rzeczpospolitej Babińskiej w *Annales* przez Sarnickiego w 1582 roku. Temat podejmą też poeci Bartłomiej Wrześnianin i Jan Achacy Kmita w 1617 roku. Po Sarnickim powtórzą Hartknoch (1694) i Chwiałkowski (1696). Na następne dokładniejsze opracowanie trzeba będzie długo czekać na księdza Szaniawskiego do 1818 roku, który posługując się cudem odzyskanym z rąk szwedzkich rejestrem znacznie uzupełnił wiedzę. Sława o Babinie dotarła do Niemiec i Francji, o czym świadczy tytuł paryskiego wydawnictwa satyryczno-humorystycznego *Pszonki* (1832) i liczne artykuły prasowe. Obrazu literackiego dopełniła trzyaktowa komedia autorstwa Franciszka Wężyka (1786-1862) pt. *I ja też, czyli Rzeczpospolita Babińska*. Ten sam temat podjął także Adolf Nowaczyński (1876-1944) układając świecą krotchwilę w trzech sprawach (aktach) pt. *Jegomość pan Rej w Babinie*.

Towarzystwo znalazło swoje miejsce także w malarstwie, a uwiecznił je nie byle kto, bo sam Jan Matejko. W 1881 roku namalował wielofigurową kompozycję, którą następnie skopiowano w warszawskiej drzeworytni Bronisława Puca i W. Ciechomskiego, a następnie wydrukowano w nr. 37(1883) Tygodnika Powszechnego. Oryginalności Rzeczpospolitej Babińskiej nie oparł się znany w Paryżu krasnostawski grafik Antoni Oleszczyński (1794-1879). Wykonał staloryt, który przedstawia dwóch satyrów gestykulujących nad rozpostartym rulonem papieru z postaciami Pszonki i Kaszowskiego. W głębi znajduje się sarkofag z inskrypcją *STANISLAO PSZONKA ET PETRO KASZOWSKI POSTERITAS POLONA DICAVIT*, na tle typowo polskich sosen i wierzb płaczących. Grafika opublikowana została w *Varietes polonais (Rozmaitości polskie)* wydawanych w Paryżu w latach 1832-1833. Oleszczyński dedykował ją rodakowi na emigracji Ferdynandowi Dienheim Chotomskiemu (1797-1880), który był lekarzem, pisarzem, malarzem i także grafikiem.



„Rzeczpospolita Babińska i jej twórcy”, grafika ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie.

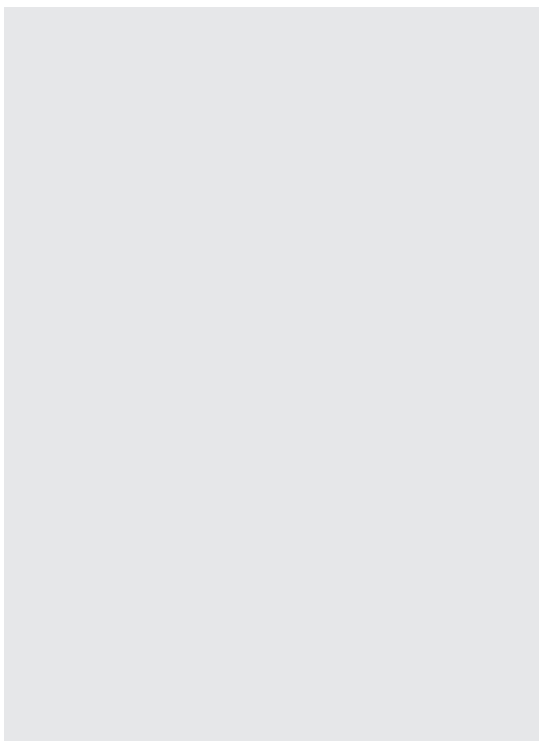
Współcześni historycy literatury skłanialiby się za twierdzeniem, że wieś Babin znad Bychawki w okolicach Lublina przeszła do historii wyłącznie dzięki spokrewnionemu z jej właścicielami Sarnickiemu. I mają wiele racji. Chociaż wskazują na przykład na zmienną kolejność zapisów w *Annales*, co świadczyłoby może o naciąganiu tematów, oraz na to, że z jakiejś racji Sarnicki

podejrzanie poświęca jej najwięcej uwagi. Trwają więc kolejne rozważania, ale sympatycy i tak wiedzą, iż Sarnicki pisał, co uważał za słuszne, bo wolno było mu to robić. A historii i tak nikt i nic nie nakłoni do spamiętania dziejów, jeżeli same na to nie zasłużą.

W ostatnich latach fenomenem Babina na nowo zajęła się znawczyni staropolskiej kultury, a zwłaszcza starych druków Paulina Buchwald-Pelcowa, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Warszawskim i w Bibliotece Narodowej, autorka monografii *Satyra czasów saskich*. Interesujące studium jej autorstwa w omawianym temacie znalazło się w pozycji *Literatura i pamięć kultury* (UMCS, Lublin 2004, ss. 398).

W najbliższych miesiącach natomiast, sarmacką niespodziankę szykuje mieszkańcom Krasnegostawu i okolic Siennica Różana. Jak można się domyśleć macza w tym palce Amatorski Teatr Pokoleń, który rozpoczął już próby widowiska opartego na historii Rzeczpospolitej Babińskiej.

Andrzej David Misiura



- Roku Pańskiego 1614, 9 lutego. Jegomość pan Jan Karucki został *wróżbitą babińskim*, opowiadając jak to ksiądz Woronecki radził swojej zguby dochodzić. Proponował, aby w doniczkę sadzy nasypać i na niej kokos zasadzić, a wiadomo, że każdy złodziej ręce tam włoży. Wtedy po czarnych dłoniach łatwo sprawcę rozpoznać. (87)
- Pewnego razu (27 stycznia 1625) w domu Wacława Zamojskiego, w tym czasie *marszałka babińskiego*, Starosta Krasnostawski Jakub Sobieski opowiadał, jak to nie schodząc z konia, zjadł niedźwiedzia. (162)
- Tego samego dnia pan Jan Wydźga (ojciec arcybiskupa) posłał woj. ruskiego na sejm walny warszawski, będąc w ekspedycji chocimskiej na wojnie z cesarzem tureckim Osmanem, opowiadał, jak z obozu tureckiego wystrzelono z wielkiego działa. Kucharz, widząc jak kula leci wprost na nasz obóz chwycił ją oburącz i czym prędzej odrzucił z powrotem. Kula zniszczyła trzy tureckie namioty. Urząd - *starszy nad cekhauzem babińskim*. (163)
- W Strynie, dziedzicznej wsi pana Jana Zaporskiego, pięć kłaczy, chadząc stadem, niby utonęły w miejscowym stawie. Po kilku dniach te same kłacze wypłynęły w stawie, ale krasnostawskim. Za tę opowieść nadaje się urząd *koniuszego babińskiego*, z pobożnym życzeniem, aby ten na przyszłość takie stada całymi piątkami do Babina przyprowadzał. (184)
- 16 lutego 1637 roku pan Marek Zwiartowski twierdził, że w Tarnogórze jest taki staw, w którym karpie są w rozmiarze największego chłopca. Podobno ten bełk nie ma dna, a za ryby w nim wyłowione można byłoby kupić nawet dwie Tarnogóry. Nadano *urząd rybacki*. (194)
- 27 grudnia 1621 roku pan Stefan Śladkowski przy stole Biskupa Chełmskiego Macieja Łubieńskiego (późniejszego prymasa) wspominał, jak w Moskwie jego koń z głodu ścianę przegryzł i gdyby nie uprząż uciekłby przez wygryzioną dziurę. Za opowieść mianowano Śladowskiego *podkoniuszym nadwornym*. (158)
- 12 listopada 1622 roku w Babinie pan Starosta Tyszowiecki Aleksander Myszkowski opowiadał, że w jego majątności w Dubie rosną dęby, na których rodzą się tak olbrzymie żołędzie, że jednym można nakarmić trzy wieprze. *Ekonom babiński bardzo pożyteczny*. (159)
- Innym razem Aleksander Myszkowski, zięć babiński, był w Naystadzie, mieście niemieckim, i pił wino z olbrzymiej beczki, goszcząc u mnichów. Tam wysłuchał opowieści, jak jeden mnich klucznik zaginał bez wieści. A kiedy wreszcie po latach beczka zaczęła się opróżniać, znaleziono na jej dnie tylko klucze po mnichu. Zrozumiano czemu napój smakował niemile. *Piwniczny babiński*. (173)
- Pan Hiacynt Konstanty Michałowski z Michałowa widział karocę, która po nakręceniu milę jechała. Pan, godzina za godziną biegał za nią i z każdą milą na nowo nakręcał 24 razy. Przypadł mu za to urząd *karocjera babińskiego*. (200)
- Ten sam pan Michałowski widział takiego charta u pana Stanisława Grodeckiego, którym poszczuto na polowaniu zająca. Dziwny zając miał osiem nóg. Początkowo uciekał na jednych czterech nogach, a jak się zmęczył na następnych czterech. I czynił to tak na przemian, ale rączy chart i tak go dogonił, bo nie darmo nazywano go Sokołem. Za to *szczwanym babińskim* jegomość został. (209)
- Pan Stanisław Wronowski, królewicz (bo od wsi pisał się Księski), pisarz grodzki krakowski, został *medykiem babińskim* z tej przyczyny, iż na gorączkę i febrę proponował dobrze piec wypalić i tamże chorego ulokować. Czego sam wielokrotnie doświadczał. (219)
- 3 grudnia 1638 roku pan Szymon Stawski opowiadał, jak ksiądz z Wielkopolski, którego Kłonicą zwano, chcąc udowodnić swoją siłę, przeciągnął przez kościół wóz na kutych kołach. Za to Rzeczpospolita Babińska uczyniła go *procmistrem babińskim*, chociaż tak jak Dawid kamieniami nie ciskał, ale też jest bardzo sławny. Ten sam ksiądz pewnego razu, gdy mu wojsko konie puściło w szkodę, porwał jednego z nich i przez płot przerzucił, aż zwierzak pęknął jak długi. Żołnierze, dowiedziawszy się, szybko pozostałe konie wyprowadzili, ku uciesze kapłana, który miał zamiar wszystkie powyrzucać. (223)
- 18 lipca 1646 roku pan Krzysztof Plecki, będąc w Babinie chwalił się, iż posiada tak rączy charty, że poszczute zające same ze strachu się zabijają. Plecki został *szczwaczem babińskim*. (276)
- 19 sierpnia 1646 roku hrabia Teodor z Tranowa, starosta krzesicki, kłobucki etc. (był wielkim dewotą, jak mówi Niesiecki) opowiadał, będąc na Litwie u szwagra swojego Kazimierza Sapiehy (podkanclerza litewskiego), następująca historię. Pijany Żyd, wracając z miasteczka z chrzcina przyjaciela swojego, zasnął na wozie. Tymczasem niedźwiedź

konia zadusił i krew z niego wyssał. Nagle Żyd ocknął się, sądząc że koń przystanął i a nuż go okładać batem, ale nie domyślał się, że niedźwiedzia zacina. Niedźwiedź, dojadając końską głowę szarpnął się i wpadł prosto w chomąt. Żyd, nic nie podejrzewając, nadal ciął batem, aby ponaglić konia, na co niedźwiedź ze strachu zawrócił do lasu i na sosnę razem z wozem i Żydem wskoczył. Ten zrozumiał co się dzieje jak był już wysoko na sośnie, wtedy zsunął się szybko i pobiegł do wsi na ratunek. Chłopi zabili niedźwiedzia, a skórę, jak by ktoś nie wierzył, może zobaczyć, jadąc za Wilno w kierunku Żmudzi. (285)

- Stary Noe mocnego wina się napił, zasnął i potem nie wiedział ilu miał synów. (295)
- 8 maja 1661 roku pan Jan Myszkowski z Mirowa, starosta tyszowiecki opowiadał jak strzelec jego upatrzył odyńca wielkiego i ślepego, którego niewielkie prosię, podawszy mu ogon w zęby oprowadzało po lesie. Myśliwy ustrzelił ogon przy pysku i szybko podbiegł do ślepego dzika. Chwycił za resztkę ogona i naśladując chrząkanie, zaprowadził powoli do dworu. Myszkowskiemu przypadł tytuł *rotmistrza jego królewskiej mości*. (352)
- 19 września 1669 roku pan Adam Trzemeski („mąż wojenny” wg. Niesieckiego), wśród różnych historii opowiadał o pijanym młynarczyku, który zasnął na pniu drzewa. W tym czasie pień ów, przy młynie tarła piła. Młynarczyk spał tak twardo, że nie poczuł nawet jak został na pół przecięty. (396)
- W domu ojca pana Stanisława Kotarbskiego w Kozarzowie zginął jedwabny czepiec zdobiony perłami. Nakazano wówczas domownikom na nabitą rusznicę przysięgać. Kiedy kolejno wszyscy ten obrządek spełniali, zdarzyło się, że krowa przechodziła przez podwórze i wtedy rusznica wypaliła z nienacką. Gdy później rozprawiano zabity krowę w żołądku znaleziono zaginiony czepiec. Świadkowie zdarzenia uznali, że jest to dobry sposób odnajdywania zagubionych rzeczy. W Babinie dnia 18 października 1677 (miesiąc po pogrzebie ostatniego Pszonki). (412)

Opracował: Andrzej D. Misiura

PS Takie i wiele podobnych historii opowiadano na dworze Stanisława Pszonki w Babinie. Zachowało się ich 413 (414) w księdze pt. *Dla pamięci urzędników babińskich regestr*. W niniejszym opracowaniu znalazły się także niecytowane do tej pory.

Na kolejny tomik poezji Jadwiga Demczuk kazała czekać swym fanom długo, niektórzy twierdzą, że nawet bardzo długo. Trud oczekiwania się jednak opłacił. „Spod stopy, kamyk” opuścił drukarnię na początku br., a 30 kwietnia miało miejsce spotkanie autorskie poetki w sali kawiarnianej Krasnostawskiego Domu Kultury. Ci, którzy tam wtedy byli, do dzisiaj noszą w sobie cząstkę aury lewitującej nad głowami publiczności (i nic tutaj nie ma do rzeczy brak wentylacji).

Pani Jadzia - w chwilach dobrego humoru pozwala mi tak się do siebie zwracać - emanowała tamtego popołudnia prawdziwym blaskiem i poetyckim skupieniem. Stanowiła rzadką dzisiaj do zobaczenia w naturze triadę: Piękna, Rozumu i Ducha. Kiedy młode dziewczę czytała jej wiersze dawne i nowe, sterana dusza człowieka odrywała się od marnej powłoki cielesnej i szybowiała w niedostępnym na co dzień przestworzach wykintu, elegancji, smaku.

Wystrój sali, będący zasługą nieocenionego w takich przypadkach instruktora KDK Stanisława Kliszczka, i podkład muzyczny przygotowany przez tego pasjonata, porwały słuchaczy do swoistego kontredansa artystycznego. Doprawdy, trudno jest sobie wyobrazić organizację spotkania autorskiego stojącą na wyższym poziomie. Sama Jadwiga Demczuk nie dość, że sprawdziła się w roli głównej bohaterki spotkania, to jeszcze znakomicie wypadła jako jego gospodyni, zapraszając co chętniejszych do udziału w dyskusji.

Odważą taką wykażać się m.in. znany zamojski satyryk i poeta Krzysztof Konopa. Specjalnie na tę okazję stąpił na chwilę dojmujące ostrze swojej satyry, a wyjął lirę, na której wyśpiewał frazy niosące otuchę zarówno dla szacownej autorki, jak i nas tam zgromadzonych. Miód spłynął w serca uczestników spotkania. Ten, kto się jeszcze wahał, komu zostawał choćby cień wątpliwości, zaraz po powrocie do domu, otwierał szuflady i wyjmował na światło dzienne owoce ciężkich literackich znojów, aby je pokazać innym i jak najszybciej wydać.

Jedynym dysonansem tej jakże zacnej uczt wierszopisów, przepędzanej w murach równie szacownego przybytku kultury, było wystąpienie znanego wszystkim lokalnym patriotom, prowodyra i birbanta w osobie Mariusza Kargula. Tenże osobnik, nie zważając na liczną reprezentację płci niewieściej i osób młodocianych na sali, wygłosił „pean” na cześć poetki.

No, krótko mówiąc: wstyd i żenada. Należy tylko przypuszczać, że ten „twór” nie przeszedł wcześniej żadnej obróbki jakiegoś zaprzyjaźnionego polonisty, stąd cała masa błędów, potknięć i pomyłek. A już ustęp: „Jeszcze jedna w Norbertinum edycja / A do patologii przyjeżdżać będzie Policja!”, stanowi kompletne nieporozumienie

i brak poprawności dziejowej. Temu krasnostawskiemu mąciwodzie zalecam solenną naukę u jednego z seniorów naszej pięknej rodzimej literatury.

Poza tym cały wieczorek autorski przebiegał w spokojnej i miłej atmosferze. Wszyscy otwierali przed sobą serca, z ust płynęły same pochwały i zachęty do dalszej wyłożonej pracy na niwie twórczości literackiej, nikt nikomu niczego nie zazdrościł i nie marnował filiżanek na próby utopienia w nich sąsiadów przy stoliku. Pani Jadzi należą się zatem wyrazy wdzięczności za tych kilka ciepłych chwil darowanych skromnym mieszkańcom zacnego krasnostawskiego partykularza.

Adalbert Wojciszyn-Skowyrski

Mariusz Kargul

Pean na cześć Jadzi

W Krasnymstawie poetek było wiele
Jedna w trasie, druga w trumnie, trzy w kościele
Zazdrościły Jadzi talentu, klasy, no i Demczuka
Marna dla innych z tego nauka
Co w duszy Jadzinej siedzi
Nie wie spowiednik, nie wiedzą sąsiedzi
Z mężem drze koty, z kotem toczy boje
I tak żyją w Kasjanie, we troje
Do dzisiaj Kraśniczyn łączy roni,
Że ją los stamtąd przegonił
Za to ziemia Cichosza i Szczeka
Zyskała sobie wielkiego Człowieka
Gdy Jadzię dopada przytyły weny
Nagle mąż i kot mają wielkie problemy

Jeden zdążył do sadu drwa trzebić
Choć kwitną dopiero
Drugi pęcherz chce przebić
I wzdycha - wena, o ty cholero...

Jadzia dla siebie nie zna litości
Wiersz musi być, kuźwa, do rzeczy!
Z drzew leć liście, łamią się kości
I wtedy nikt temu nie przeczy

Tłuczone serwisy, w niebo też głosy
Kot ciągle głodny, mąż - bosa
Tylko twórca pod sercem tomik noszący
Wie jaki to przymus i ból gniołący -
Dlatego po nocy, kiedy ranne pieją zorze
Mąż mówi do Jadzi - moje ty nieboże...
Jeszcze jedna taka książeczka
A nie będzie kaszki dla dziecka
Jeszcze jedna w „Norbertinum” edycja
A do patologii przyjeżdżać będzie Policja!

Łanirej GL A4, Krasnystaw: 30.04.09.

Jan Henryk Cichosz

We mnie zapach lata

Od debiutu poetyckiego, który miał miejsce w almanachu „Słowo w milczeniu dojrzewa” (Lublin 1999) mija dokładnie dziesięć lat. Natomiast od debiutu książkowego, tomik „Spojrzenia drugie”, który miał miejsce w roku dwutysięcznym - niewiele mniej. Po drodze były nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich, a także druk w almanachach i antologiach oraz w prasie („Egeria”, „Akant”, „Nestor”). Poetka od kilku lat bierze czynny udział w pracach jury Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Więziennej, który jest organizowany przez Areszt Śledczy w Krasnymstawie. W notce informacyjnej zamieszczonej na ostatniej stronie okładki, lapidarnie napisano, że poetka *stara się w prostej, oszczędnej, niemal reportażowej formie, oddać świat uczuć*. Jakby na przekór temu stwierdzeniu udałem się na spacer przez trzydzieści pięć wierszy zamieszczonych w estetycznie i z gustem wydanej książce, chociaż strona tytułowa, na której zamieszczono zdjęcie ukazujące kadr jeziora z dwoma kępami trzciny, nijak ma się do tytułu „Spod stopy kamyk”. Być może autorce tego projektu zabrakło poetyckiej wyobraźni. Lecz nie to jest ważne. Ważne są wiersze.

szybko zapina guziki
poprawia makijaż
aby świat nie domyślił się
co zostało z nocy

w tramwaju
obgryza paznokcie
słucha jak pęka serce

wysiada w deszcz
w chłód
w rytm dnia

(*** s. 26)

Do takiego poetyckiego zapisu należy: po pierwsze - dorosnąć, a po drugie i dziesiąte - umieć wydobyć z siebie język ciała. Ponadto - ta urokliwa plastyczność, zahaczająca o granice kiczu, a jednocześnie nie dająca się zamknąć w sztywne ramy ekshibicjonizmu, jest próbą podzielenia się swoim światem.

Jadwiga Demczuk w sposób ciekawy oprowadza czytelnika po galerii swoich wierszy... Czytelnik, chcąc nie chcąc, na dłużej lub krócej, zatrzymuje się przed każdym z tych trzydziestu pięciu poetyckich obrazów, niezależnie od ich wielkości, czy też gamy poetyckich kolorów.

z szarożółtych słoneczników
zostało tylko słońce

lipcowy gar miodu
ukradł barwę starego złota

bezwstydna
nie ubrana nawet w słowa
zapomniałam zamknąć oczy
we mnie zapach lata

(*** s. 17)

Zawsze jest tak, że za każdym z wierszy stoi człowiek. Z tym, że jeśli jest to wiersz pisany samym sobą, to stoi jakby w podwójnej roli: sprawcy i sprawozdawcy.

do walizki
spakowała niewiele
a może jeszcze mniej
kilka wspomnień
trochę głupoty
krótkie pytanie
milczącą odpowiedź
zostawiła obrazy
wzięła puste ramy

(*** s. 25)

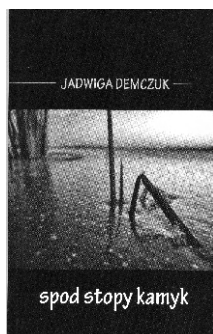
Pozostaje jeszcze określenie roli odbiorcy i próby oceny tych wierszy. Lecz to nie jest takie proste, ponieważ Jadwiga Demczuk w jednym z tych wierszy napisała:

wysyłam ci wiersz
ty go oglądasz
i odkładasz

(*** s. 36)

Ta także dobrze zaplanowana lakoniczność, ma w sobie, mówiąc kolokwialnie, pewien rodzaj kobiecej przewrotności. Może jakiegoś haczyka. Może hasła. Wiem jedno, że te wiersze, pisane z perspektywy kobiecości, ukazują i odkrywają kawałek innego świata. I wiem, że warto pochylić się nad tymi wierszami.

Jan Henryk Cichosz



XL rozmowa z ojcem

będę powoli „zabierał się”
bo prawie nikogo już nie ma

medal za wojnę
oddam do muzeum
tobie w spadku
zapiszę wszystkie moje opowieści
i drewnianą szablę...

mówię to tak na wszelki wypadek
gdybym jutro zapomniał obudzić się

moim współczesnym

tak często gramy
znaczonymi kartami
by wygrać co nasze
by przegrać człowieka

za mały grosik
sprzedajemy ostatnią
koszulę sumienia
a przy stołach modlitwy
wybieramy Judasza
pewni
w muzeach zamkniętych
budujemy kościoły
sprawdzając
na wszelki wypadek
uczciwość kluczy

Jan Henryk Cichosz**Wieczór autorski**

pani mi mówi
że to nie poezja
że brak tu piękna: metafor, czaru,
przenośni etc.
a mój znajomy
droga pani
wczoraj w sklepie
przy butelce piwa:
„te wszystkie łąchy
z magistratu,
takie owakie
kurcze blade,
a my tu tyle za browar”
a przecież droga pani
mógłbym inaczej, na przykład:
pachnie jak w dalekim sadzie
chmielem i śliwkami
i wonnie i słodko dookoła
a nad butelką Bachus socjalistyczny
psioczy na komunizm
o tak sobie

tak więc droga pani
trudno powiedzieć
co to jest poezja

z tej pamięci
trudno jest wyjść
jak z krajobrazu
snów kolorowych
w którym chory ojciec
w sanatorium białych drzew
szuka wyostrzonej siekiery

Jan Henryk Cichosz

To nie takie proste
 otworzyć przestrzeń
 tak aby gliniany dzban
 pachniał pszczołą
 powracającą do ula
 a ścieżka prowadziła
 do spotkania z kimś
 kto dawno tędy przechodził
 To nie takie proste
 pogłaskać frunącego motyla
 i dotknąć jastrzębia
 wiszącego nad lasem
 a z piaszczystej drogi
 odczytać drewniane koło
 To nie takie proste
 tak zwyczajnie
 zamknąć na amen
 przestrzeń bez bólu
 przytrzaśniętych palców...

Czas pokory

Przyszli z koszami na owoce
 a drzewa jeszcze w strachu
 przed porodem.
 Więc usiedli pokornie
 w ich cieniu i paląc skręty
 słuchali jak czas szeleści.
 I zmęczeni zasnęli...
 I przyśnił im się Raj
 pełen złotych jabłoni
 i stary pochylony Bóg
 z kosturkiem.
 I narodził się
 Nowy Dzień
 z rumianym jabłkiem
 w dłoni.

Mimo wszystko

Mimo wszystko świat jest dobry
 jak bułeczki drożdżowe z pieca chlebowego
 upieczone przez ciocię Gienię,
 jak cukrowa wata w miasteczku
 w którym jedyną rozrywką jest
 doroczny odpust i zbłąkany cyrk
 z pijanym kłownem.

Mimo wszystko świat jest dobry
 z sikorką bogatką
 za przedwiosennym oknem, która
 przed chwilą sfrunęła z nieba
 wraz z kropelkami słońca.

Mimo wszystko świat jest dobry
 jak każdy list przed otwarciem.

Mimo wszystko...



Jan Henryk Cichosz

Dariusz Włodarczyk**Jan Henryk Cichosz - szkic biograficzny**

Jan Henryk Cichosz urodził się 1 lipca 1949 r. w Wielobyczu, niedaleko Krasnegostawu, w centralnej części Wyżyny Lubelskiej na tzw. Wyniosłości Giełczewskiej - malowniczej okolicy pośród wzgórz i wąwozów. Pochodzi z rodziny chłopskiej. Jego żyjący do dziś ojciec był ułanem 12. Pułku. Mieszka i tworzy w Krasnymstawie.

Od 1956 do 1963 r. uczęszczał do Szkoły Podstawowej w Wielkopoli. Następnie uczył się w Zasadniczej Szkole Zawodowej (1964-1967) i Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie. Zawodowo związany był z Krasnymstawem. Pracował w Zakładach Wyrobów Sanitarnych (1975-1979), a następnie - w Oddziale PKS.

Swój pierwszy wiersz napisał w 1968 r. Był to wiersz o Wyścigu Pokoju. Debiutował w 1972 r. w „Zielonym Sztandarze” wierszem pt. *Wiejski cmentarz*, ale za swój właściwy debiut uważa druk w „Kamieniu” w 1975 r.

Na początku lat 70. wokół osoby Cichosza zaczęli gromadzić się miłośnicy poezji. Pierwszą osobą, która do niego dołączyła był Leonard Górski. W 1977 r., wraz z Edwardem Franciszkiem Cimkiem, Andrzejem Davidem Misiurą i dyrektorem Tadeuszem Kicińskim pod dachem Krasnostawskiego Domu Kultury wspólnie założyli grupę literacką. Początkowo nazywała się „Krasnystaw” później „Słowa”, a ostatecznie „Słowo” (patrz hasło na Wikipedii: grupa literacka „Słowo”).

Po rozpadzie „Słowa” Cichosz nie zaprzestał działalności kulturalnej. Do dziś współpracuje z różnymi instytucjami (m.in. z KDK, krasnostawskimi bibliotekami, Zakładem Karnym), będąc autorem wielu cennych pomysłów. Od 1992 r. jest członkiem lubelskiego oddziału ZLP.

Wybrane fakty z życia poety:**Publikował w periodykach:**

Autograf
Akant
Egeria

Kamena
Kresy Literackie
Morze i Ziemia
Nowy Wyrz
Okolice
Przekrój
Radar
Słowo Powszechne
Tygodnik Kulturalny
Wiadomości Kulturalne
Więzi
Za i przeciw
Zarzewie
Życie Literackie

Nagrody w konkursach:

Lubelszczyzna współczesna (Lublin 1980, III nagroda)
Konkurs im. W.S. Reymonta (Płock 1983, II nagroda)
Pod jednym słońcem żyjemy (Tarnów 1989, I nagroda)
Konkurs poezji metafizycznej (Zamość 1989, I nagroda)
Konkurs im. Anny Kamieńskiej (Krasnystaw 1994, I nagroda)
XXXVI Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Pocka (Lublin 2007, II nagroda)

Pomysłodawca inicjatyw literackich:

grupa literacka „Słowo” (1976-1987) nazwanie krasnostawskiej ulicy imieniem Anny Kamieńskiej
kwartalnik kulturalny „Hereditas” (1994-1995)
konkursy poetyckie: im. Stanisława Bojarczuka, im. Anny Kamieńskiej, im. Marka Swatowskiego, „O chmielakowy antałek”
„Zadumki poetyckie” corocznie organizowane przez Krasnostawski Dom Kultury
Ogólnopolski Konkurs Poezji Więziennej organizowany w Krasnymstawie

Nagrody i odznaczenia:

Dyplom honorowy Ministra Kultury i Sztuki (1981)
Odznaka „Zasłużony Działacz Kultury” (1987)
Odznaka „Za zasługi dla województwa zamojskiego” (1989)

„Złote Karpie” (2001)
 Srebrny Krzyż Zasługi (2003)
 Brązowa odznaka Ministra Sprawiedliwości
 „za zasługi w penitencjarnej pracy
 oświatowo-kulturalnej” (2004)
 Dyplom Prezydenta Lublina i SPP w Lublinie
 „Niestrudzony dla literatury” (2007)

Indywidualne zbiory poezji:

Pielgrzymka (1983)
Przez otwarte ogrody (1988)
Wieczór autorski (1990) - prezentowany w całości w I programie Polskiego Radia w cyklu: „Wieczór z poezją”
Malowanie czasu (1993) - I nagroda w konkursie im. Anny Kamieńskiej
Krajobrazy pamięci (1995)
Przestrzenie (1997) - I nagroda w konkursie im. Anny Kamieńskiej
Czas fotografii (2000) - nominacja do nagrody im. Józefa Czechowicza, prezentowany w II programie Polskiego Radia
Śmierć motyla (2002)
Zegar słoneczny (2005)
Codzień (2007)

Życiowe pasje:

poezja
 reportaż
 historia
 fotografia
 piesze i rowerowe wędrówki
 rozmowy z napotkanymi ludźmi.

Opracował **Dariusz Włodarczyk**

Edward Franciszek Cimek

*Gdy błyskiem myśli
 wiersz rozniecasz
 J.H. Cichoszowi*

jak ziarno jesteś
 pod brzemieniem grudy
 wzrastając z wolna
 w pól szelest podniosły

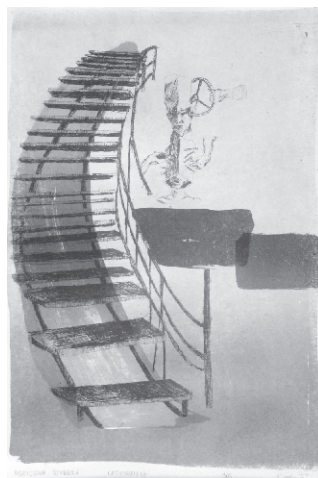
przez mgły oślisz
 będziesz piąć się z trudem
 i krzepnąć w chłości
 wiatrów bezlitosnych

a gdy dojrzeje
 kwiatostanu grono
 jak złota struna
 zachrzęścisz pod kosą

wtenczas uderzą
 skwapliwe ramiona
 żeby okrutnie
 wydobyć cię z kłosa

i zawirujesz
 w muzyce kamienia
 aż się twe wnętrze
 do białości skruszy

z gęstej pomroki
 wszędzie chleba tchnieniem
 bo niby ziarno
 jesteś ziemi duszą



Agnieszka Szykuła - Droga II

Edward Franciszek Cimek

Jan Henryk Cichosz - niezwykle życie poety

Poznaliśmy się u schyłku zimy w 1975 roku. Po moim poetyckim debiucie w „Zielonym Sztandarze”, w którym Henryk już wcześniej swe wiersze drukował, spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ciekawie miały nam biesiadne chwile w moim izbieckim mieszkaniu, gdzie z moją żoną Bogumiłą życzliwie przyjęliśmy gościa. I tak to się zaczęło. A potem były krocie spotkań i rozmów, i literackich posiadów. Coraz bardziej zacieśniały się więzi naszej znajomości i trwałej przyjaźni.

Henryk, urodzony 1 lipca 1949 roku w malowniczo położonej wsi Wielobycz opodal Krasnegostawu, od wczesnych lat wyróżniał się w swym środowisku subtelną wrażliwością. A bogatą wyobraźnią coraz bardziej zgłębiał otaczające zaszłości, stany i doznania. Właśnie dlatego w połowie lat siedemdziesiątych, już jako wojskowy rezerwista i robotnik krasnostawskiej Ceramiki, znalazł się w nurcie poetyckiego życia. Wtedy związał się z Lubelskim Ośrodkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Równocześnie należał do kręgu młodych literatów zamojskiej Grupy „Zamoście”.

Jednak niespokojne zamysły Henryka skłoniły go do przedsięwzięć szczególnych. Więc odszukał i zwołał do Krasnostawskiego Domu Kultury wierszopisów z miasta i okolic. Tak dzięki niemu powstała w 1976 roku „Grupa Krasnystaw”. Henryk pozostał jej liderem. Splot zdarzeń oraz dokonania literackich przyjaciół doprowadziły do zmiany nazwy ich twórczego kręgu. W roku 1981 utrwaliła się nowa nazwa: Grupa Literacka „Słowo”. Odtąd „słowiarze” występowali i działali coraz śmielej.

Henryk, otoczony gronem spolegliwych przyjaciół i wspierany przez dyrektora krasnostawskiego przybytku kultury Tadeusza Kicińskiego, zgłaszał pomysły coraz śmielsze. Zatem podejmowano imprezy i zadania literackie w KDK-u i w terenie. Były czwartkowe spotkania wierszopisów w gabinecie metodycznym w domu kultury. Zapraszano na nie znanych poetów. Dzięki Henrykowi, Radio Lublin nagrało kilka cennych audycji o autorach wierszy napisanych w krasnostawskiej grupie. Drukowano je także w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. I wyjeżdżano z poezją do ludzi. Ponadto urządzano na podkrasnostawskich leśnych polanach „koczowiska literackie”. Bywali na nich przyjezdni literaci. I zaczęto wydawać własne pismo „Jesteśmy”. Wkrótce zmieniono mu tytuł na „Posłowie”. W edycji tegoż periodyku, znacząco przysłużyli się: Andrzej David Misiura i Henryk Radej. Winietę pisma

zaprojektował Edward Krzysztof Rogalski. W tych literackich czynach „Słowa” przez kilka lat aktywnie i skutecznie uczestniczyła także instruktorka KDK-u Bożena Fornek.

Henryk, jako lider grupy, zadbał o publikację zbiorowe. Najpierw drukowano wiersze „słowiarzy” w prasie chełmskiej, lubelskiej, a nawet szczecińskiej. W 1982 roku ukazał się almanach „Słowa”. Rok później Krasnostawski Dom Kultury wydał pierwsze trzy tomiki indywidualne uczestników grupy, w tym „Pielgrzymkę” Henryka. Równocześnie młodzi literaci Zamościa pomieścili w swej antologii „Modlitwa urońń szczęśliwych”, tudzież w almanachu „Pojmowane słońcem” ówczesne napisane przez Henryka wiersze.

Pamiętał nasz niestrudzony w literackich przedsięwzięciach poeta i działacz z kulturalnej niwy Henryk, o miejscowych zmarłych twórcach. Wspaniałomyślnie przywołał dla współczesnych dzieło wybitnego autora sonetów - Stanisława Bojarczuka z Rońska i młodego, zdolnego liryka i rzeźbiarza, Marka Swatowskiego z Wielobyczy, organizując przez kilka lat konkursy poetyckie imienia każdego z nich oddzielnie. Ponadto skłonił Krasnostawski Dom Kultury do organizacji corocznych Zadumek Poetyckich z ogłaszaniem na tę okoliczność konkursu na tomik poetycki im. Anny Kamieńskiej, poetki rodem z Krasnegostawu. I wreszcie z okazji „Chmielaków Krasnostawskich” doprowadził do ogłaszania każdego roku literackiego turnieju „O chmielakowy antałek”.

Rok 1987 okazał się schyłkowy dla Grupy Literackiej „Słowo”. Wydano jeszcze almanach uczestników tego twórczego kręgu „Łamanie słowem” i ogłoszono dlań podzwonne. Wtedy to literackie środowiska Chełma, Zamościa i Lublina ułatwiły Henrykowi twórcze i edytorskie poczynania. Ukazały się jego kolejne tomiki: *Przez otwarte ogrody* (1988), *Wieczór autorski* (1990), *Malowanie czasu* (1993).

Henryk ciągle, niestrudzenie, w ramach działalności „Słowa” i poza nim, inicjował w Krasnymstawie oraz w okolicznych szkołach, ośrodkach kultury, a nawet w więzieniach spotkania autorskie. Odbył ich mnóstwo. Zwykle w towarzystwie literackich przyjaciół. Uczestniczył także w spotkaniach z pisarzami i poetami w Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich. Niebawem został przyjęty przez Zarząd Główny ZLP na członka tej organizacji.

Pełen pomysłów i chęci podejmował coraz to nowe przedsięwzięcia. Współpracował z Radiem Lublin, prezentując co rano ciekawostki z miasta i terenu. W „Tygodniku Zamojskim” prowadził stałą kolumnę „Przedśioneek poetycki”. Tak przez lata służył wierszopisom w regionie. A nadto, już w

III Rzeczypospolitej, współredagował „Ziemię Krasnostawską” oraz „Gazetę Krasnostawską”. I własnym staraniem wydawał czasopismo kwartalne „Hereditas” (wcześniej „Logos”). Natomiast w prasie lokalnej i krajowej opublikował niepoliconą ilość swoich wierszy, perlistych zamyśleń i cennych artykułów.

Jednocześnie ukazywały się kolejne książki poetyckie Henryka. Bowiem wydał jeszcze: *Krajobrazy pamięci* (1995), *Przestrzenie* (1997), *Czas fotografii* (2000), *Śmierć motyla* (2002), *Zegar słoneczny* (2005), *Codzień* (2007). W międzyczasie był jurorem wielu konkursów poetyckich. A także sam zdobywał cenne literackie nagrody. Otrzymał ich wiele. W obliczu społecznych zasług Henryka, wszak przez szereg lat pełnił zaszczytną funkcję radnego „królewskiego” miasta, prezydent Polski odznaczył go Srebrnym Krzyżem Zasługi. Za działalność kulturalną minister kultury i sztuki nadał mu odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”. Henryk jest bardzo ceniony przez współmieszkańców ulicy Stokowej, gdzie mieszka. Podobnie, szanowali go współpracownicy, gdy - jeszcze przed odejściem na emeryturę - pracował w miejscowym oddziale Państwowej Komunikacji Samochodowej jako biuralista. Więc lokalna społeczność uhonorowała Henryka zaszczytną statuetką „Złote Karpie”.

Z tej barwnej mozaiki zdarzeń wylania się skromna, mądra, niepowtarzalna osobowość Henryka. Miałem szczęście przez lata bywać przy nim, gdy kreował literackie dzieje krasnostawskich stron. I nadal pozostajemy w przyjacielskiej więzi, w kręgu ciągle miłych wspomnień.

Edward Franciszek Cimek

Mariusz Kargul

właściwie za bardzo nie wiadomo
z myślą o kim lub o czym oddaje się ducha
historycy, pisarze, politycy i apologety
siłą się później na domysły, teorie, dogmaty

czerwonym odpowiada, aby umierać za lud
czarnym z imieniem Boga na ustach
tym co bronią - z przekleństwem wroga
tym co żywią - z grudą gliny w przełyku

mordercy sądowi jeszcze wyrok
na siebie każą podpisać
a tym, co to już bliżej niż dalej
klepsydra powolną niech będzie

Andrzej David Misiura

Stopklatka

*Na okoliczność 35-lecia twórczości literackiej
Jana Henryka Cichosza w maju 2005 roku.
Poprawiono i uzupełniono w maju 2009 roku.
Gros słów zaczerpnięto z wierszy jubilata.*

Na Zastawiu za torami
Henryk sad zasadził biały
Jeśli chcesz owocu skubnąć
Przemknij chyżo za pszczołami

Kiedy zgłębiasz dziesięć tomów
Zważ jednak na ten zakazany
Tamże Stasia, muza, żona
I siekiera wyostrzona

A więc rychło dajesz dyla
Za jaskółkę za motyla
Szczęściem są otwarte okna
Nic już złego cię nie spotka

Może bucik znajdziesz różowy
Nie będzie to żółta ciżemka
Ni pantofelek kopciuszkowy
A kamasz poezji miłowy!

Henryk „Pielgrzymkę” w nim przebywał
Dreptał „Przez otwarte ogrody”
Niósł „Wieczór autorski” młodym
Odbił też „Malowanie czasu”

Mknęły „Krajobrazy pamięci”
W „Przestrzenie”, a jego znów kręci
„Czas fotografii” - jedna chwila
Stop! Ktoś nadeptał... „Śmierć motyla”

Wierszotwórco Janie Henryku
To nie browar spod magistratu
Ani samogon księżycowy
Słowa krótkie - spirytus mowy

Wnet „Zegar słoneczny” podpędzą
Rower podszykują poczywy
Lecz machniesz spracowaną ręką:
Chcę być na „Codzień” ptakiem siwym!

Urszula Gierszon

Zaklinanie czasu

Jan Henryk Cichosz urodził się 1 lipca 1949 roku w Wielobyczu. Poeta, publicysta, recenzent, kronikarz, pomysłodawca i organizator wielu inicjatyw literackich m.in. współtwórca grupy Słowo (1977-1985), konkursu *O chmielakowy antałek*, *Zadumek poetyckich*, współorganizator Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej - człowiek o niepospolitych cechach charakteru i szerokiej duszy poetyckiej.

Redagował kolumnę literacką w *Tygodniku Zamojskim* i *Przeglądzie Kresowym*, był redaktorem naczelnym i wydawcą kwartalnika kulturalnego *Hereditas* (1994-1995) i stałym współpracownikiem regionalnych czasopism m.in. *Kroniki Zamojskiej*. Jest laureatem wielu ogólnopolskich i regionalnych konkursów poetyckich, był aktywnym członkiem grupy literackiej „Zamoście”, od 1992 roku należy do ZLP.

Krasnystaw nie jest dla niego zwyczajnym miejscem zamieszkania, to ukochana ziemia krasnostawska, *której pagóry sięgają 300 metrów, a głębokie jary i wąwozy są urokliwej natury, lasy bogate w zwierzynę i dary leśnego runa, zaś rzeki i stawy pełne pluskających ryb. I te przepiękne przestrzenie - niczym zatrzymanie czasu... (...)* gdzie obok domu położonego na stoku doliny rzeki Wieprz, wykopuje gliniane skorupy, ogląda wschody i zachody słońca, spadanie jabłek i gwiazd, lot ptaków i motyli... - czytamy na okładce zbioru wierszy *Czas fotografii* (2000). W wywiadzie udzielonym Zbigniewowi Dmitrocy w *Tygodniku Współczesnym* (nr 5) w 1991 roku na pytanie: *Jak się czuje poeta na prowincji?* Odpowiada: (...) *w twórczości prowincja pomaga. Jest czymś w rodzaju ambony literackiej, z której więcej widać. Tego dobrego i złego. Łatwiej tu zrozumieć i ciszę, i drzewa, i tęsknotę.*

Opublikował następujące tomiki poetyckie: *Pielgrzymka* (1983), *Przez otwarte ogrody* (1988), *Wieczór autorski* (1990), *Malowanie czasu* (1993), *Krajobrazy pamięci* (1995), *Przestrzenie* (1997), *Czas fotografii* (2000), *Śmierć motyla* (2002), *Zegar słoneczny* (2005). Najnowszy, dziesiąty zbiorek, wydany - tak jak większość tomików poety - przez Wydawnictwo Norbertinum w Lublinie w 2007 roku nosi tytuł *Codzień* - pisane łącznie. Zwykle rozumienie „co dzień”, czyli każdego dnia, wskazuje na cykliczność rzeczy i zjawisk.

Potraktowane jako rzeczownik „codzień” - oprócz skojarzeń z codziennością, ze zwyczajnym powszednim życiem, rzeczami, zajęciami nieustannie powtarzanymi - nabiera znaczenia ważniejszego, dominującego. Jest jakby narzuconym nam w życiu wycinkiem czasu, ograniczającym nas do istnienia w teraźniejszości, w określonych ramach i normach, determinujących nasze codzienne czynności. Jednocześnie tym ograniczeniom nie poddają się: wyobrażenia, myśli, odczucia, wspomnienia. One, stojąc niejako w opozycji do fizycznego czasu, pozwalają bardzo głęboko wnikać w rzeczywistość, poznać ją, zaakceptować, ujrzeć w niej duchowe wartości i ...odszukać świętość ludzkiego życia.

Dla J. H. Cichosza właśnie życie jest najważniejsze, jego kruchość, piękno i przemijalność próbuje zatrzymać w słowach, jak na fotografii:

Koniec dnia. Za otwartym oknem

*Kwitnąca lipa pachnie wierszami Kochanowskiego
I miodem z pasieki sąsiada, który przed momentem
Śpiewał im do snu kołysankę*

(...)

(*Wiersz wydumany*)

W wielu utworach, właściwie we wszystkich, motywem przewodnim jest przemijanie. Czas działający destrukcyjnie na człowieka:

(...) *A tymczasem w lustrze
zmarszczki i siwiejące włosy.*

*I za oknem ptak,
Siwy od fruwania.*

(*Ominąć czas*)

J. H. Cichosz wzbogaca o metafizyczny wymiar np. w wierszach *Motyl na macewie*, *Co dzień*

Świat jest jednością, ma tylko jeden czas - wydaje się mówić poeta. Obecność, teraźniejszość są zakorzenione w czasie minionym, a przeszłość i przyszłość tworzą wspólny obraz. Linie tych czasów, załamując się, przecinają w wielu punktach, tworząc bezczasowość, idealne miejsce na poezję i głęboką wielopłaszczyznową refleksję o ludzkiej egzystencji:

(...) *Boże jeszcze tylu rzeczy
które tu są od zawsze i na zawsze...*

(*Kresy*)

lub:

(...) *ktos następny
z białego jak śmierć prześcieradła
wyciągnie nitkę przeznaczenia
(xxx przytuł się)*

i jeszcze jeden cytat:

*I przyszedłem odnaleźć to wszystko
Czego już nie ma, co już nie powróci.
Naiwny jak dziecko i ufny jak dziecko
Szukałem pośród kramów straconego czasu.*

(...)

(*Jarmark*)

W misternie i precyzyjnie skomponowanych wierszach Cichosza jest próba połączenia początku i końca życia człowieka, jako wędrówki do źródeł czasu; jest także zgoda na bycie tu i teraz. Los człowieka jest koniecznością, ale także próbą pogodzenia swego mikrokosmosu z naturą, z makrokosmosem wszechświata. Człowiek świadomy siebie akceptuje wszystkie swoje ułomności, wątpliwości, rozterki, przyjmuje z pokorą paradoksy rzeczywistości.

A jaka jest ta rzeczywistość? Poeta zawiera w niej wszystko, co dotyczy życia: skrawki historii, przepięknie malowane krajobrazy, pamięć o ludziach.

Kim jest człowiek uwikłany w czasoprzestrzeń, pełen sprzeczności, wobec czasu, wobec nieuniknionego? Człowiek J. H. Cichosza jest pełen wewnętrznej ciepła, szczypty humoru, autoironii: (...)

*W tym wieku wypada tylko, i na przekór
wszechwładnym modom, milczeć i wciąż
przeglądać się wszystkiemu co dookoła*

(...)

(Już nic)

Owo przyglądanie się u Cichosza to wnikliwa obserwacja i głęboka, wielopoziomowa kontemplacja rzeczywistości i wręcz symbioza z naturą. Nie żyjemy w idealnym świecie, ale potrzeba wielkiej wrażliwości i wielkiego serca, aby z tych obserwacji powstały takie wiersze. Chyba nie czytałam dotąd piękniejszego wiersza o wzruszeniu, jak *Spacer z ojcem*. Warto zwrócić uwagę także na wiersz *Ojczyzna* i kilka składających się zaledwie z kilku słów, łącznie z *Autoportretem*. Czytając te wiersze, miałam wrażenie, że Cichosz i natura stanowią świadomą, wzajemnie odczuwalną jedność, a ten twór, można powiedzieć - „androgyn”, jest czystą poezją.

Zgadzam się z ks. Wacławem Oszańcą, który napisał: (...) *dla Cichosza wszystko, czyli cała rzeczywistość, jest dobrocią, owszem - zranioną, cierpiącą, może nawet odrażającą, ale dobrocią. Co oznacza, że na dnie, u podstaw wszechrzeczy i wszech czasów, również i naszych źródeł, naszego jednostkowego życia, jest dobroć.* (...)

To dobroć, niepospolita wrażliwość, ale i odpowiedzialność za słowo, powoduje że poeta próbuje je mierzyć:

(...)

*Zanim zmierzysz słowo, to najpierw go przytul
jak się tuli dziecko przed podróżą wielką.
Albo opowiedz o tym co boli najbardziej w ciszy
progu czasu i przestrzeni*

(...)

(Mierzenie słowa)

Czas i przestrzeń pojawiające się tak często w wierszach, J. H. Cichosz wypełnia doskonale odmierzoną słowem, w nim *szalejącą słońcem skrzydła motyla, kwitną jabłonie, fruwały posiwiałe ptaki*, a sam Poeta *o północy szuka słońca, puka do otwartych drzwi i pakuje do plecaka dzieciństwo, kawałek ogrodu i ...wielką kromkę serca*. A nas wszystkich swoją poezją uczy na nowo poznawania świata.

Urszula Gierszon

Jadwiga Demczuk

**Co jestem w stanie zrozumieć
z innych ludzi...**

**Magdalena Jankowska: poetka, pisarka
i krytyk teatralny**

Spotkanie w Krasnostawskim Domu Kultury
14 lutego 2009 roku.

Kim jest Magdalena Jankowska?

- Pytanie o tożsamość jest jednym z najtrudniejszych pytań i niełatwo na nie odpowiedzieć. Jestem z tych, co strzegą swojej prywatności i uznają, że tożsamość poetycka winna objawiać się w tomiku i ma ją budować czytelnik. Z jednej strony - ja daję wiersz, a z drugiej strony czytelnik - odbiera ten wiersz. Ale rozumiem, że zwykłą ciekawość powinienam zaspokoić. Nie wiem co powiedzieć... jestem mężatką, mam córkę, pracowałam na UMCS w Zakładzie Metodyki, teraz pracuję w Kolegium Nauczycielskim, jestem recenzentem teatralnym, stale pisuję w kwartalniku literackim *Kresy* i współpracuję z *Akcentem*. To tyle, co chciałabym o sobie powiedzieć.

Pierwszą książkę wydałam w 1990 roku, dużo wcześniej publikowałam w ogólnopolskiej prasie, zanim zdecydowałam się na wydanie tomiku. To były takie podłe czasy - stan wojenny, potem pełno zawirowań i niepewności gdzie się udać, z kim trzymać, gdzie wydawać, wypada czy jeszcze nie wypada... Długo nie mogłam się zdecydować i właściwie uznałam, że lepiej trzymać to w szufladzie i publikować pojedynczo. Wreszcie się ukazała książka.

Dzisiaj zdecydowanie łatwiej wydać książkę, a obyczaj wydawania wszedł na stałe do społeczeństwa polskiego. W tamtych czasach istniał patronat państwowy, zdawał się taki nieodzowny, a z drugiej strony, zaczęły się pojawiać podziemne nurty i każda decyzja wiązała się z jakimś zaszufladkowaniem, a tego się zawsze potwornie bałam, w rezultacie ten spóźniony książkowy debiut.

Debiut *I co dalej?* zawiera trzydzieści dwa wiersze. Świetne recenzje, bo świetne teksty...

POKOLENIE

my wcale nie jesteśmy
straconym pokoleniem
nas nie całkiem oślepiłi
myśmy widzieli światło
oni nam nie zabronili
dali nam poznać jego jasny krąg
w perspektywie tunelu

WERNISAŻ

przyszli
stali twarzami do ściany
która widziała ich ociemniałość
i słyszała
kwestie przebrzmiały wiele wystaw temu

wódka była czysta
jasność szła od wódki

BIAŁOSZEWSKI

a jakieś kobiety mówiły
po szeptanej naradzie
że takie życie szkodzi
że trzeba by obiady...

a on im odpowiadał: mam wszystko
co nieodzowne patrzcie tu przy tapczanie
leżą ser i jabłka
mam płyty

płyty kręcą się jak planety
w czterech ścianach
mojego wszechświata

KOCHANKA

jakaż ja jestem trwała
jaka wieczna
wobec tych wszystkich
jednorazowych chusteczek
jednorazowych igieł
zapalek żyletek gazet
jednoprzejazdowych biletów
jakaż wielokrotnie użytku

W tomiku *Kula i Skrzydło* utwory są jakby z dramatycznej tkanki. Skąd tyle w nich bólu, milczenia, samotności i pytań - dlaczego? Sam tytuł jest intrygujący...

- Zaczniemy od tytułu - *Kula i Skrzydło*. *Kula* - nie jako wyobrażenie figury geometrycznej, ale takiej kuli, która służy inwalidzie, sztucznej nogi, podpory. *Kula i Skrzydło*... jakoś wtedy czułam

bardzo dramatycznie losy człowieka, to rozdarcie, takie kulenie, taką trudność poruszania się po świecie, a z drugiej strony - jakiś ogromny potencjał, który kryje się pod tym skrzydłem, a więc coś, co człowieka porywa - zapach, możliwości, a więc... niemożność i pragnienie.

Czemu tyle w nich smutku? Nie wiem. Może po prostu coś w moim życiu się działo? Bywają takie momenty, kiedy człowiek jest wyczulony na krzywdę... obiektywnie nie musi się dziać nic więcej złego niż zazwyczaj. Tu jest taki wiersz, który pokazuje to wyczulenie...

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU

dla mnie bardziej istnieją ci
których tu nie wywołano
to właśnie ciszę ich struchlałych serc
słyszę wśród kroków wyczytanych

Który z wierszy najbardziej przypadł Ci do serca?

GUZIK

przypomnij sobie

pierwszy bastion miłości
z trudem zdobywany
jedną ręką
bo druga zabiega o zgodę

zakłopotanie
że to aż tyle trwa
że widać trud debiutu

nadzieję szybkiej wprawy
z wewnętrzną obietnicą

i tamtą naiwnością
wzruszenie po latach
gdy rutyną jest zgoda
na niedoskonałość

ten guzik wart
życia

O książce *Zbiór otwarty* Władysław Kępski napisał: *wiersze jej są jak uchylone okna, przez które możemy sobie dopowiadać ciąg dalszy...*, że ten tomik jest: *ciepły, delikatny, zmysłowy i otwarty*. Ile jest Ciebie w tych wierszach?

- We wszystkich wierszach jestem, choć takie proste utożsamienie podmiotu lirycznego ze mną byłoby nieodpowiednie. Ja sama bym tego nie chciała. Wstydziłabym się przeczytać Kochankę, bo wszyscy by wiedzieli, że byłam w niedwuznacznej sytuacji.

Z jednej strony - ja, a z drugiej strony - konstruując wiersz okoliczności, w których jest opowiedziana historia, są często zapożyczone. Natomiast w nich, za każdym razem, jest moja wrażliwość.

Tak się kiedyś zdarzyło, że napisałam wiersz o kobiecie nieposiadającej dziecka, o pragnieniu dziecka - chociaż ja już wówczas dziecko miałam. Właśnie to pokazuje, że ja potrafiłam zrozumieć to pragnienie, potrafiłam być w tym cudzym pragnieniu, i to ono mnie poruszyło, przejęło i spowodowało, że coś chciałam napisać. Jestem w tym, bo emocjonalnie i empatycznie potrafię w nie wniknąć i właściwie chcę pisać tylko te rzeczy, które są dla mnie samej przejmujące.

2001 rok to debiut prozatorski, wychodzi Billing.

- Billing to książka wymyślona bardzo starannie, ale potem nie została tak zrealizowana. Otóż miała ona składać się z takich zapisków. Początek każdego zapisu był tak jak biling - podany jaki numer się łączył z jakim numerem, ile to trwało, jaka pora dnia itd. Potem zrezygnowałam z tego, bo każdy, kto otwierał, mówił: o tu jest pamiętnik. Bo to rzeczywiście przypomina pamiętnik.

Można powiedzieć, że jest to książka afabularna, właściwie poświęcona tylko studium takiej psychotycznej osobowości kobiety, która ma nierozegrane sprawy psychologiczne na swoim koncie w relacji ze swoją matką i w ogóle jest nieułożona z całym światem, choć pozornie znajduje jakieś miejsce i stara się w życiu spełniać jakieś role. Celem tej książki miało być pokazanie, jak to wszystko jest pozorne, jak ona sama ginie w tej pozorności, jak dramatycznie, chcąc rozwiązać i wyjaśnić problemy, w gruncie rzeczy, zastawia na samą siebie pułapkę. Sama dla siebie też jest niezrozumiała i w pewnym momencie nazywa siebie psychologiczną szaradzką. Tak mówi, z lekką nutą pretensji, może trochę z kpina, bo zaczyna się orientować, że wpadła w matnię. Ta potrzeba analizowania, właściwie już jej nie wyzwala. Grzeźnię w następnych próbach uładzenia rzeczywistości i zdaje sobie sprawę, że to nie jest życie, tylko rodzaj sztucznej egzystencji.

Następny tomik to Już. Do jakiego odbiorcy adresowane są te wiersze?

- Do takiego odbiorcy, na którym słowo **już** robi wrażenie. To są dwa typy odbiorców, czy takie dwa przedziały wiekowe. **Już** ma w sobie taką fascynującą moc, taką dwuznaczność: **już** coś mi wolno i **już** czegoś mi nie wolno - punkt graniczny. **Już** jako punkt inicjalny i **już**, jako punkt wyjściowy, końcowy, schyłkowy. Myślę, że czytelnik dojrzały - ma za sobą to **już**, ale znajdują się i tacy, którzy odbiorą to **już** jako początek czegoś.

Salon Mebli Kuchennych... kto i co potrafi urazić człowieka do głębi, tak aby powstały wiersze, które brzmią jak opowieść biograficzna...

SERCE

dali jej
Amicisa

albo taki tekst:

NIGDY MNIE NIE STRASZYLI DIABŁEM

bo kto by się go tam bał
w piekle

- Salon Mebli Kuchennych, jak tytuł wskazuje, ma być połączeniem, z jednej strony takiej salonowej dyskrecji, a z drugiej - czegoś, co jest meblem kuchennym, a więc najbardziej intymnym, czymś konstytuującym poczucie domu. Jest to taka dosyć smutna książka o dzieciństwie i jest w niej wiele biografizmu. O dzieciństwie na ogół mówi się wspaniałymi słowami, prawda? Wszyscy mówią, że dzieciństwo jest takie piękne, słodkie... a ja opowiedziałam trochę inną prawdę, nie tak przyjemną, ale myślę, że iluś tam czytelników, znajdzie to rozpoznanie w sobie.

To było zaprzeczenie toposu dzieciństwa jako mitu szczęśliwości i właśnie wszystkie urazy, bóle wyniesione z domu tu umieściłam. Oprócz tych wierszy, jest tam jeszcze coś innego.

Krytyka teatralna to jeszcze jedna dziedzina, którą się zajmujesz. Jaką rolę pełni teatr w Twoim życiu?

- Teatrem zafascynowałam się bardzo dawno temu, jeszcze jako dziecko w szkole podstawowej. Przy czym rodzaj fascynacji był bardzo przyziemny i nie były to jakieś wzniosłe pobudki. Otóż w Puławach, gdzie mieszkałam, mieszkali też aktorzy, m.in. Jankowska-Cieślak. Oni wtedy tworzyli teatr przy Zakładach Azotowych. Tam istniało Towarzystwo Teatralne, i oni mieszkali w pobliżu nas. Ja przez to zainteresowanie aktorem, dotarłam do teatru, bo przecież w Puławach niezbyt często widywałam prawdziwego aktora. To była epoka nie tak medialna. Zobaczenie aktora na własne oczy, to było głębokie przeżycie. Za Jankowską-Cieślak poszłam do ich teatru. Niewiele z tego rozumiałam, sztuki były nie dla mnie, ale magia teatru zachwyciła, i wszystko cokolwiek tam jest. Z jednej strony, ma się świadomość, że to wszystko zostało spreparowane, a z drugiej strony, jest coś takiego, co ma wyższą wartość niż owa preparacja, jest emocjonalne. W teatrze nie ma nic z oszustwa

i hochsztaplerstwa, chociaż istnieje tam magia oszukiwania, ale równoważy to namiętność prawdy. To chyba mnie w teatrze najbardziej porywa i czuje to każdy widz, nawet niedoświadczony. Nie trzeba mieć zresztą żadnego doświadczenia ani wiedzy teatralnej, to po prostu się wyczuwa, jakiś rodzaj prawdy. Doświadczenie pomaga formułować wnioski, natomiast nie jest niezbędne w teatrze. Zachwycająca jest iluzja. Wiemy, że jest to wcześniej skonstruowane, że to oszukaństwo i... przestajemy o tym myśleć, reagujemy jak na coś istniejącego. Jest to dla mnie namiastka stwarzania świata i noszę w sobie pokorę wobec takiego codziennego cudu.

Krzysztof Stankiewicz o Twojej twórczości napisał: ma doskonały słuch poetycki, łatwość kierowania słowem według swoich fantazji, smak literacki. Jest nieufna, napięta, krytyczna, pozbawiona złudzeń i tak bezlitośnie sposterzegawcza. Twoja poezja to trudny towar i wymaga od czytelnika wnikliwej analizy. Czy istnieją takie tematy, wobec których jesteś bezradna?

- Każdy nowy temat. Każdy tom jest efektem pokonania jakiejś bezradności. W tej chwili też zmagam się z taką bezradnością. Czuję ogromną potrzebę odmiany głosu. Osiągnęłam już syntetyczność w tym stopniu, że nie chcę jej powielać. Mam jeden z najkrótszych wierszy:

„V”
jej ud

Teraz potrzebuję czegoś innego, dla nazwania moich odczuć, uczuć, ale nie tylko opowieści o mnie a opowieści o mojej psychice, o tym, co jestem w stanie zrozumieć z innych ludzi. Każdy etap w życiu, każdy okres ma inne cechy, inne właściwości. Związane jest to również z biografią. Na przykład w tej chwili, przyznam się, bardzo chciałabym napisać książkę o takim przecinaniu pępowiny wiążącej mnie z własną córką, która musi się usamodzielić. Bardzo bym chciała napisać tom macierzyński. Właściwie nie napisałam nic takiego do tej pory. Niewiele jest w mojej poezji tego tematu. Bardzo jestem związana z córką i zdaję sobie sprawę, że to trudne wyzwanie. Z czym nie mogę sobie poradzić? Jak znaleźć formułę, jak opisać, żeby to nie było banalne i nie było tak zaszyfrowane, bo przecinanie pępowiny, to pewien slogan, stereotyp. Chciałabym znaleźć nowe słowa i na razie jestem wobec tego bezradna.

Robię sobie jakieś zapiski, ale bardzo bym chciała właśnie zawrzeć te wszystkie uczucia, na przykład smutku, bo przecież łączy się z tym smutek, i radości uczestnictwa w życiu tej młodej osoby, uświadomienie sobie przemijania... całe spektrum zagadnień.

Poeta jest panem własnego wiersza. Wisława Szymborska napisała, że *okamgnienie trwać będzie tak długo jak zechcę(...) jeśli każę nic się tu nie stanie bez mojej woli...*

Chciałabym zapytać, jak powstają Twoje wiersze?

- Natchnienie to jest takie zbanalizowane, niemodne słowo, ale ja bym go broniła. Można by je nazwać jakoś inaczej, jakąś iskrą, pomysłem czy partyturą. W poezji pomysł musi być. Człowiek jest jego niewolnikiem. O ile do prozy można sięgnąć i pisać, o tyle w poezji nie da się tego tak robić, przynajmniej ja nie umiem. Muszę poczekać na moment takiego zapłodnienia. Czasem przychodzi to jako struktura melodyczna i wiem, że powinno to „coś” mieć taką właśnie melodię i rytm.

Bywają też pomysły oparte na obrazie. Pierwszym momentem jest zderzenie jakichś obrazów, a następnym - opracowanie tego projektu, szlifowanie i odrzucanie. Zachowujemy się jak rzeźbiarz, który bierze dużo i odrzuca niepotrzebne kawałki materiału, aż wreszcie zostanie ten kształt, który on sobie zamierzył.

Przy czym nie mam tej pewności Szymborskiej... zaklinanie rzeczywistości... No cóż, ja niekiedy muszę uznać, że ta rzeczywistość stworzona przeze mnie nie ma takiej mocy, że ona jakoś wymyka się przez niedoskonałości, więc nie mogę tak po niej powtórzyć. Ale czasem zdarzy się moment, że rzeczywiście czuję, że potrafię jakąś rzeczywistość stworzyć.

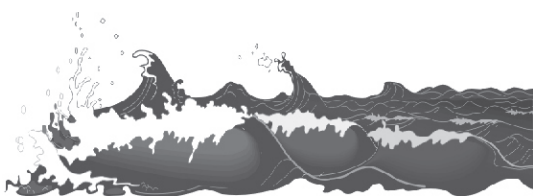
WYJŚCIE

*gdyby się spotkali wcześniej
może by chodzili razem do szkoły
rodzenia*

*a tak osobno bywają w szpitalach
gdzie ich czekają kolejne
odejścia*

*znaleźli się jak dwa ziarenka
piasku
w klepsydrze*

Jadwiga Demczuk



Henryk Radej

Bryll słowieszczy

Nikt nie zaprzeczy, że Ernest Bryll to już klasyk polskiej literatury. Urodzony w 1935 roku, absolwent polonistyki, debiutował wierszami w 1956, dlatego sytuowany jest w tym roczniku zwanym inaczej „pokoleniem Współczesności” (od nazwy ówczesnego pisma literackiego - Bryll należał do pierwszego zespołu redakcyjnego). Jest autorem 40 tomików poezji, sześciu książek prozatorskich, 21 form scenicznych (musicale, dramaty, oratoria, sztuki telewizyjne), napisał teksty wielu znanych piosenek lansowanych na festiwalach opolskich, jego twórczość tłumaczono na wiele języków - zwłaszcza na irlandzki, angielski, czeski; sam tłumaczy także z jidysz. Był pierwszym ambasadorem RP w Irlandii, powołanym przez prezydenta Wałęsę. Aktualnie współpracuje z telewizją, doradza przy produkcji filmów, prowadzi swój portal internetowy i dom z ogrodem. Jak twierdzi, jest poetą okazjonalnym, który uprawia różne gatunki literackie, ale i tak najczęściej łączyły się wiersze, ponieważ „poezja jest w nas, gdyż opiera się na słowie i jego dziwnym znaczeniu”.

Trudno byłoby pisać o tym, co w życiu fascynuje tego poetę. Z łatwością i czytelnym przesłaniem do współczesnych potrafi napisać śpiewogrę („Na szkle malowane”), tekst piosenki („Za czym kolejka ta stoi?”), cykl wierszy, czy nowelę - „Gorzko, gorzko” (wyd. 1965 r.), o której sam mistrz J. Iwaszkiewicz powiedział, że jest to najpiękniejsza opowieść miłosna w literaturze polskiej. Ernest Bryll wyjątkowo „czuje język” z jego źródłosłowem, etymologią, wieloznacznością i ludowymi odmianami, często sięga po archaizmy. Wychowany na prowincji zaistniał poprzez to, że umiał ją „opowiedzieć”, używając do tego języka swojej babki, która mówiła gwarą warmińską. Poeta twierdzi, że najlepsi poeci polscy zawsze wywodzili się z prowincji, bo tworzyli z żywego języka. Bliższy mu jest Józef Czechowicz, który - jego zdaniem - osiągnął stopień najwyższego zanurzenia się w prowincjonalność, niż akademicki noblista Czesław Miłosz.

Ernest Bryll pisze najczęściej o nas i za nas, jako że szuka i ukazuje (nie tylko w wierszach) wartości prowincjonalno-narodowe w tym dobrym znaczeniu. Niektórych może to denerwować, że niby jakim prawem poeta przemawia w jego imieniu, stosując formę „my”? Jak twierdzi, na pewno nie używa w tekstach formy „wy”, bo ta wykluczałaby go ze społeczności, z którą całe życie się utożsamia. Sytuacja prawie podobna do tej, jak z wiersza Słowackiego: „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami...” („Testament mój”), ale Bryll nigdy nie nazwałby się wieszczem narodowym,

choć niektórzy go za takiego uważają. W rozmowie ze mną powiedział: „Ja się zdecydowanie identyfikuję z tym Mazowszem, z tą „kartoflanością”, z tym całym dziwnym krajem - ja jestem stąd, ja biorę to na siebie. Ale nie jestem tu tylko jeden, ale taki jak wy wszyscy, czyli „my”.



Ernest Bryll i Henryk Radej

Od kilku lat Ernest Bryll jest gościem i uczestnikiem corocznego Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Chełmie. Spotkania z nim to uczta duchowa dla słuchaczy. Poeta sypie anegdotami ze swego bogatego życia, w którym przewijają się postacie znane nam z literatury współczesnej, z polityki i świata artystycznego, czyta swoje wiersze i komentuje polską rzeczywistość. Po spotkaniu autorskim, wieczorem wędrujemy razem przez miasto, w którym pachną bzy i miodne kasztanowce. Od bazyliki dolatują do nas głosy maryjnej litanii. Poeta wsłuchuje się w melodię i opowiada, jak to w dzieciństwie biegał „na majowe” i z pamięci powtarza kolejne zawołania wraz z odległym chórem. Potem tak dobrze nam się „rozmawia” w milczeniu. Mogę powiedzieć, że znamy się od moich czasów licealnych. Tomik „Pióluńie pióluńowy” kupiony w lubelskiej księgarni w grudniu 1973 roku zaczytałem wówczas prawie na strzępy. To wtedy nastąpiło moje „zarażenie się” Bryllem i płynnie różnymi meandrami do dziś.

Henryk Radej

Ernest Bryll
foto H. Radej

Andrzej David Misiura

Mój przyczynek do Brylla

Pamiętam, gdy w 1976 roku wśród uczestników Lubelskiej Biesiady Literackiej w Gardzienicach zorganizowano miniplebiscyt na najlepszego polskiego poetę. Wprawdzie nie żył już Stanisław Grochowiak, ale regulamin pozwalał go jeszcze typować. W tajnym głosowaniu wymieniałem trzy nazwiska: Grochowiak, Bryll, Herbert. Zliczono głosy i okazało się, że byłem jedynym, który wymienił nazwisko Ernesta Brylla. Plebiscyt wygrał Stanisław Grochowiak, przed Edwardem Stachurą, Zbigniewem Herbertem i Romanem Śliwonikiem, którego w tym czasie podejmowano jako gościa honorowego naszej biesiady w gardzienickim pałacu. Jako że byłem wówczas świeżo upieczonym kandydatem na młodego literata, koledzy spoglądali na mnie podejrzliwie, jakby rozpoznawali, że to tylko ja mogłem mieć taki pomysł. A ja uciekałem wzrokiem, nie chcąc się przyznać do absolutnie własnego i niczym nie inspirowanego wyboru.

Od tamtej chwili minęły 33 lata. Naraz mój przyjaciel Henryk Radej zaczął rozpisywać się w swoim blogu (*Po drugiej stronie księżycy*) o... Erneście Bryllu! Rychło przyszedł pomysł na artykuł do Nestora. Gdy do tego, mistrz Ernest zdecydował jeszcze dołączyć swoje wiersze, a przy tym zrezygnował z honorarium - właśnie wywołał moje odległe wspomnienia. Wdzięczny też byłem za jego wiele mówiące słowa: ...*drukuj, Nestorze!* Pomyślałem, wtedy nieskromnie, że wobec faktów sprzed lat, dzisiaj, jako redaktor naczelny darmowego pisma, mam w pełni prawo skorzystać z takiej ulgi i możliwości zaprezentowania naprawdę dobrego poety.

Andrzej David Misiura

Ernest Bryll

A to czemu...

A to czemu? Kiedyśmy wyszli
Jak się godzi z feretronem, psalmami
To anieli z nieba nie przyszli
Sobie - jesteście sami

Cichym światłem pulsuje ziemia
I pieśń wysoko idzie
Ale siły tam wrócić nie masz
Bo jakoś jesteście bez skrzydeł

Chcemy lecieć do serca przestrzeni?
Ale to by raczej nie wyszło
Bo jesteście strasznie obciążeni
Dekoracją złocistą

Ernest Bryll

Za stołem w gospodzie w E.

Zostań z nami
Dopiero teraz
Nie jesteśmy sami
Wino się otwiera
Do smaku zapomnianego
I chleb do tego
Właśnie siły nabiera

Zostań z nami
Bo jesteśmy spłakani
I ty zmęczony - przyznaj
Resztką opuchlizny
Na twojej twarzy skłęsa
Opijemy zwycięstwa
Skończył się krwawy zamęt

Zostań z nami
Bo sami
Nie umiemy już być ze sobą

Próbujemy - ale się nie składa
Kłamiemy sobie co dzień
Daj nam wiarę Panie
Aby zdrada
Nie zatrąła wina w gospodzie

Tacy

Tacy młodzi, radości pełni bo widzieli
Przyjaciół najbliższych bardzo szczegółowo
Ach, Internetu mają miliony pikseli

Tacy młodzi, odważni mogą każdym słowem
Z bliskimi się podzielić
Cóż może być bliższe
Niż ciepły ekran tuż przy twojej twarzy?
Od blasku światła co może być czystsze?
Co się może wydarzyć co się tu nie zdarzy?

Starzy
Tego nie znają
Tylko
Przeszkadzają
Ale to nieważne
Niewiele już znaczy
Życie nieuważne
Gdzie wszystko za daleko...

A tutaj tak blisko

Tylko trzeba zakłęcie kliknąć i przycisnąć...

Ernest Bryll

List do poezji

(fragment)

Co ja mam dla tych ludzi. Dlaczego w tym kraju
 Wędrowni - ludzie poezji czekają?
 Ja wiem, wiersz jest poręczny, kiedy rymowany.
 Można go niby kamyk z dzieciństwa zabrany
 Obracać pod językiem i w ciągłym pochodzie
 Nie myśleć tyle o głodzie i chłodzie...
 Więc mam podnieść ten kamyk? A sam nie wiem tego
 Czy to obłamek prawdy, czy też zapomnienia

Jakbym chciał być jak dawniej poeta plemienia
 Albo ukryty w kurzu uniwersytetów
 Wytwarzać z śmiecia ciastka dla innych poetów
 Jakbym chciał...

Krzyczeć: - Mój naród wybrany
 Albo całkiem zapomnieć jak żyją narody
 I płynąć miękkim morzem jak statek pijany
 Jakbym chciał...

Ale buty sznuruję powoli
 I zakłęcie układam - by się sznurowało
 Ściśle, dokładnie, ale niech nie boli
 Kiedy nogi opuchną. By się lepiej stało
 W długich ogonkach nie wiadomo po co
 By się świeczka paliła jaśniej ciemną nocą
 By dom nasz powstał jeszcze o sekundę dłużej
 Żeby ten, kto już tonie, z lęku się wynurzył
 Żeby tak nie bolało kiedy nie umiemy
 Wytłumaczyć „co u was”
 Choć języki znamy
 Choć jak Paweł w Atenach wielce się staramy
 To nie wiadomo o czym bełkoczymy
 Kartoflani, nieznani na świat wynurzeni
 Z jakiejś dziury...

Zaklinam więc słowa i zaklinam
 I nic nie umiem więcej
 I to moja wina....

/ 6 III 87 /

Maurycy Witkowiak

Dionizos przechodzi

A przecież młode, wypieszczone i pachnące
 marsylskim mydłem ciało hrabianki Czerniawskiej
 było takie realne, takie swoiste. Przeniknęła jego
 skórę i czuł jej woń, nawet teraz, swoim dotykiem
 otworzyła w nim źródła, które w tej chwili krwawiły,
 gałęzie drzew przypominały mu jej rozłożone ręce,
 a skłębione chmury, na które spoglądał - falbanki i
 koronki, w których nurzał się zapamiętałe, aż do
 spełnienia.

Jego twarz zabłysła na chwilę w nikłym
 świetle małego ognika, gdy zapalał papierosa.
 Spojrzał na wzgórza, za którymi zachodziło
 czerwone, jakby nabrzmiałe słońce. Gdzieś za nimi
 musiały być Rożki. A teraz odciął ich i nie mogą się
 tam przebić. Cholera.

Podchorąży otrząsał mundur i wszedł w głąb
 lasu, gdzie stał jego szwadron. Wachmistrz
 Bogdziewicz, młody chłopak o twarzy urzędnika
 bankowego czy subiekta, natychmiast wyczuł
 niepewność w jego oczach i postanowił to
 skwapliwie wykorzystać.

- Panie podchorąży Karwowski (tak się do
 niego zwracał, z rangą i z nazwiskiem, co jednak w
 ich wzajemnych stosunkach nie wykluczało pewnej
 poufałości), żywność się kończy. Jak Andrószowski
 wróci z Czarnych, będziemy wiedzieli, czy możemy
 się przebić. Na razie wiemy, że przy Rożkach czolgi,
 z drugiej strony szkopszy grenadierzy ścigają
 naszych od kapitana Stawowego. Wczoraj znowu
 wyparli ich ze wsi - dokończył, nerwowo przygła-
 dzając czarne, sztywne włosy i wlepiając oczy w
 Karwowskiego.

- Ja też to wiem - odburknął podchorąży,
 marszcząc czoło, a słowa „czolgi w Rożkach” jak
 żelazna, świszcząca kula błędziły wewnątrz jego
 głowy. Zapomniał o wszystkim i zaczął zastanawiać
 się jak wyglądałaby scena, w której niemieccy
 żołnierze, potężni blondyni, jeden po drugim gwałcą
 hrabiankę Czerniawską na dziedzińcu dworku.
 Mimo nienawiści do wroga, widział w tym coś
 malowniczego, gdy wyobraził sobie biel jej ud, a
 pomiędzy nimi poruszający się szmaragdowy
 mundur oficera, wokół śmiechy i wyzwiska.
 Otrząsnął się. Czyżby aż tak gardził nią, za tę krótką
 niewolę, która teraz istnieje tylko w jego wnętrzu?
 Czy ma do tego prawo? Przecież nie kocha jej, tylko
 Teresę, która na szczęście jest tam, daleko, w
 Krasnymstawie i nawet nigdy się nie dowie co się
 działo w sypialni znudzonej i miękkiej hrabianki.

Hrabianka... Też był z dobrej szlachty,
 mógłby przecież mówić do niej Małgorzata, a sam
 do siebie powtarzał ciągle „hrabianka Czerniawska”.

Podniecało go to. Ta kobieta czuła, że front się zbliża i postanowiła nie tracić ani chwili. To był chyba siedemnasty wrzesień. Gdy Karwowski dokonał wieczornego przeglądu oddziału i odesłał go na leże, ona pospiesznie wzięła go do dworku i podjęła befsztykami, winem i plackami ze śmietaną. Gdy posilił się przy blasku srebrnych lichtarzy, patrząc łakomymi oczyma to na jedzenie, to na jej śliczne nóżki, ogarnęła go dziwna senność. Po trzeszczących schodach wszedł do swego pokoju. Ogolił się i umył. Gdy stał przed owalnym lustrem, usłyszał, że otwierają się drzwi. I zobaczył w tym lustrze, że wchodzi tam ona, absolutna pani tego miejsca. Weszła i spojrzała na niego jak na swoją własność, a potem przywróciła do życia dzięki umiejętnościom, których nie powstydziliby się pospolita dziwka.

Pamięta, że gdy było już po wszystkim i leżał spokojnie, mając jej głowę na swojej piersi, patrzył za okno, na korony drzew spokojnie kołyszące się na lekkim wietrze. W oddali słychać było wystrzały niczym odgłosy nadciągającej burzy. Potem jeszcze warkot samolotów, od którego czuł chłód w brzuchu. W Rożkach spędzili jeszcze tylko jedną noc, podczas której hrabianka Czerniawska zachowywała się jak dzika i niezmordowana kłacz. Karwowski bał się potem, że ktoś z oddziału mógł usłyszeć jej spazmatyczne krzyki.

„Kiedy ja zabawiałem się z hrabianką, oni na pewno chędożyli jej służbę” - pomyślał potem, jakby usprawiedliwiając się. Teresa przebytykiwała czasem jako to „jedyne” i „prawdziwe” uczucie, niedzielny obiad i spacer po parku. Karwowskiego interesował jednak każdy przejaw duszy, obojętnie czy zły, czy dobry, każdy poryw. Chciał to poznać. A miał tę umiejętność, że wszystko umiał sobie wytłumaczyć i wszystko wyobrazić. Czuł się jakby wewnątrz wyścielany watą.

Nieprzytomnymi oczyma spojrzał na Bogdziewicz, który ze zgaszonym wzrokiem i bladą twarzą odchodził w kierunku rżących koni.

„Syrokomla... biedny chłopcze...” - pomyślał, spoglądając na młodego mężczyznę grającego z kolegami w karty pod jabłonią. - Dzisiaj się ożeniłeś, jutro zginiesz. Karwowski zezwolił na ślub, który odbył się dwa dni temu w kościele w Czarnych. Syrokomla i Kaśka poznali się niewiele wcześniej, będzie jakieś trzy-cztery dni. Wesele wyglądało biednie, panna młoda miała welon zrobiony ze zdobycznej firany, nie było prawie nic prócz wódki, kiełbasy, chleba i słoniny. Jedyne, co mogli im zapewnić, to szpaler z szabli połyskujących w słońcu, aż raziło oczy. Zresztą lubił tę małą, zwinną dziewczynę, która dokonywała cudów, aby wydestać dla nich ze wsi jajka i mleko, i do której teraz mówili „pani Syrokomłowa”.

...i znowu wystrzał, przerywający rozmyślanie...

Papieros pomaga, ale tylko na chwilę. Oni nie mogą widzieć, że on się boi. Na cholerę to wszystko. Rotmistrz Chwalba przyglądał te swoje wasy, przyglądał, zobaczył na skraju lasu niemiecką piechotę, zażył tabaki. Potem podniósł tylko szablę i zanim zdążył poprowadzić szarżę, padł na wznak przeszyty serią z ckm-u, razem ze swoją Aspazją. Groteskowo wyglądała ta cała jego elegancja, flegma, błysk w oczach i zapach wody kolońskiej w porównaniu z krwawą pianą i wywróconymi białkami oczu, gdy dostał. I on jeszcze myślał, że zaskoczy ich szybką szarżą? Wiadomo - ten romantyzm go zgubił. Mówili mu - Panie rotmistrzu, upraszamy się, aby zaatakować wroga, gdy ten będzie odpoczywał na skraju lasu. Jest uzbrojony po zęby, w pobliżu broń pancerna i pluton motorowy. A on im na to: - Gówniarze... Jesteście za młodzi, aby mi doradzać. Gdy ja walczyłem z Ruskimi pod Zamościem, wy jeszcze nosiliście koszule w zębach! I tak dalej i apia! I teraz on, dwudziestodwuletni szczeniak, musi ciągnąć za sobą tę czeredę kawalerską z dwiema wiecznemi psującymi się tankietkami (skryli je teraz w głębi lasu), szwadron, który jeszcze nic się nie nauczył i nadal pragnie bohaterskiej szarży. Karwowski wiedział, że drogę odwrotu mają odcięta z trzech stron. Powinni przebiegać się na południe, ku rozproszonym już oddziałom Armii Karpaty, ale to groziło zetknięciem się z niemiecką brygadą piechoty górskiej, która swoimi haubicami rozniosłaby ich w pył. A on chce wypełnić rozkaz i iść potem, gdzie oczy poniosą, choćby i do Rumunii, gdy będzie trzeba. A niech to szlag trafi!

Rożki go tak kłuły, bo kochał ten dworek i wszystkie dworki pachnące chlebem, miodem, kwiatami lipy i świeżo wykrochmalonym obrusem, w takim dworku się wychował, a teraz - i wiedział to, wiedział wyraźnie - koniec z nimi. Idzie nowe. Dionizos przechodził po polskiej ziemi - jak to mu mówił kapitan Smreczyński, w cywilu - doktor filozofii ze Lwowa.

Cholerna jesień, ciepła i pachnąca, droga gładka jak stół... Przejdą i zginią. Jeszcze kwiaty zerwą po drodze!

Andróżowski, który niepostrzeżenie wysuwając się zza drzew, przerwał na chwilę zadumę Karwowskiego, przyniósł jednak dobre wiadomości, toteż na jego przystojnej twarzy malowało się nieskrywane zadowolenie. Południe było czyste, bowiem brygada artylerii górskiej została nie tylko przetrzebiona przez nalot bombowców (och, gdyby więcej tych Łosi!), ale jeszcze związana walką przez jakiś batalion strzelców, który nie wiadomo skąd się wziął.

- Może to Rumuni? - spytał Bogdziewicz, podnosząc rozczochraną głowę znad menażki.

- A nie karpatki Kolskiego? - wtrącił nieśmiało Syrokomla.

- Po pierwsze: dla ciebie - pana rotmistrza Kolskiego. Po drugie: powiedz mi, Syrokomla, w jaki sposób mieliby oni przejść do nas z południa taki kawał? Na skrzydłach mieli przelecieć? - uciął Karwowski.

Zapadło niezręczne milczenie. Ptaki śpiewały wysoko, wijąc gniazda. Pachniały liście i las. Wilgotna trawa przyjemnie chłodziła rozpalone dłonie.

Rozłożyli mapę na zwałonym pniu.

- Tu są Huciska, tu są Rożki, tu jesteśmy my... - pokazywał Bogdziewicz, szukając w oczach podchorążego akceptacji. Ale Karwowski odwrócił się i zapalił papierosa.

„...a tu i tu, i tu, i z lewej, i z prawej, od północy i od południa są Szkopy” - dodał w myślach. „Łatwiej ci będzie pokazać, gdzie ich nie ma, cholera jasna”.

Oddalił się i usiadł na łące. Próbował sobie wyobrazić, uzmysłować cały ten mechanizm, o którym do tej pory nie miał pojęcia. Co sprawiło, że te setki tysięcy opuściło domy, pola, fabryki, dorwało się do granicznych orłów, zgniotło w spoczonej głowie Führera. A potem na myśl przyszedł mu Nietzsche, wreszcie Dionizos, o którym mówił Smreczyński. I tu się zatrzymał.

II

Jego podwładni siedzieli na pniu, bądź stali obok niego i przyglądali mu się z trwogą. W oddali jeszcze jeden wystrzał, koszula przykleja się do spoczonej skóry, kolejny papieros nie smakuje ani trochę.

I jeszcze hrabianka Czerniawska, i tam, dymy nad Rożkami, tutaj i tam, dalej, gdzie mieszka albo mieszkało wujostwo majora Rubena (tego, co zginął pod Ożarowem).

Będzie szarża. Ale taka rozpoznawcza. Chce widzieć hrabiankę pohańbioną i leżącą na dziedzińcu. A potem zawrócić, byle w dziką przepaść wpaść i zapomnieć, o wszystkim zapomnieć. I z pełną pompą panowie! Lampasy mają być lśniące, ogolimy się wcześniej, twarze obmyjemy w stawie, popręgi i puśliska trzeba poprawić. I z trąbką! Z fanfarami, które być może ostatni raz (znów wystrzał, chyba haubica) zabrzmiały nad tą ziemią.

Nagle Karwowskiemu zdało się, że natura przyspieszyła i z jednym zimniejszym podmuchem wiatru przyszła jesień. Ale po chwili znów wyszło czerwone, złośliwe słońce. Oświeślało kryjówki, pewnie delikatnie opalizowało na twarzach hitlerowców, którzy odpoczywali pomiędzy Rożkami a Rożkami-Kolonią. Gdyby ta końcówka lata była dżdżysta, tak jak rok temu, to ich zagony pancerne ugrzęzłyby w błocie, a nasi już dokończyliby dzieła. Karwowskiego dziwiło jaka natura może być nieczuła.

„Myślałem, że Bóg jest po naszej stronie, że, tak jak śmierci Jezusa towarzyszyły ciemności, wiatr i gromy, tak samo przy konaniu tego kraju rozpęta się burza i zakryje w morzu czerni tych żalosnych niedobitków z orzełkami na czapkach” - zastanawiał się.

Teraz popatrzy na tych, których za chwilę wyśle na śmierć. Ma do tego prawo, sam ich poprowadzi. A tak liczył, jeszcze pierwszego, jeszcze drugiego i trzeciego września śniło mu się, jak prowadzi cały pułk, calutki w brzoje, bieli i czerwieni, przystojne chłopaki, palce lizać, na jego piersiach wirtuosi. Słyszeli odgłos szabli wysuwanej z pochwy, widzi swoją własną twarz. I uśmiechał się do tego obrazu, tak jak uśmiechamy się do nieznajomego, choć miłego oblicza.

A potem przyszły okropności wojny: porzucone zwłoki, spalone domy, porzrucany dobytek, płaczące dzieci. W Krakowie, do którego przebili się po ciężkich walkach, zastali ludzi w podnieceniu biegających po ulicach. Kościoły i synagogi stały puste. Zdumiewający brak myśli przewodniej, chaos i kakofonia, po drogach wściekle pędzące furmanki, jęki koni ciętych biczem, a w górze wiecznie złowrogi szum.

- Niebo o nas zapomniało. Niebo nie należy do Boga, ono jest Szatana! - gdzieś pod Sandomierzem wycharczał do niego ksiądz z czerwoną twarzą i rozwianym siwym włosiem. Ciekawe, co dzieje się z tym księdzem teraz, czy żyje jeszcze? Tak bał się śmierci ów wielebny, tak kurczowo chwycił się życia, przycupnięty w leju po bombie przeczekiwał ataki, gdy konający w pobliżu błagali go o rozgrzeszenie.

Czasem jeszcze w głowie, gdzieś głęboko wypływa jedna, idiotyczna myśl: przebić się na północ, do Warszawy, tam, gdzie zacierają niedobitki z Wołynia, znad Bzury, z Pomorza i Prus Wschodnich, do tej mekki głupich i mających nadzieję, tych, co uwielbiają krew przelewać i nawet zginąć chcą stadnie.

Wyrzucał sobie, że był złym dowódcą. Pograżony we własnych rozmyśleniach, przygarbiony pod ciężarem decyzji, którą miał podjąć, zapomniał o nich. Rozmawiali teraz w grupkach, żuli stary, twardy chleb, spoglądali na niego ukradkiem.

Wszedł na niewielkie, zalesione wzgórze i przyłożył do oczu zakurzoną lornetkę. „A gdyby tak na południe?” - pomyślał jakby niedbale. Zaraz zmroziło go. „Czy wolno mi tak sobie o tym myśleć? Północ czy południe? A przecież to wybór między życiem a śmiercią...” I natychmiast Warszawa wydała mu się czarna, dymiąca zgłiszczami, pulsująca morderczym strachem, a Rumunia - oaza pełną wina i bujnej roślinności. Nie chciał podejmować nowej walki, wiedział o tym, że Bogdziewicz czy Syrokomla też tego nie chcą.

Oni byli już wypaleni i przełamani na wstępie, to wszystko, co zobaczyli przez te trzy tygodnie wojny, jak gryzący, ostry pył zostało pod ich obrzękłymi powiekami. Nie znali żadnego innego świata prócz tego, który na ich oczach został zrównany z ziemią. Wyszli, żegnając się z dziewczynami, ostatniej nocy pośpiesznie składali w nich nasienie jak znak rozpaczony wobec niepewnej przyszłości, przypinali do munduru niezapominajki i szli.

Może gdzieś byli inni - silniejsi, tamci...

Tu nie ma już nikogo.

Dla takich jak oni, chyba nie ma miejsca.

Po godzinie wytężonego oczekiwania wydawało się, że strzały ucichły. Karwowski pozwolił rozpalic ognisko. Piekli ziemniaki, wychudłe twarze błyszcząły w ogniu niczym w krwawej gorączce. Pod stopy spadały im pierwsze rude liście.

Karwowskiego palił kołnierz munduru przyklejający się do spoconej szyi. Papieros, który oderwał się od zeschniętych warg miał lekko krwisty smak. Karwowski dopiero teraz zauważył zaróżowiony ustnik.

- Zraniłem się w wargę, to tylko...

To drobne skaleczenie uświadomiło mu, jak bardzo bał się, że zostanie ranny. Widział ich przecież tylu - wyjących, czołgających się w piachu, z twarzami jakby przedartymi nieprzytomnym bólem. Słyszał, że hitlerowcy takich rannych dobijają strzałem w tył głowy... A on sam przejmując się tą lekko zakrwawioną bibułą...

Wtem usłyszał za sobą kroki.

- Panie podchorąży, co będziemy robić? - spytał się Bogdziewicz, który usłużnie przybiegł na wzgórze. - Front może tu być jutro wieczorem, a może nawet wcześniej. A wachmistrz Gębura mówi, że...

- Stul pysk! - Karwowski nie wytrzymał, ale sam czuł, że nadrabia miną. Do jutra jest jeszcze dużo czasu. Słyszysz? Dużo. A dowodzę tu ja, a nie twój wachmistrz. Popraw sobie karabin, bo nosisz go jak damulka parasolkę!

Spojrzenie Bogdziewicza zaniepokoiło go. Nie wiedział, że wachmistrz odtąd będzie próbował go zabić.

III

Następnego ranka zebrał wszystkich na apel. Patrzył na ich czarne, zarosnięte twarze, bezmyślnie patrzące przed siebie, podchodził do nich i poprawiał im mundury.

Nie stali jednak na baczność, a jeśli nawet stali to bardzo niedbale, niektórzy mieli ręce założone na piersiach. Każdy patrzył w inną stronę. Podchorąży musiał udac, że tego nie widzi, bo ostatecznie co miał zrobić?

Bogdziewicz zachował się bezmyślnie, zdradzając Andrószowskiemu swoje plany zabójstwa Karwowskiego i przejęcia kontroli nad oddziałem. Na rozmowę Bogdziewicz wywabił go poza obóz, gdzie już nie wolno im się było zapuszczać. Cały czas miał przygotowanego w pogotowiu visa, gdyby Andrószowski nie zgodził się przyłączyć do spisku. Nerwowo zaciskał dłonie na rewolwerze, gdy z pozornym spokojem, rytmicznie wyznawał mu swój plan.

- Wtedy przebijemy się ku lasom, na północ. Ruski i Niemcy nie zdołali się jeszcze ześrodkować. To jest jedyna szansa, aby...

Nie dokończył, gdy Andrószowski skoczył mu do gardła. Wywiązała się szamotanina, w której Bogdziewicz oddał strzał w powietrze. Stojący w pobliżu na warcie kapral Jański, będąc pewien, że to jakiś patrol niemiecki oddał trzy strzały. A był dobrym strzelcem. Bogdziewicz padł trafiony w brzuch i udo. Gdy przerażony Jański dobiegł do konającego, ten wywrócił tylko oczyma, szarpnął się jak ryba wyrzucona na brzeg i wyszeptał sinymi wargami:

- Niszczy.

Andrószowski, który stał obok, podniósł pistolet Bogdziewicza, którym sam miał zostać zabity. W milczeniu przyłożył mu go do głowy. Jański nie okazał sprzeciwu.

- Był zdrajcą! - zaczął krzyczeć Andrószowski, wymachując rękoma. - Ciebie i ten las zielony biorę na świadka, że wachmistrz Józef Bogdziewicz z 15. Szwadronu Małopolskiej Brygady Kawalerii winny był zdrady zorganizowania spisku na życie naszego dowódcy podchorążego...

- Przecież ty chciałeś zabić wachmistrza - powiedział spokojnie Jański - i cieszyłeś się, że przyszła okazja. A czujesz się teraz lepiej?

Uroczyście brzmiąca trąbka wezwała ich na kolejny apel. Gdy przeszli w stronę obozu, zobaczyli Karwowskiego stojącego na małym kopcu. Miał bardzo uroczystą minę.

Andrószowski nawet nie zastanawiał się, czy ktoś zauważył zniknięcie wachmistrza. Przecież musieli słyszeć strzały, a teraz widzą puste miejsce po lewej stronie.

Zamieszanie jednak było wielkie, wszyscy biegali, krzżeli się. Andrószowski zauważył, że nikt nie zajmuje się końmi, a wielu kawalerzystów ma niekompletne umundurowanie.

- Żołnierze! - głos Karwowskiego próbował przebić się przez gwar. - Rozkazem, który dotarł do nas dzisiaj rano jesteśmy zobowiązani do opuszczenia dotychczasowej linii obrony i przemieszczenia się na przedmieście rumuńskie, aby tam, na tym ostatnim skraju polskiej ziemi walczyć przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy.

Karwowskiego przywitały gwizdy i pomruki, on jednak niewzruszenie ciągnął dalej.

- Dziękuję wam - powiódł wokoło zaniepokojonym wzrokiem - żołnierze za te dni krwawych walk w obronie Ojczyzny, za wasz trud żołnierski. Jeszcze Polska nie zginęła! - krzyknął z fałszywym zapalem, po czym z wyraźną ulgą zeskoczył z góry.

Żołnierze rozeszli się na leże, a Syrokomla został wysłany na zwiady nieco na północ, w kierunku Rożków. Karwowski po prostu chciał się przekonać, jakie były dalsze losy hrabianki Czerniawskiej, nikomu jednak się z tym nie zdradził. - Syrokomla, wiesz, musisz popatrzeć, czy tam nie ma kompanii grenadierów gdzieś w pobliżu, panimajesz? - mówił, nie patrząc mu w oczy.

Decyzja podchorążego była w smak wachmistrzowi Gębura i Kodymowiczowi. Zastali Kaškę, gdy obierała ziemniaki na skraju lasu. Była w prostej, białej sukni, przy podmuchach delikatnego wiatru raz po raz ukazywały się jej białe łydki i kolana. Gębura zaszedł ją od tyłu, zatkał usta, tłumiąc krzyk przerażenia (może myślała, że to Niemcy?) i zadart jej spódnice. Kodymowicz stanął przed nią, spuścił spodnie, po czym wymierzył Kasi siarczysty policzek.

Przyłgnął do niej, wykonując miarowe, pośpieszne ruchy, a po jej udach popłynęła jasna krew.

- Patrzcie, ten szczeniak Syrokomla nawet do baby nie umiał się zabrać jak trzeba! - Gębura wyszczerzył zęby.

Gdy Kodymowicz dokończył i zasapał się, zmienił go Gębura. Przechodzący w pobliżu Marczak przygryzł węża i krzyknął do nich.

- Jak skończycie, zostawcie coś dla mnie!

Po chwili ciemnej rozkoszy Gębura usłyszał znajomy warkot. Zmartwił z przerażenia i myślał, że śni, gdy zobaczył niemiecki samochód pancerny. Zaczął uciekać, jednocześnie próbując założyć spodnie. Seria z działka jednak rozerwała go na strzępy, a odłamki zabiły Kasię, kończąc piekło, którego zaznała w ostatnich minutach życia. Tak to przewrotnie się złożyło - obawiała się hitlerowców, a zgwałcili ją towarzysze jej męża - polscy żołnierze. Konając, nie wiedziała jeszcze jednej rzeczy. Otóż, z tego samego działka kilkanaście minut wcześniej padł strzał, który zabił jej młodego męża.

Tyraliery grenadierów niemieckich, które otoczyły ich z trzech stron, zadawały dotkliwe straty. Nie żyli już Mądrochowski i Kupcewicz, ciężko ranny był młody Ruben. Nie było się nawet gdzie ukryć - wszędzie gładko, las rzadki. Ostatnich kilku poddało się, z Karwowskim na czele. Stali teraz w rzędzie, a dowódca niemiecki, przystojny

brunet, z wyrazem znudzenia na twarzy odrywał im pagony, i na kolanie złamał szablę Karwowskiego.

„Ona została złamana już wcześniej, ty to tylko potwierdzasz, Szkopie” - pomyślał podchorąży.

Czuł tak wielką obojętność, jakby to już nie było jego życie, jakby umarł już wcześniej, gdzieś między Bzurą a Modlinem.

Stał on, Kodymowicz, Wirski, Ostapienko i Żyd Wiesenstein, najniższy rangą. Właśnie jego odłączyli od nich, podumali chwilę, paląc papierosy, po czym wybuchnęli śmiechem. Jeden z Niemców wyciągnął pistolet i strzelił Wiesensteinowi prosto w piersi, wysuwając koniuszek języka zupełnie jak dziecko, które na loterii rzuca strzałą, próbując wycelować w środek tarczy.

Teraz wzięli na bok Kodymowicza. Ten upadł na kolana i zaczął tarzać się w piasku. Parskał i wrzeszczał:

- Nicht, nicht verloren! Nie zabijajcie!!! Heil Hitler! Żyć! Ja chcę! Nic nie machen! Ich unsere Freunde! Nie zabijajcie! - ryczał.

Dowódca Niemców wymierzył w niego, po czym nieznacznie uśmiechnął się i opuścił rękę. Jeden z hitlerowców wymierzył Kodymowiczowi soczystego kopniaka w brzuch. Dwóch innych żołnierzy złapało Karwowskiego i postawiło przed leżącym na ziemi. Dali Kodymowiczowi rewolwer, a jeden z Niemców złapał go za kark i powiedział łamaną polszczyzną:

- Zabij go, a my darować życie tobie!

- Nie zabijajcie, darujcie mi życie, Heil Hitler! Heil Dojczland! - wykrzykiwał Kodymowicz, który nadal niewiele rozumiał.

Krew uciekła z twarzy Karwowskiego, ale jednocześnie uczuł w sobie dziwne ciepło, rozrastające się jak ślad atramentu na chusteczce. Nie trzymali go, więc wyciągnął papierosa i zapalił, spoglądając na wachmistrza z odrazą, jak na glistę czy pajaka. Miał minę, jakby sam miał decydować o jego losie, a nie na odwrót. Strzyknął śliną przez zęby, wprost pod nogi Kodymowicza.

- Jeśli mnie chcecie zabić, pozwólcie tym odejść - powiedział bez namysłu, jakby próbując się usprawiedliwić.

Kodymowicz dyszał ciężko i płakał na przemian, powoli podnosząc broń. Niemcy śmiali się i żartowali. Wysoko, w drzewach śpiewały ptaki, a po niebie przepływały chmury o fantazyjnych kształtach. Niemcy rozpalali ognisko i pogryzali suchary, niektórzy śpiewali jakąś piosenkę Schillera. Wreszcie Kodymowicz nacisnął spust. Chybił.

- Cholera, jakie on wystawia świadectwo naszej sztuce strzelania? - pomyślał Karwowski niemalże z uśmiechem.

Wachmistrz, łkając strzelił jeszcze raz.
Karwowski zachwiał się i poczuł jak ciepła, lekka
krew spływa mu po głowie. Usłyszał jeszcze rżenie
konia i przysięgłby, że to Hera żegna się z nim na
zawsze. Padł twarzą przy swej złamanej szabli.
Widział, jakby coś otwierało się nad nim, rękoma
szarpał trawę. Zobaczył jeszcze słońce i dym. I
nagle powstało w nim rozpaczliwe pytanie, które od
tak dawna chciał zadać. „- To ty?” - wyszeptał
bielejącymi wargami. I już miał usłyszeć
odповідź, gdy kolejny strzał, widać oddany z
bardzo bliska, pogrążył go w mroku, ale
niekoniecznie pustce.

Maurycy Witkowiak

(Poznań, kwiecień 2009)

Piotr Kupczak (25.11.1975) - poeta, teolog,
aktor. Pochodzi z Różańca na Zamojszczyźnie.
Doktorant Wydziału Teologii w Katolickim
Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II. Od 2002 r.
związany ze studenckim teatrem „Enigmatic”, w
którym współtworzył Piwnicę Artystyczną.
Adaptował i nagrał w Katolickim Radiu Zamość
fragmenty powieści Jana Dobraczyńskiego pt. *Cień
Ojca*, którą emitowano w dwudziestu pięciu
odcinkach w grudniu 2002 r.

Autor dwóch tomów poezji: *Nieba otwarte*
(Lublin 2003) i *Ukołysz prześnieniem* (Tarnogród
2005). Jego wiersze znalazły się także w
almanachu biłgorajskich literatów *Wciąż słyszę
słowa* (Biłgoraj 2003) oraz *Kwartalniku
Tarnogrodzkim, Aspektach i Zamojskim Kwartalniku
Kulturalnym*.

W latach 2004 - 2008 działał w zarządzie
Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego.

Jako pierwszy objęty został w 2007 r.
impresariatem twórców Stowarzyszenia Konotacje
Sztuki „Sztukon”. Współpracuje i koncertuje z
parczewskim zespołem Dedli Swim, który tworzy
muzykę do jego wierszy. Jest laureatem
poetyckiego konkursu dla lubelskich studentów
„Kulminacja uczuć 2003”.

Dorobek poetycki Piotra Kupczaka uhono-
rowany został przez biłgorajskie środowisko
literackie nagrodą „Łabędzie Pióro 2007”.

Piotr Kupczak

W krainie łagodności

W krainie łagodności
jest czas
i stół
i nóż

w krainie łagodności
jest tron
i krew
i brud

w krainie bezbożności
był świt
spadł
i już

* * *

Jeszcze nie teraz
blednę w półmroku
mrok zmierzchu nagle
na ziemię opadł
dzień po kryjomu
ze mnie ucieka
a tylko chwila
a bym go dopadł

Teraz me serce
świeci pustkami
błyska złowroga łza
w moim oku
i spada w otchłań ziemi
w popłochu

Siedzę odarty
przez siebie z człowieka
w pełnym aniołów
domu bez okien

przez piętra zgłiszczy
wdziera się spokój

* * *

Wtargnąłem
za niesiebie

wpuściłem
za nikogo

prześcieradeł
przedarte tajemnice
za głową
krępujące wstęgi
pobieżne wota

bandaże dni wolnych
przesącymy
zdrojem adoracji

otuleni sobą

Piotr Kupczak

* * *

Niezapominajki semaforów
odprowadzają
za welon lasu
z kolei

drabiny deszczu
dłużą
nadspodziewanie
przedział czasu

minął pociąg
zatłoczony tobą
zostawał dworzec
bardzo widmo

Łyk

Nastrój oliwnych lamp
aromat dobroczynnej kawy
siedzieliśmy tak dzień w dzień
sielankowi
rozbudzeni
dla zabawy

opuszczam filiżankę
pełną metanoi
w noc
półseny

vis a vis
ukrzyżowany
pragnie...

podam mu
kubek czarnej
za srebrnika
z automatu

powrócić tam
wypijam zimną...

budzik drży

* * *

Piękniejsz tańcząc
zaplątana
we włosy Iniane
obracająca los
ku słonkom nocnym
przywdziewana
w świetliki tęskne
jednych chwil
ukojona
rozstań jutrzenną rosą
w niedotkniętości płonna
stanowczo
nad tratwą
uniesiona

Mariusz Kargul**T**ryptyk polanicki

W miasteczku, w którym nikt nie kichał po pieprzu... Przepraszam, to nie tak miało się zaczynać. Jeszcze nigdy nie byłem w Polanicy. Mam nadzieję, że to się niebawem zmieni. Mieszkańcy wybaczą mi więc tych kilka impresji poczynionych pod wpływem przypuszczeń, niejasnych skojarzeń i snów.

Wiosna w Polanicy

Miejscowość, z racji swego położenia geograficznego, ma bliżej do Grecji i Włoch niż taka na przykład Jurata albo inne Rozewie. Czuć to za każdym razem, gdy zima schodzi na kilka miesięcy do meteorologicznego lamusa. Wiatr pędzący od strony Południa smaga filuternie niewiasty kroczące ulicami miasta, mieszając im we włosach i głowach. Na ich skórze osiada mikroskopijna warstwa pyłków wznieconych gdzieś tam na plażach Morza Śródziemnego przez kohorty niesfornych „bambini”. Nadaje to im ponętnego uroku i generuje zapach burzący krew w żyłach u co bardziej romantycznie usposobionych obywateli. Tylko gburowaci dusigrosze, na widok (i woń) wchodzącej do domu kobiety, potrafią rzucić sponad tabloida: i znowu byłaś w solarium!

Starsze wiekiem i stażem pary z rosnącym niepokojem śledzą we wszelkich dostępnych stacjach kolejne wydania prognozy pogody i czujnym okiem baczą na poziom rtęci w termometrze za oknem. Właściwie nie obawiają się jakiejś specjalnej katastrofy klimatycznej, bo niejedno już w swoim życiu widzieli, ale to tak zawsze rażniej chociaż poudawać we dwoje, że się martwimy, czy nas nie zawieje, zamiecie, zaleje.

Poranek infantki

Infantka Izabela nie miała dzisiaj specjalnie udanego dnia. Już od momentu porannej toalety wszystko zaczęło iść nie tak, jak trzeba. Jej mops Fifi zaplątał się w kotarę, wzbijając obłoki kurzu i budząc myszy w gniazdach. Nie spodobało się to ani kotom cesarzowej matki, ani tym bardziej nadwornemu łowczemu. Błyskawicznie urządzono polowanie z nagonką. Efekty: skrócone o połowę lewe ucho mopsa, trzy koty ranne (jeden beznadziejnie), zerwana kotara, podziurawione ściany, drzwi ruszone z framugą.

Na domiar złego, zaraz potem wpadł wzburzony pretendent do ręki i tronu - Don Juan de Castellon, z licznymi pretensjami i całym wachlarzem żądań. Wrzeszczał i tupął, że on sobie

nie pozwoli, by Izabela traktowała go gorzej niż swego psa i w dodatku jeszcze publicznie kokietała tego francuskiego maminsynka i bawidamka; mowa o markizie Henri de la Gorgogne.

Pretendent ciskał się po kątach. Fifi, skowycząc, gładził łapką kikut ucha, koty rzeźbiły pod kotarą, a myszy urządzały przeprowadzkę do kuchni. Infantka miała już serdecznie tego dość. Chociaż kobiety jej stanu nigdy do czegoś podobnego się nie uciekały, ona postanowiła być pierwsza.

Don Juan dostał „z liścia” raz, ale dobrze, co pozwoliło spacyfikować nastroje reszty menażerii. Następnie Izabela ruszyła zdecydowanym krokiem na stronę jednego ze 125 pałacowych wyjść, wołając po drodze swą oddaną służkę Pola Nicę: - Chodź, stara, jedziemy na manię!

Polanica widziana z kosmosu

Mówią, że z kosmosu można zobaczyć na ziemi tylko Wielki Chiński Mur i ewentualnie Kolej Transsyberyjską. Guzik prawda. Z Marsa widać dajmy na to, jak na Warszawskiej gasną i zapalają się uliczne latarnie, a z Wenus, w przerwach między burzami piaskowymi, słysząc nawet tupot kuracjuszy przemieszczających się ochoczo między jednym a drugim sanatorium. Astronaucci, poupychani w swych statkach jak ostrygi pod służą, z zazdrością spoglądają w wolnych chwilach na dół, a czasem jakby trochę z boku, na to, co ludek polanicki wyprawia sobie o różnych porach dnia i nocy.

O tam, na przykład pani Pelagia Ruszczaję swego małżonka za oko puszczone do licealistki mijanej pod blokiem. Starszy pan na ławce w parku czyta najnowsze wydanie „Bramy Kłódzkiej” i zastanawia się, kiedy wreszcie zamieszczą jego ogłoszenie matrymonialne. Nie zamieszczą, bo go nie wysłał, ale myśli, że to zrobił i teraz się dziwi. W innym miejscu babcia ociera wnukowi łzy z policzków, gdyż malec po raz pierwszy przekonał się, że w telewizji nie zawsze mówią prawdę i gołąb trafiony z procy nie dostanie drugiego życia. Przynajmniej tu, na ziemi.

Na drugim końcu miasta para przejeżdżających podłotków oczekuje niecierpliwie w jej domu, kiedy rodzice wreszcie pojadą na działkę. Właśnie na dzisiaj, w końcu, zaplanowali swój pierwszy raz, a tu jak na złość starzy siedzą w dużym pokoju i oglądają na DVD wszystkie odcinki „Familiady” od 2004 roku. Na działce ponoć jeszcze śnieg, błoto i zero zawilców. A tutaj człowiek nie cyborg, natura się domaga, wiosna za progiem. Nic, tylko wlewać w siebie tę wodę, szklanka za szklanką, tłumacząc zdumionym seniorom: ależ pić się chce, taki dziś upał.

Mariusz Kargul

Zbigniew Masternak

Za garść euro (fragmenty)

2. Zielona Wróżka

- Zielona Wróżka - powiedziałem, gdy wreszcie wsiedliśmy do właściwej linii RER. - Właśnie tak niektórzy nazywali absynt. Kto go pił, czuł się magicznie.

- A co to znaczy Montmartre? - zapytała Renia.

- Wzgórze Męczenników - odrzekłem oszołomiony wielkością miasta.

- A zobaczmy jutro wieżę Eiffla? - dopytywała się Renata, na której stolica Francji również wywarła imponujące wrażenie. Kiedy potaknałem ruchem głowy, ucieszyła się. - Zawsze chciałam na nią wejść. W mojej okolicy, niedaleko stacji kolejowej stoi wysoka wieża - przekaznik telefonii komórkowej. Kiedyś udało mi się wdrapać prawie na jej wierzchołek.

- Takie wchodzenie na wieżę jest symbolem rozwijania się. Gdybym był na twoim miejscu, napisałbym opowiadanie zatytułowane „Dwie wieże”... Pobuszujemy trochę po Paryżu i okolicy, mam na myśli Wersal, i ruszamy szukać pracy. Może gdzieś nad morzem, albo na wsi... Taki mam plan... - położyłem głowę na jej ramieniu. Lubiałem mieć blisko ust skórę jej szyi. Wpijałem się w nią delikatnie, jak młody wampir.

Przypomniałem sobie naszą podróż z Kielc do Paryża. Autobus strasznie się wiół, co parę godzin zatrzymywał się na długie postoje. Całą drogę rozmawialiśmy o tym, że jedziemy podbić stolicę świata. Że kiedyś wydam swoją książkę po francusku i stanie się ona wydarzeniem na skalę europejską. Słuchali nas jadący do pracy we Francji Polacy. Do pracy na budowie, na fermach, jako sprzątaczkę - słuchali naszych słów z niedowierzaniem. Przecież stereotyp Polaka za granicą to kłoszard śpiący na budowie, zawinięty w worek po cementcie.

- Pamiętasz ostatni przystanek przed wjazdem do Paryża? - Renia zachichotała.

- Tak, to było coś przekomicznego! - też się roześmiałem. Autokar zatrzymał się na parkingu pod Paryżem. Pasażerowie rzucili się na toalety, bo ta w autobusie się zapchała. Tyle, że toi-toi, do którego ustawiła się kolejka, był płatny - dwa euro. Postanowiono zaoszczędzić - kiedy ktoś się załatwił, nie zamykano drzwi, bo wtedy toaleta zostałaaby w całości zdezynfekowana. Kiedy do kibla weszła pewna babcia spod Hrubieszowa, nagle rozległ się okrzyk przerażenia. Wyskoczyła z toalety z opuszczoną spódnicą, z majtkami w rękach. Cała mokra. Okazało się, że zamknięcie drzwi uruchomiło całkowitą dezynfekcję.

- Jak byłam mała, jeździłam często z rodzicami po Polsce. Mama pracowała w PKP i mieliśmy darmowe bilety. Zjeździliśmy cały kraj, bardzo to lubiałam... - przyglądała się jadącym w metrze ciemnoskórym dziewczynom. Miały długie, kolorowe spódnice, wyglądały jak Cyganki z Puław.

- Podobno na wzgórzu Montmartre, na które się udajemy, obcięto kiedyś głowy trzem męczennikom - ciągnęłam. - Przez długi czas ludzie omijali to miejsce. Jeszcze na początku XIX wieku na wzgórzu łopotały skrzydła wielu wiatraków i rozwijała się hodowla winorośli. I właśnie to ostatnie sprawiło, że wzgórze stało się atrakcyjne...

- Dlaczego? - Renia słuchała mnie z uwagą.

Nie odpowiedziałem od razu - zauważyłem, że spodobała się dwóm Murzynom, siedzącym naprzeciw nas. Posłałem czarnym groźne spojrzenia, bo poczułem się zazdrosny. Odwrócili wzrok, zaczęli rozmawiać o meczu, jaki niedawno rozegrało miejscowe PSG z Olympique Lyon.

- Siostry zakonne uprawiające winorośl, wytwarzały z niej wino. Ponieważ w Paryżu alkohol był obłożony podatkiem, Montmartre stało się miejscem, gdzie można było się tanio napić... Na przykład absyntu...

- Obserwuj - wskazałem wzrokiem artystów na placu du Tertre. - Może w tłumie kiepskich pacykarzy wypatrzysz nowego Picassa? Tacy jak on bawili się tutaj, głodowali i zastawiali swoje dzieła w lombardach - mówiłem, gdy przeciskaliśmy się wśród turystów. Było tutaj tak uroczo, że nie czuliśmy zmęczenia długą podróżą, ani rozczarowaniem, jakie sprawił mi ten dupek, Georges. Napisał, że znalazł wydawnictwo, które chciałoby przetłumaczyć i wydać we Francji moją książkę. Dostać zaliczkę w euro - to byłoby coś! W wyobraźni widziałem, jak moja książka podbija europejski rynek, jest hitem wydawniczym jak „Kod Leonarda da Vinci”. Miał załatwić wystawienie „Stacji Mirsk” w jednym z francuskich teatrów. „Może nawet uda się dotrzeć do przedstawicieli francuskiej kinematografii...” - tak pisał w liście. Może nawet do Romana Polańskiego, który od afery z tą nieletnią prostytutką mieszka w stolicy Francji. Przyjechalśmy do Paryża i okazało się, że jesteśmy zdani tylko na własne siły. Najgorsze, że kasy mieliśmy tylko na kilka dni. Po chwilowym przygębieniu stwierdziliśmy, że potraktujemy całą aferę jako ciekawą przygodę, wakacyjny wypad. Potrafiłem sobie radzić w każdych okolicznościach - miałem już dwadzieścia siedem lat, a do tej pory pracowałem łącznie z tydzień. Mimo tego miałem ciągle sporo pieniędzy - wierzyłem, że teraz także coś wymyślę. Wynajęliśmy hotel na Saint-Michele. Doba kosztowała czterdzieści euro od osoby. To było dużo, jak na nasze możliwości. Ale musieliśmy zostawić gdzieś bagaże, żeby móc jak najszybciej

ruszyć na zwiedzanie Paryża. Tylko od czego tu zacząć oglądanie miasta, w którym jest tak wiele atrakcji? Na razie postanowiliśmy jechać na Montmartre, odwiedzić miejsce, gdzie żyli i tworzyli podziwiani przeze mnie Boudlaire i wielu innych.

Nad okolicą górowała biała bazylika - nazywa się Sacre-Coeur. Wiedziałem z informatora, że biel budowli to efekt zastosowania kamienia z Chateau-Landon, który pod wpływem deszczu wydzieliał kalcyt, bieląc mury.

- Kiedyś weźmiemy tam ślub - wskazałem głową w kierunku bazyliki, kiedy przystanęliśmy w jednym z licznych zaułków. Przycisnąłem Renię do ściany i zacząłem całować.

- Ała... - jęknęła. - Coś mnie ukuło w tyłek...

- Coś cię ukuło w tyłek i nie byłem to ja? - zażartowałem. Wzięłem ją za rękę i poprowadziłem do Cafe Tabac des 2 Moulins. - To tutaj kręcili „Amelię”.

Weszliśmy do baru, który miał wystrój jakby z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

- Zobacz, ten sam musztardowy sufit, co w filmie... - wskazałem wzrokiem. - Chodźmy do toalety - szepnąłem Reni do ucha. - Jest koedukacyjna...

Absynt kupiliśmy od sprzedawcy na targu. Spod lady.

- To prawdziwy absynt? - dopytywałem się.

- Prawdziwy! - zapewnił. - Sporządzony według starych reguł. Może kupi pan także aparaturę? - wskazał na ażurowe łyżeczki i inne akcesoria.

Wydawał się na tyle przekonujący, że kupiłem dwie butelki i potrzebne do rytuału przyrządy.

- Z czego robi się absynt? - zapytała Renia, kiedy skierowaliśmy się do małego parku.

- Przede wszystkim z kwiatów i liści piołunu oraz anyżu, z dodatkiem kopru włoskiego i hyzopu... - odrzekłem. Kiedyś bardzo interesowali mnie moderniści, wiedziałem wiele na temat ich sztuki, a także codziennych obrzędów.

- A dlaczego jest zielony? - dopytywała się Renia.

- To kwestia barwnika...

- A to prawda, że ma właściwości... jak to się nazywa... no, psychoaktywne?

- Przekonamy się...

Rozsiedliśmy się na ławeczce w parku. Do jednej części alkoholu dodałem trzy części lodowatej wody, co spowodowało jego zmętnienie. Dosypałem ażurową łyżeczką cukier.

- Woda go rozpuści - wyjaśniłem. - Dodałem cukier celem zmniejszenia goryczy.

Zaczęliśmy się raczyć trunkiem. Coraz bardziej zaczynało się nam podobać takie życie. Wbrew schematom, codziennej pogoni za pieniędzmi, wątpliwej karierze. Piliśmy, a wtedy

zaczęłam widzieć tych, których podziwiałem. Zjawili się w czwórce: Boudlaire z kobietą i Stasio Przybyszewski z Dagny Jeul. Przybyszewski, chociaż najsłabszy artystycznie z nich wszystkich, rządził tą gromadką.

- Słyszałem, że teraz w Polsce nie ma dobrych pisarzy... - Przybyszewski wydał pogardliwie swoje wąskie jak u kobiety usta.

- Nie ma ... - potwierdziłem.

- Bo nie piją absyntu! - wtrącił Boudlaire i wszyscy wybuchliśmy gromkim śmiechem.

Rozmawialiśmy do późnej nocy. W końcu zauważyłem, że ludzie, z którymi siedzimy, to wcale nie Przybyszewski i Boudlaire z kobietami, a Murzyni i Murzynki z pociągu. Renia chyba wcześniej to zauważyła, bo nic nie mówiła, tylko spała, oparłszy głowę na moim udzie.

- Mieszkacie tutaj? - zapytałem, jakby dopiero pierwszy raz ich ujrawszy. A osuszyliśmy już obie butelki zielonego trunku.

- Tak - odparł Murzyn, którego uważałem za Przybyszewskiego - tutaj są tańsze mieszkania niż w centrum Paryża - błysnął białymi zębami, w których odbiły się refleksy pobliskiej latarni.

- Jesteście artystami? - zadałem drugie pytanie, jeszcze głupsze od pierwszego. Popatrzyli po sobie i wybuchli gromkim śmiechem.

- Można tak powiedzieć - odrzekł ten, którego uważałem za Boudleair'a. - Artystami życia...

- Co tworzycie? - nie bardzo rozumiałem, o czym do mnie mówi. - Jakiś performance?

- Pilnujemy naszych kobiet, żeby dobrze pracowały - wyjaśnił Przybyszewski. - Na Polach Elizejskich. - Wskazał wzrokiem na dwie dość ładne, ale bardzo szerokie w biodrach Murzynki. - Jak się ich nie pilnuje, to strasznie oszukują. I są leniwe...

- A ty też jesteś alfonsem? - zapytał rzeczowo Boudlaire. - Twoja kobieta jest blondynką. - przyjrzał się śpiącej Reni z zainteresowaniem. - Blondynki we Francji są w cenie...

- Nie, to moja dziewczyna... - wyjaśniłem, trzeźwiejąc. - Renia, obudź się, czas na nas - zerknąłem na zegarek - właśnie minęła północ. - Za kwadrans mamy ostatni pociąg do Paryża - wyjaśniłem Murzynom, chociaż wcale nie byłem pewien, czy w ogóle jeszcze jest jakiś pociąg tego dnia.

Renia zbudziła się i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na towarzyszy naszej libacji.

- Musimy wracać do hotelu - podniosłem się i pomogłem jej wstać.

- Zostańcie jeszcze - nalegał czarny Przybyszewski. - Na początku była chuć... - chwycił moją żonę za rękę.

Zdzieliłem czarnucha butelką po absyncie w łeb, aż się szkła posypały. Stracił przytomność.

Drugi chciał mnie dusić, ale w rękę miałem już drugą butelkę - podzielił los kolegi, tyle że butelka się nie rozbiła. Poprawiłem mu kopniakiem w nos. I zostawiliśmy tych męczenników na wzgórzu, przy lamencie ich kobiet.

3. Tylko koni żal...

- Czuję się trochę jak w pierwszym wagoniku roller-coastera... - uśmiechnęła się Renia, gdy przejeżdżaliśmy przez Paryż „14-stką” - według informacji - najnowszą, najnowocześniejszą i najszybszą linią metra. - Pamiętasz, jak do Nałęczowa przyjechało wesołe miasteczko? - wybuchnęła śmiechem.

Jakże mógłbym zapomnieć - namówiła mnie na przejażdżkę na roller-coasterze. Nienawidzę karuzeli i tym podobnych - wsiadłem tylko dlatego, że nie chciałem wyjść na mięczaka. Niestety, zwymiotowałem na innych pasażerów.

- To pierwszy i na razie jedyny w Paryżu pociąg, który nie ma motorniczego... - powiedziałem, gdy przesunęliśmy się na początek wagonu. Staliśmy tuż przy szybie, z której rozciągał się niesamowity widok na tunel...

- Miałam sen - powiedziała Renia. - Szłam przez Puławę w moim nowym kożuchu, który mi kupiłeś. Była ze mną Futrzak, moja przyjaciółka. Obie miałyśmy włosy ufarbowane na czarno, zaplecione w długie, grube warkocze. Nosiłyśmy spódnice - kolorowe, długie po kostki. Byłyśmy Cygankami... - urwała, bo pociąg zatrzymał się na kolejnej stacyjce - na całej linii wszystkie drzwi otwierały się automatycznie. Wysiedliśmy, żeby się przesiąść do linii numer „1”.

- Zobacz, jak świetnie to wszystko jest urządzone - odezwałem się z podziwem. Właściwie z każdego miejsca było blisko do jakiejś stacji i można było względnie szybko przemieszczać się po mieście. Na każdej stacji widniały strzałki, które kierowały na odpowiedni peron. Trzeba było tylko znać docelowy kierunek - nazwa ostatniej stacji była przypisana strzałkom. Na peronie znajdowała się też elektroniczna tablica, która pokazywała czas przyjazdu najbliższych pociągów.

- A ile osób czyta książki?! W Warszawie jest ich zdecydowanie mniej... - nie przestawałem się zachwycać. W metrze były zamontowane automaty, do których wrzucało się po kilka euro i wypadła książka - można było kupić nawet dzieła klasyków, choćby jednego z najbardziej przez mnie cenionych - Balzaka.

- Może dlatego, że tamtejsze linie są za krótkie - wtrąciła cierpko Renia - nie lubiła, kiedy przestawałem jej słuchać.

Z głośników leciały kawałki z musicalu Notre-Dame de Paris z Garou w roli Quasimodo. Powiedziałem o tym Renacie, która kompletnie nie znała francuskiego.

- Aha, pamiętam - powiedziała Renia. - Chociaż bardziej wolę książkę Hugo.

- Chyba chodzi ci o wątek miłosny archidiakona Frolo do pięknej Cyganki Esmeraldy... - zażartowałem. A gdy wzruszyła ramionami, powiedziałem:

- Quasi-mondo - oto jak można nazwać Paryż.

- Dlaczego właśnie tak? - zapytała.

- Ten dzwonnik to pokraka, ktoś, kto wzbudza odrazę, a jednocześnie szacunek. Jak Paryż właśnie - wyjaśniłem.

- Jeżeli chodzi o Quasimodo, to cenię sobie tylko tego włoskiego poetę, laureata nagrody Nobla... - Renia znów się ze mną przekomarzała. - Zobacz, w metrze jest cała masa małych sklepików... - zmieniła temat. - Drogich bo drogich, ale w oczekiwaniu na pociąg można sobie przynajmniej pooglądać wystawy...

- Metro to także pokaz mody paryskiej... - zauważyłem uszczypliwie. - Opowiadaj o tych Cygankach - myślałem o tym, że metro to współczesny labirynt Minotaura. Raczej - Metrotaura. Rozglądałem się za kimś, kto spełniałby taką rolę.

- Wróciliśmy do Puław z Kazimierza Dolnego, gdzie żebrałyśmy na rynku. Słysłyśmy, zaśmiewając się, bo naciągnęłyśmy turystów na mnóstwo kasy. Nagle podbiegł jakiś chłopak i wyrwał mi torebkę. Byłam przerażona - bałam się, że ukradł mi telefon, pieniądze, dokumenty. Sprawdziłam kieszenie. Znalazłam telefon i pieniądze. Mimo tego zadzwoniłam na policję. Zanim przyjechali, okazało się, że ukradziono mi stary dowód i starą legitymację szkolną. Nie były mi już potrzebne - nosiłam twoje nazwisko. Zniknęłyśmy stamtąd przed przyjazdem policji - oni nie znoszą Cyganów. Poszliśmy na targ. Futrzak kupił sobie czerwoną bluzkę za trzy złote sześćdziesiąt groszy.

„Też sobie kup - namawiała mnie - zobaczysz, będzie ci pasować”. Nie chciałam, bo nie lubię rzeczy z targu. Poza tym bałam się wyciągnąć portfel - wydawało mi się, że śledzi mnie chłopak, który ukradł mi torebkę.

„Chodźmy stąd!” - powiedziałam do Futrzaka i wróciliśmy do naszego taboru. - Ty byłeś królem naszej grupy. Siedziałeś przy ognisku i patrzyłeś na mnie... - uśmiechnęła się.

- To znaczy, że nadchodzi w naszym życiu czas żebrania - taka była moja interpretacja jej snu. - „Czas Cyganów”. Byliśmy w Paryżu już kilka dni i zaczynały się nam kończyć pieniądze.

Metro istnieje tutaj już ponad wiek - liczba jego linii bardzo się rozrosła i teraz, o ile ktoś znajdował się w obrębie dwóch pierwszych zon, nie musiał szukać autobusów, żeby gdzieś dojechać. Ponadto linie metra wzbogacone były o linie tzw. RER,

czyli pociągów, które swoim zasięgiem obejmowały o wiele większy obszar, ale do których dostęp miał każdy, kto wykupił zwykły bilet na metro. My udawaliśmy się na la Defense - była to trzecia zona, ale pani w kasie wyjaśniła nam, że można wysiąść jedną stacją wcześniej i przespacerować się do Grande Arche de la Defense. Przez tych kilka dni pobytu w Paryżu buszowaliśmy po całym mieście i okolicy.

Zauważyłem, że przypatruje mi się starszy facet, który wyglądał na Cygana z Puław albo Opola Lubelskiego, ale równie dobrze mógł być Arabem albo Mulałem - nie nauczyłem się jeszcze odróżniać na pierwszy rzut oka przedstawicieli licznych tutaj nacji. Mężczyzna chyba zauważył mój wzrok, bo podszedł do nas i powiedział:

- Twoja dziewczyna ma złote włosy... - uśmiechnął się. - My, Romowie, zawsze kochaliśmy złoto. W dawnych czasach nasze kobiety przyozdabiały się wielką ilością naszyjników ze złotych monet, nawlekały je na złote łańcuchy i pozwalały im dyndać na swych pięknych ciałach jak warkoczom czosnku. Trzeba było nie lada wysiłków, żeby dobrać się do ich cyczuszków kołyszących się pod tą masą żółtego metalu... - zarechotał rubaszenie. Ledwie go rozumiałem - mówił jakimś dziwnym dialektem języka francuskiego - może to była jakaś cygańska naleciałość?

- A mężczyźni! - ciągnął facet. - Jakież to sztuczki wyprawialiśmy z naszym złotem niegdyś na Węgrzech czy w Rumunii! Kilkanaście złotych monet owiniętych w materiał i zaszytych w eleganckiego węża, włożone do spodni, sugerowało, że ma się tam organ godny słonia! Wyobraźcie sobie - stary Cygan zerknął lubieżnie na moją Renię - jak zdumiona była cygańska laseczka, kiedy zdjęła te spodnie... - ponownie zarechotał. - Inna sprawa, że ciężko czymś zaskoczyć cygańską laseczkę, bo ona widziała już wszystko, a poza tym to nie rozmiar imponuje rozsądnym kobietom, raczej technika, wycucie i wigor... - kontynuował swoje przemyślenia niby jakiś Lew-Starowicz. - Gdzie się udajecie?

- Do Grande Arche de la Defense. - Odrzekłem, bo mimo rubasznego zachowania jakoś nie budził mojej nieufności. - Szukamy jakiegoś taniego noclegu.

- Zapraszam was do naszego obozu... - zaoferował starzec.

- Jak to do obozu? - oczami wyobraźni zobaczyłem cygański tabor znany z jakichś starych obrazów i fotografii.

- Zobaczycie - powiedział tajemniczo.

Podczas drogi opowiadał nam o zwyczajach swego narodu:

- Nie lubimy dzisiejszych czasów. Dawniej wszystko było prostsze. My zresztą także byliśmy kiedyś prostszymi ludźmi. Weźmy na przykład znaki, którymi się posługiwaliśmy. Były rysowane patykami na ziemi albo kawałkiem węgla na ścianie i to wystarczało. Kiedy zdarzyło ci się przebywać z dala od taboru twojego szczepu, pozostawiałeś za sobą ślady, że tędy szedłeś lub żeby udzielać istotnych wskazówek tym, którzy szli po tobie...

- O czym mówiły te znaki? - wtrąciłem, gdy wysiedliśmy na dworcu pod Wielkim Łukiem. Pod tym monumentem-biurowcem znajdował się ważny węzeł komunikacyjny z końcową stacją metra nr „1”, stacją RER, dworcem kolejowym i autobusowym. Wielki Łuk stał na linii będącej przedłużeniem Paryskiej Osi Historycznej, zaczynającej się od Luwru, a kończącej się na Łuku Triumfalnym. W Wielkim Łuku mieściły się galerie wystawiennicze, biura i instytucje państwowe, jak również tarasy widokowe.

- Na przykład „tutaj są hojni ludzie, przyjaźnie nastawieni do Cyganów”, albo „tutaj nie dadzą ci nic”, albo „już okradliśmy to miejsce”. - mówił stary Cygan, gdy wyszliśmy na powierzchnię i przemierzaliśmy dzielnicę la Defense. Stanowiła ona centrum biznesu we Francji, ale była także centrum handlowym, wystawienniczym, rozrywkowym i transportowym. Na jej terenie znajdowało się także kilkanaście ekskluzywnych apartamentowców i hoteli. - Były też znaki informujące, że tu jest woda dla koni, że są tu świny i kurczaki do ukradnięcia, albo że w tym mieście mieszka wielu głupców, którzy wierzą w przepowiadanie przyszłości. Można też było zostawić informacje pożyteczne dla wróżbiarzy, którzy przybyli tu po tobie: „ta kobieta chce mieć syna” albo „ten staruszek wkrótce umrze”.

- Dlaczego tutaj nie jeżdżą samochody? - zapytałem uderzony kosmicznym spokojem tego miejsca.

- To jeden z nielicznych w Europie przykładów niemal całkowitej izolacji ruchu pieszego od kołowego... - wyjaśnił rzeczowo nasz przewodnik. - Do niemal wszystkich wieżowców można jednak dotrzeć drogami wewnętrznymi znajdującymi się w podziemiach.

Popatrzyliśmy z Renią po sobie, jakbyśmy słuchali Cygana z Puław. Znaliśmy ich z Kazimierza Dolnego - pilnowali swoich żon wróżących na rynku.

- Wątpicie w moje słowa? - obruszył się. - Dlaczego? Wiem, co mówię, wierzcie mi. Jak mogłoby być inaczej? Kiedy coś wam mówię, mówię wam dlatego, że wiem, iż to prawda. Jestem już zbyt stary, żeby kłamać. A to, co tutaj mówię, mówię przede wszystkim do siebie, a dopiero potem do was. Okłamałbym was bez wahania,

gdyby mogło mi to przynieść jakąś korzyść. Ale teraz? Teraz mogę mówić tylko absolutną prawdę. O, tutaj mieszka mój tabor - wskazał wysoki nowoczesny budynek, który wyglądał jak dekoracja do „Gwiezdných wojen”.

- Niemożliwe... - powiedziała Renia, gdy jej to powiedziałem. - Ten staruch tutaj mieszka?

- Twoja złotowłosa dziewczyna mi nie wierzy? - domyślił się. - Patrzy na starego Perhana i nie wierzy, że jest bogaty. A czy wy wiecie, że ja byłem kiedyś Królem Wszystkich Cyganów?

Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro budynku. Weszliśmy do urządzonego z niesamowitym przepychem wnętrza. Stary Cygan klasnął w dłonie i zjawily się dwie kobiety w średnim wieku.

- To moje służące - wyjaśnił. Powiedział do nich coś po cygańsku. - Zaraz przygotują obiad - będziecie moimi gośćmi - powiedział do nas. - Rozgoście się, a ja pójdę się przebrać.

Nie mieliśmy nic przeciwko - od rana jedliśmy tylko bagietki - staraliśmy się oszczędzać pieniądze.

Nie wiedzieć czemu, po głowie zaczęła mi się błąkać piosenka Maryli Rodowicz. Zacząłem ją pogwizdywać:

- Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal...

- Co ty tam śpiewasz? - dopytywała się Renia.

- E, taka tam stara piosenka... - machnąłem ręką. Rozglądałem się po mieszkaniu. Było bardzo nowoczesne, a jednak znajdowało się w nim wiele wykonanych starymi technikami wyrobów kowalskich, ludwisarskich, rusznikarskich i płatnerskich, a także ślusarskich. Były także dzieła sztuki złotniczej, metalowe naczynia. Meble były drewniane - wykonane w nieznanym dla mnie stylu. Wszędzie było pełno drewnianych mis, łyżek, sił, koszy, był nawet złób dla konia i świńskie koryto. I wiele wyrobów stolarskich. Miałem wrażenie, jakbym się znajdował w muzeum kultury i sztuki cygańskiej.

- Widzę, że podziwiasz moje zbiory - wrócił nasz gospodarz Perhan. W tradycyjnym cygańskim stroju - zwiwnym i niezwykle barwnym wyglądał imponująco. - Staramy się ocalić od zapomnienia życie naszych przodków. Zapraszam na taras.

Rozsiedliśmy się w wiklinowych fotelach. Z tarasu rozciągał się wspaniały widok na cały Paryż. Rozmawialiśmy.

- Wszystko się zmienia. Cyganie także musieli się zmienić. Mój szczep mieszka w całym tym wieżowcu. Wszyscy pracują w banku, który założyliśmy dwadzieścia lat temu.

To, co mówił, było niesamowite. Zupełnie nie przystawało do romantycznego stereotypu Cygana - wiecznego włóczęgi i złodzieja.

Po jakiejś godzinie kobiety przyniosły jedzenie na drewnianych misach i podały drewniane noże, widelce i łyżki.

- Ludzie nazywają tę potrawę „cygański kociołek” - wyjaśnił Perhan. - Kiedyś gotowaliśmy potrawy tylko z tego, co znaleźliśmy na polach, co udało się nam ukraść. Kabaczek, strąki papryki czerwonej, zielonej i żółtej, ziemniaki, pieczarki, cebula, pomidory, łyżka cukru, gotowane mięso, dwie łyżki oleju, ziele angielskie, listek laurowy, cząber, sól, pieprz, natka pietruszki, szklanka rosółu... - wymieniał. - To bardzo proste składniki, a jakie smaczne! - zachwalał.

Rzeczywiście, to była prawda - w życiu nie jedliśmy nic smaczniejszego. Trochę kojarzyło mi się z kuchnią węgierską czy rumuńską, ale może to dlatego, że przecież wiele szczepów romskich zamieszkiwało dawniej tamte tereny.

Gdy kończyliśmy jeść, pojawili się niespodziewani goście - stary i młody. Perhan przedstawił nas jako swych przyjaciół, a o tamtych powiedział, że to przedstawiciele Rady Cyganów z Amsterdamu. Byli właścicielami dużego kasyna na południu Holandii.

- Perhan, musisz znowu zostać naszym królem - poprosił po francusku młody człowiek, typ znany mi z Puław i Opatowa, gdzie chodziłem do liceum.

- Chłopcze, mam już po dziurki w nosie tego wszystkiego. Władza po prostu mnie wypaliła. Nadszedł czas, bym odszedł na dobre. Chcę dożyć tutaj reszty swoich dni.

- Perhanie, nie poradzimy sobie bez króla. Radziliśmy sobie przez pięć lat, ale teraz sprawy za bardzo się komplikują. Wielcy spośród Romów chcą wybrać nowego króla. Nie będą już dłużej czekać. Jeżeli naprawdę nie chcesz wrócić, jesteśmy gotowi wybrać kogoś innego na twoje miejsce.

- W dawnych latach na ziemi nigdy nie istniał ktoś taki jak Król Wszystkich Cyganów... - wyjaśnił mi Perhan, gdy się przysłuchiwałem ich rozmowie. - To był tylko mit. Wymysł Romów, aby mydlić oczy gaje, albo może wymysł samych gaje, którzy chcieli sobie mydlić oczy, bo często tak właśnie robią. Mielśmy królów - zgoda - całe ich mnóstwo: w każdym szczepie, w każdej wędrującej grupie. Musiał być przecież ktoś w rodzaju przywódcy, ktoś inteligentny, silny, z wyczuciem sprawiedliwości, ktoś, kto miał autorytet w grupie, i potrafił ją skupić wokół siebie, żeby mogła stawić czoło przeciwnościom losu, zwłaszcza że wędrowaliśmy przez wrogie kraje z ich dziwnymi prawami. Ale król? Jeden potężny Król Cyganów, który sprawowałby władzę nad milionami wędrujących Romów, rozproszonych po wszystkich zakątkach ziemi? Taki ktoś nigdy nie istniał...

Znów pogwizdywałem swoją piosenkę, którą tak bardzo lubiła moja matka:

- Cztery kąty i okna ze szkła...

- Bardzo ładna melodia - Perhan przerwał na chwilę swoją opowieść. - Nie nudzę pana? - A gdy zaprzeczyłem ruchem głowy, kontynuował: - Byliśmy wtedy biednymi ludźmi. Śmieciami ziemi, brudnymi, niechwalnymi włóczęgami, którym nikt nie ufał, a ponieważ gaje obawiali się nas, zawsze nas

zaczepiali, przyglądali się nam uważnie i zadawali mnóstwo głupich pytań. To był ich sposób, aby dopasować nas jakoś do schematów swego własnego nudnego życia. Kiedy przybywaliśmy w nowe miejsce, musieliśmy się starać o pozwolenia na osiedlenie się, jakieś dokumenty potwierdzające obywatelstwo, paszporty i inne bzdurne papiery. Nie mieliśmy szacunku dla tych wszystkich żądań, bo niby dlaczego miałyby nas obowiązywać prawo gaje, skoro mieliśmy swoje, dużo lepsze? Ale jednak ziemia stanowiła ich terytorium, ich było wielu, a my nieliczni, oni byli bogaci, a my biedni, oni mieli władzę, a my nie mieliśmy nic. Zatem musieliśmy grać w te ich głupie gry i odpowiadać na te ich bzdurne pytania. Mówiliśmy im po prostu to, co chcieli usłyszeć, bo był to najprostszy i najbardziej skuteczny sposób radzenia sobie z tymi ich wszystkimi idiotyzmami. A gdy jeden z naszych taborów przybywał do ich miasta, chcieli przede wszystkim wiedzieć, z kim jest wśród nas jakiś przywódca, ktoś z odpowiednim autorytetem, który mógłby nas kontrolować i powstrzymać przed szerzeniem chaosu w mieście. Jeśliby ktoś taki istniał, mieliby kogoś, z kim mogliby rozmawiać i tym samym nas kontrolować. Tak to sobie przynajmniej wyobrażali.

„Kto tu rządzi?” - pytali. „Nasz król, oczywiście” - odpowiadaliśmy - albo książę, hrabia, markiz, jaki tam tytuł najbardziej im pasował. „To ten mężczyzna” - wskazywaliśmy człowieka, który wcale nie był prawdziwym wodzem szczepu. Prawdziwy wódz trzymał się raczej z tyłu, aby gaje nie mogli go wziąć jako zakładnika albo zaszokować mu w inny sposób. Wysyłaliśmy kogoś, kto wyglądał na króla - wysokiego, barczystego Roma z błyszczącymi oczami i długimi wąsami, który mógł być nikim w szczepie, ale za to dobrze wypadł, rozkazując donośnym głosem i grając rolę bardzo ważnego człowieka. On właśnie mówił gaje wszystko, co chcieli usłyszeć. „Tak, - mówił - jesteśmy praworządnyimi chrześcijanami i nie będziemy wam sprawiać żadnych kłopotów. Zostaniemy tutaj tylko na chwilę, naprawimy wasze garnki, naostrzymy wasze noże i odjedziemy w dalszą drogę”.

I tak rozchodziły się wieści, że najlepszym sposobem radzenia sobie z Cyganami to porozmawiać z ich królem. Inaczej równie dobrze można porozmawiać z wiatrem, falami i piaskiem na plaży. Oczywiście, wcześniej czy później musiało paść pytanie, czy istnieje Król Królów, władca wszystkich szczepów. Tak, naprawdę mamy wielkiego króla - mówiliśmy im. Dlaczego nie? Skoro sprawiało im to przyjemność, a oni chcieli wierzyć w takie bzdury: że jesteśmy jednym narodem rozproszonym, po świecie, że mamy swojego króla, tak jak oni mają swojego, i że jego słowo jest prawem dla naszych szczepów. Bardzo ich podniecały i trwożyły nasze tajemnice. Bo też byliśmy obcy, dziwni i tajemniczy. Mielśmy swoje własne zwyczaje, swój język. Przychodziliśmy i odchodziliśmy nocą. Przepowiadaliśmy przyszłość. Byliśmy kieszonkowcami, kradliśmy kurczaki i, jeśli

tylko nadarzyła się okazja, porywaliśmy też małe dzieci i wychowywaliśmy je na Cyganów. No i mieliśmy króla, który kierował nami w tej sekretnej wojnie, jaką wiodliśmy przeciw całej cywilizowanej ludzkości. Wierzyli w te wszystkie brednie. Mieli silną potrzebę, żeby w to wierzyć. Powiedz gajo jakąś głupotę, a on będzie to przerabiał, upiększał, powtarzał, aż stanie się ona dla niego najprawdziwszą z prawd.

Kiedy gdzieś w jakimś miejscu pięć czy sześć szczepów schodziło się razem na festiwal, gaje wyobrażali sobie zaraz, że wybieramy nowego króla. Czy to właśnie robicie? Czy wybieracie nowego króla? A my robiliśmy bardzo poważne miny - tak, tak, nasz stary król umarł, a my wybieramy najsilniejszego, najmądrzejszego i najlepszego z nas na następcę. Czasami nawet faktycznie przeprowadzaliśmy parodię elekcji, jeśli można było coś na tym zyskać. A potem mówiliśmy gaje: oto nasz nowy król. Nadawaliśmy im dziwne imiona, które w naszym języku brzmiały obraźliwie, Im bardziej sprosne słowa wymyśliliśmy, tym lepsza była zabawa. Znajdowaliśmy jakiegos przystojnego Roma, zazwyczaj z próżnią zamiast mózgu, nosiliśmy go na rękach jako króla Cyganów, a on uśmiechał się łaskawie. Gaje byli pod wrażeniem - płacili spore pieniądze, żeby być świadkami koronacji, płacili za robienie zdjęć, za przyglądanie się naszym śpiewom i tańcom w tradycyjnych strojach, a my krążyliśmy między nimi i opróżnialiśmy im kieszenie. Nie dlatego, że byliśmy kryminalistami, ale dlatego, że chcieliśmy ukarać ich za ich głupotę.

I gaje odchodzili potem wielce zadowoleni, bo widzieli koronację cygańskiego króla.

W końcu jednak przyszedł czas, że naprawdę wybraliśmy króla. To było dziesięć lat temu. To ja nim zostałem. Pod moimi rządami Cyganie wkroczyli w nową epokę. - Dlaczego zrezygnowałeś? - zapytałem, chłonąc jego słowa.

- Nie wszyscy chcieli realizować mój plan. - popijał herbatę.

- A jaki to był plan? - dopytywałem się.

- Chciałem, żebyśmy się zajęli organizacją lotów kosmicznych. Stworzyli gwiazdną flotę, która zagwarantowałaby ruch międzyplanetarny. I co pan na to?

- Tylko koni, tylko koni, tylko koni, tylko koni żal - zanuciłem.

4. Zawężanie pola walki

Zapusciliśmy się w dzielnicę Clichy-sous-Bois. Tutejsze bloki znajdowały się w żalosnym stanie. Wiele mieszkań było już tak zniszczonych, że je zamurowano. W bloku naprzeciwko widać było całe rzędy zamurowanych okien. Wszędzie poniewierały się hałdy śmieci. W pobliżu nie było żadnej apteki, a do sklepów trzeba jechać z kilka kilometrów. Patrzyliśmy, jak jakiś barczysty facet w czarnej skórzanej kurtce - skojarzył mi się z jakimś ukraińskim gangsterem - pomiata młodym Arabem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakieś bandyckie porachunki.

- Przecież już mnie kontrolowałeś! - oburzył się chłopak. - Kontrolujesz mnie po kilka razy dziennie, chociaż wiesz, że jestem niewinny. Chcesz mnie sprowokować? Tak? O to ci chodzi? Żeby mieć pretekst do aresztowania? Nie dam ci w twarz, chociaż mam na to ochotę.

Mężczyzna stał się agresywny. Zaczął krzyczeć i wyzywać chłopaka. Popchnął kontrolowanego i groził mu pałką. W końcu rzucił go na ziemię i skuł kajdankami.

- Ten facet to gliniarz... jest z BAC-u... - pociągnąłem Renię za rękę i weszliśmy do jednego ze zrujnowanych bloków. Nie chcieliśmy przyciągnąć uwagi policjanta - niedawno siedliśmy sobie na trawie w jednym z parków, żeby coś przekąsić - zaraz pojawiła się żandarmeria, żeby nas wylegitymować. Francja stała się krajem policyjnym. Przypominał mi się film „Nienawiść” Mathieu Kassovitz’a.

- Z BAC-u? Ale nie z Armenii? - Renia próbowała jak zwykle obrócić całą sprawę w żart, chociaż było widać, że brutalność policji ją zaniepokoiła.

- To taka brygada antykryminalna - wyjaśniłem. - Ubrani po cywilnemu policjanci, którzy rządzą biednymi przedmieściami francuskich miast niczym armia okupantów. Zobacz, jacy są pełni nienawiści do tutejszej młodzieży. Przechadzają się w pobliżu wejść do dużych bloków i zaczepiają każdego młodego, jakiego zobaczą. Słyszałem o tym od Georges’a, ale nie wierzyłem. Żądają dokumentów, a gdy kontrolowany się przeciwstawi, jest bity i kończy w areszcie. Jakoś nie wspominają o tym mass media z prorządowego nurtu - powiedziałem do Renaty, gdy obserwowaliśmy z ukrycia, jak młody Arab został wepchnięty do samochodu z zaciemnionymi szybami. Po chwili auto odjechało z piskiem opon.

W klatce schodowej, w której się skryliśmy, nie było nawet światła. Winda zdawała się nie działać od lat.

- Zobaczysz, kiedyś tutaj wybuchną zamieszki przeciwko niesprawiedliwości, a przede wszystkim przeciwko brutalności policji.

- I będzie to usprawiedliwiony bunt... - wtrąciła Renia.

Przypominałem sobie, jak sam miałem kłopoty z policją - z powodu wydania mojej debiutanckiej powieści.

„Tak, kochanie. Jutro się pakuję i jadę szukać stacji w Lublinie - mówiłem do Reni, kiedy do mnie zadzwoniła. - Już bardzo się za tobą stęskniłem. Siedzę w domu i piszę.

- Dziś w nocy miałam dziwny sen. Szłam do chatki Żeromskiego. Trafiłam do marketu, w którym mój nauczyciel historii - Muciek - przekonywał, że powinni go zamienić w nową szkołę. Poszłam dalej, przez pola. Po zbożu jechała karetka na sygnale, za

nią radiowóz policyjny. Zboże było już wysokie, dojrzałe. Zaraz za karetką jechała straż pożarna. Gnały w kierunku lasu. Szłam polną drogą. Tymczasem maluchem nadjechała Futrzak.

Zabrała mnie do środka, miała mnie zawieźć pod chatkę Żeromskiego. Drugą ręką malowała plakat, który miał być reklamą nowej szkoły. Na plakacie była przedstawiona uśmiechnięta kropka. „Skup się na drodze, przecież dopiero niedawno dostałaś prawo jazdy!” - mówię do Futrzaka. - Daj, ja narysuję ten plakat”. „Nie, muszę sama - zaprotestowała - Muciek mi kazał, bo nie chciałam mu wyrwać włosów z nosa!” „W takim razie - zatrzymaj się!” Jedną ręką zatrzymała malucha, a drugą nie przestała rysować. Przeszłam przez jakieś tory w lesie i znalazłam się przy chatce. Składała się z odwróconych tyłem kart. Zastanawiałam się, jak do niej wejść, kiedy nagle zaczęła się palić. Karty sparzyły mi dłoń. I nagle nadjechały karetka pogotowia, straż pożarna i policja. Strażacy gasili pożar, weterynarz opatrzył mi rękę, a policja przeprowadzała dochodzenie...

- Rzeczywiście, dziwny sen... Kocham cię! To przyjadę jutro! - rozłączyłam się, bo na podwórko zajechał radiowóz. W pierwszej chwili pomyślałam, że to policjanci ze snu Reni - przyjechali w sprawie dochodzenia. Zbiegłem po schodkach i wyjrzałem przez judasza. Za drzwiami stali kaptur Pikuś i prawdziwy Judasz - mój kolega z licealnej klasy - Kolia.

- O, jest - ucieszył się kaptur Pikuś. Z osiem lat temu był świeżo upieczonym kapturkiem i przyjechał w sprawie spalonego gołębnika mojego ojca. W naszej okolicy nie działo się zbyt wiele, więc na parę lat zlikwidowano posterunek w Baćkowicach. Przywrócono go w zeszłym roku. Widokiem Kolii byłem zaskoczony. Zatem to tak wyglądała jego kariera po studiach prawniczych. Został wiejską pałą, stójkowym.

- O co chodzi? - zniecierpliwilem się. Goniła mnie literacka robota - chyba mogłem użyć tego określenia - ostatecznie się z niej utrzymywałem.

- Narozrabiałeś w „wielkim świecie” - w głosie Kolii syczała zawiść. Z pewnością czytał wywiady, których udzieliłem prasie - tam często pisano, że wyrwałem się z świętokrzyskiej wsi w wielki świat. A Kolia? Zamiast mecenasem został wsiowym gliniarzem. To było znacznie poniżej jego chorobliwych ambicji.

- Niby jak narozrabiałeś? - zdenerwowałem się. Dotąd żaden sąd nie postawił mi zarzutów w sprawie handlu lewymi kartami telefonicznymi, wiedziałem, że będą mi chcieli zrobić proces poszlakowy. Ale może wytropili coś jeszcze? Mimo, że starałem się być uczciwym obywatelem, polskie państwo nie stwarzało mi zbyt wielu możliwości do godziwego życia. To była przyczyna wszystkich

moich kombinacji. Ich efekt? Miałem prawie dwadzieścia siedem lat, a dotąd jeszcze nigdzie nie przepracowałem uczciwie nawet jednego dnia.

- Chodzi o PKP - wtrącił Pikuś, posapując z emocji. Na jego świńskiej, porośniętej jasną szczecinią, niby na dupie prosiaka gębie, odmalowało się uroczyste napięcie.

„Ocho - przemknęło mi przez myśl - wielki detektyw Pikuś wpadł na trop gigantycznej afery, której rozwikłanie przyniesie mu awans na jeszcze większego Pikusia”.

- Jak to, o PKP? - pomyślałem, że dopatrzyli się jakichś przekrętów w wykorzystaniu dwóch opuszczonych stacji kolejowych podczas kręcenia „Stacji Mirsk”.

- Jeździłeś na gapę! - wycedził z satysfakcją Kolia.

Rozbawiło mnie to. Ci kretyni przyjechali, żeby mi zawracać głowę paroma niezapłaconymi biletami kredytowymi? I to ma być ten wielki świat, w którym narozrabiałem? Kto mógł stać za tą sprawą? Jezusek - wójt mojej gminy. Mścił się, że opisałem go w swojej książce. Ośmieszyłem go - z tego powodu nie kandydował do sejmu. A teraz jego kundelki - posterunek policji mieścił się w urzędzie gminy - przybiegły mnie podgryzać.

- A co was to obchodzi? - zdenerwowałem się.

- Jechałeś trzy razy... - cedził Pikuś. - Trzeci niezapłacony przejazd traktowany jest jak próba wyłudzenia. Musimy cię przesłuchać w tej sprawie.

- Nie mam czasu. Dajcie mi kwity, to od razu zapłacę i wypier... - nie dokończyłem tego, co chciałem powiedzieć. Ze stójkowymi lepiej nie zadzierać - wykończyli już niejednego Janka Muzykanta. A potem szczerzyli bezmyślnie kły.

- A co robisz? - warknął Kolia.

- Piszę książkę...

- I znów będą to takie brednie, jak ostatnim razem? - okazało się, że starszy kaptur Pikuś w chwilach wolnych od tropienia złodzieiów drobiu zajmuje się także krytyką literacką.

Wzruszyłem ramionami: miałem gdzieś ich opinię.

- Zostawcie wezwanie na jutro, to przyjadę... - sytuacja wydawała mi się coraz bardziej groteskowa. - Zgodnie z prawem możecie do mnie przyjechać, jakbym się nie zjawił na trzecie wezwanie.

- Przyjeżdżaliśmy do ciebie przez pół roku, ale cię nie było... - odrzekł Kolia. W jego tępowych oczach widniała niechęć. Nie mógł się pogodzić z tym, że o mnie robi się coraz głośniejsze, a on jeździ zdezelowanym polonezem.

- Teraz musisz z nami jechać... - piknął Pikuś.

Roześmiałem mu się w twarz.

- Zamknijemy cię na czterdzieści osiem godzin w areszcie... - groził Kolia. - Za stawianie oporu podczas aresztowania! - pienieł się jak wściekły kundel.

- Jakie stawianie oporu - śmiałem się. - Jakiego aresztowania?

- Tak? - zaperzył się Kolia. - Walnę głową w ścianę. Zeznamy, że to ty mnie uderzyłeś... I co wtedy będzie? Nas jest dwóch, a ty sam...

To rzeczywiście było możliwe. Nie zamierzałem jednak spuszczać z tonu.

- Nie pojedę, bo... spojrz tam - wskazałem na suszące się na sznurze rozwieszonym w sędzie pranie. - Wszystko uprałem...

- Jedź w tym, co masz... - upierał się Kolia i wskazał wzrokiem na piłkarski dres, który miałem na sobie. Był już bardzo poplamiony, poprzecierany i połatany. Nie spaliłem go jeszcze tylko ze względu na sentyment do młodych lat.

- Zadzwoń do dziennikarzy... - Wściekłem się i sięgnąłem po komórkę. Ich postępowanie nie było zgodne z prawem.

- Nigdzie nie bedziesz dzwonił! Jus my cie zaro tak usadzimy, ze ani piśnies! - wyrwało się po wiejsku Pikusiowi, w końcu pochodził z Nieskórzowa.

- Włożę mokry sweter i spodnie, na waszą odpowiedzialność... - zdjąłem ciuchy ze sznura przed domem i zacząłem się przebierać. Wszystko było mokre, bo lato było deszczowe. Ubrałem się i wsiadłem do auta.

- Nie wojuj, bo niczego nie zwojujes! - popikiwał Pikuś, a Kolia gnał policyjnym rzęchem po wyboistej drodze przez Nieskórzów do Baćkowic. Dobrze, że nie włączył koguta. - Myślis, ze jesteś łod nos lepszy?

- Mam w dupie was i całą tę zasaną okolicę... - wycodziłem. Chodziło o obronę swojego sposobu na życie, miejsca w świecie.

- To sie stond wyprowadź! - doradził mi Pikuś, a Kolia pokiwał głową z aprobatą.

- Z pewnością zniknę na jakiś czas. Ale kiedyś wrócę. Bez wątpienia - siedząc na tylnym siedzeniu patrzyłem w lusterko. Spuściłem wzrok, bo minęliśmy idących pod sklep Suchego i Ajm-sorrego. Zagłądali do środka, żeby zobaczyć, kogo dorwali Pikuś i Kolia.

- To jak jeździłeś? - zapytał Pikuś, gdy siedziałem w obskurnym pokoiku, szumnie nazywanym posterunkiem policji. Sam zasiadł przy biurku. Walił grubymi paluchami, nawykłymi do roboty w oborze i w polu, w klawisze maszyny. To jeszcze bardziej mnie wnerwiło - powinienem pracować nad nową książką.

- Nie wiesz, jak się jedzie pociągiem? - zadrwiłem. - Wsiada się do przedziału i się jedzie...

- A dokąd jeździłeś? - zapytał podchwytliwie.

- Do matki... - odrzekłem i posmutniałem. - Przyjeżdżałem do niej na gapę, bo nie miałem pieniędzy, ratowanie jej zdrowia pochłonęło wszystkie moje dochody.

- A gdzie jest twoja matka? - detektyw Pikuś tropił wielką aferę.

- Na cmentarzu... - odciąłem. - Pokazać ci grób?

Zamilkł. Upisał się ze dwie strony. Myślałem o tym, że jednak moje działania przyniosły jakiś efekt. Zostały dostrzeżone przez wójta i całą resztę. A te ich oceny były dla mnie ważniejsze od opinii recenzentów najpoczytniejszych gazet.

- Podpisz protokół... - zażądał Pikuś.

Podpisawszy, odrzekłem:

- Pamiętaj, ja kiedyś też spiszę swój protokół z tej sprawy... - obiecałem i niniejszym rozdziałem słowa dotrzymałem.

Zbigniew Masternak

Elżbieta Szadura-Urbańska

tare dziwki z mojej ulicy

Niech będzie, że nazywają się Carmen, Bella i Ramona. Pewnie dzisiaj żadna prostytutka tak się nie nazwie, zresztą one może też nie zaakceptowałyby tych imion. To ja nazywam je tak na swój własny użytek. Na użytek odkurzania czasów ich świetności, kiedy Carmen, Bella i Ramona królowały w nocnych lokalach. No właśnie, nie „klubach” tylko „lokalach”, i pewnie nie „dyskotekach” tylko „dancingach”. Zresztą nie wiem, czy królowały. W moich wyobrazeniach chcę im dodać świetności. Chcę im wynagrodzić dzisiejszy upadek, bezrobocie i złośliwość czasu, który zakpił z ich planów. Miały przecież kupić te swoje kawiarnie, restauracje, gotować obiady dla bogatych mężów, lub w najgorszym razie prowadzić własne domy publiczne. Może w tamtych czasach los im sprzyjał trochę bardziej niż teraz? Może były najładniejszymi dziewczynami? A dzisiaj? Pozostał im tylko prostokąt czterech ulic.

Stoją tak na rogu, obok kościoła, za plecami mają ruchliwe ulice miasta. Obnażone przez promienie słońca, niedoinwestowane, nieudolnie ukrywające upływ czasu i biedę - wyzwalają we mnie dławiące uczucie wzruszenia. Są jak upadające imperia nieodparcie skazane na zagładę przez nowych barbarzyńców. Komety, odległe o lata świetlne od call girls, internetowych usług i całego nowoczesnego, kurewskiego blichtru. Myślę o nich z czułością, kiedy wyobrażam sobie jak na wyrwanych z zeszytu karteczkach z namaszczeniem cyzelują numery swoich domowych telefonów i dopisują - „usługi całodobowe”. Już sam wyraz „całodobowe” jest okrągłutki od tych „o” kreślonych jak w zeszycie do kaligrafii. Wyobrażam sobie jak Carmen, Bella czy Ramona piszą przy śniadaniu te karteczki - troskliwie, z uwagą, żeby nie zrobić błędu, nie poplamili.

Najczęściej spotykam Bellę. To chodząca, a raczej stojąca w tym samym miejscu cierpliwość. Upatrzyła sobie skwerok obok przedszkolnego ogródka, naprzeciw kościoła. Wracający z niedzielnej mszy parafianie omijają ją szerokim łukiem, przechodzą na drugą stronę ulicy z niemym wyrzutem: „Jak można, w takim miejscu?!” Ale mogę przysiąc, że Bella nie jest żadną prowokatką. Gdyby stała naprzeciwko, nic by nie wskórała - to przecież ulica jednokierunkowa. Więc musi stać z tej strony i już. Stoi czasami całą niedzielę. Okrągłutka, niewielka, w welnianym płaszczku, z apaszką pod szyją. Ubrana jak wiele przechodzących obok kobiet: skromna urzędniczka, dbająca o wrażenie schludności. Zakłada wygodne buty, trochę rozdeptane, ale zawsze wypastowane trzewiki, a w ręku trzyma książkę. Czyta. Korci mnie, żeby podpatrzeć tytuł, ale ona - jak pilna uczennica z zamierzchłych czasów - książki okłada w gazetę.

Co innego Carmen: bizantyjski przepych i wieczorowy makijaż. Pełna gotowość już od rana. Jej garderoba jak nic pochodzi z czasów, gdy świecące bluzki, cekinowe spódniczki kupić można było jedynie w Peweksie. Otóż Carmen ma kilka takich zestawów. Zakłada je tylko do pracy. Wprawdzie złote nitki gdzieniegdzie się już przetarły, niektóre cekiny poodpadały, ale strój nadal robi wrażenie. Do tego zawsze pod kolor dobrane rajstopy, jeżeli nawet z puszczonego oczkiem, to stosowną nitką załapanym na okrętę.

Rano, u rzeźnika, ze znanstwem dobrej gospodyni, Carmen wybiera mięso, doradza też innym klientom. Wtedy jest ubrana normalnie, w rzeczy z pobliskiego „ciuchlandu”. Ekspedientki uśmiechają się do siebie pod nosem, robią znaczące miny, jakby chciały zdyskredytować jej kulinarne umiejętności, jakby tymi uśmiechami chciały ją raz na zawsze przyszpilić do jednego rogu ulic i do tej jednej życiowej roli.

Carmen ustawia się w przeciwieństwie do Belli rogu ulicy. Ale rzadko pracują w tych samych godzinach. Carmen, mimo wyraźnych oznak klimakterium, zachowywała zgrabną sylwetkę. Włosy farbowane na rudo podcina wsuwkami, zwykłymi czarnymi wsuwkami do włosów, które można kupić w pobliskim kiosku. Czasami rano kończy makijaż, siedząc na schodach prowadzących do przychodni zdrowia. To dobre miejsce do świadczenia takich „prozdrowotnych” usług. Tylko kto chce z tych usług skorzystać? Kto się jeszcze zatrzymuje przed Carmen, Bellą czy Ramoną? Żaden z tych „wypasionych” samochodów, które bezgłośnie przesuwają się obok czytającej Belli i malującej się Carmen. Przed nimi zatrzymuje się - rzadko, bo rzadko, ale jednak - rozgruchotany polonez, stara skoda z odpadającym błotnikiem. Bella wówczas

zamyka książkę, a Carmen pośpiesznie kończy makijaż. Znikają w samochodzie i, z piskiem, a raczej charczeniem opon, odjeżdżają do - nie zawsze z góry opłaconych - rajów rozkoszy. Oni, ci kierowcy, nie zawsze płacą. Kiedyś Bella przeklinała jednego takiego. Opowiadała Ramonie, czego już mu nigdy nie robi, żeby nawet pałace jej darował. Nie darują pałaców, rzadko też chcą, aby one darowały im cokolwiek ze swojej przebrzmiałej urody. Stare skody i rozgruchotane polonezy zatrzymują się przed Bellą coraz rzadziej.

Przed Ramoną ostatnio prawie wcale. Ramona ma problem z piciem. Coraz później wychodzi na ulicę, a zdarza się, że nie wychodzi wcale. Obrzmiałe od alkoholu powieki przysłania ciemnymi okularami.

- Skulał się wczoraj jak jasna cholera - mówi nie wiadomo do kogo.

Rano, na wyrównanie elektrolitów, przyjmuje butelkę piwa, i po tym zabiegu może postać jeszcze parę godzin. Często ma przy sobie torbę okrucich, którymi karmi gołębie i jakieś beznamiętne psy i koty. Otoczona tak gromadką zwierząt, niczym święty Franciszek, zdaje się nie zauważać nikogo, nawet swoich potencjalnych klientów.

- Po ile dzisiaj? - zaczepiają ją chłopcy z pobliskiego technikum. Ona jednak nie słyszy albo udaje, że nie słyszy i dalej rzuca ptakom kawałki suchej bułki. Ale około trzeciej już jej nie ma, chociaż zdarzało się, że wiosną stała nawet do wieczora. Pamiętam taki dzień z początku kwietnia. Dzień po śmierci papieża. O każdej pełnej godzinie zamierał ruch na ulicy - przechodnie i kierowcy zatrzymywali się. O piątej Ramona akurat siedziała na schodach, ale na dźwięk wycia syren wyprężyła się jak struna. Nie wszyscy jednak poszli jej śladem.

- Chamy, palanty, gnoje, wieprze! Dla nikogo nie mają szacunku! - lżyła ich, wyprowadzona z chrześcijańskiej równowagi Ramona.

Kiedy Ramona idzie do domu, na jej miejscu znów zjawia się Carmen. Teraz ma nową koleżankę. Trochę młodszą od siebie. Siadają na murku przy parkanie, rozmawiają. Młodsza częściej papierosem, starsza wyciąga z torebki lusterko. Takiego już nigdzie nie uświadczysz, może gdzieś jeszcze na pchlich targach. Lusterko jest okrągłe, małe, z łatwością mieści się w kobiecej dłoni. Poza sprawdzeniem własnego wyglądu, można odwrócić je i podziwiać filmową piękność. Carmen ma lusterko z Sopią Loren. Gdyby się tak przyjrzeć, chyba jest nawet trochę do tej włoskiej aktorki podobna. A na pewno była. Duże oczy, wydane usta. Carmen chowa lusterko, zaciąga się papierosem, którego ogarek wsuwa w lukę po brakującej jedynce. Przyryka oczy i trwa tak w stanie błogiej nieobecności. Obok dziewczyn z przeraźliwym wyciem klaksonu przejeżdża samo-

chód. Carmen jak wyrwana z letargu podrywa się, szybko rozpoznaje kierowcę i demonstrowa mu gest z uniesionym w górę środkowym palcem.

Spotykam je codziennie. Po latach przechodzenia obok nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. Ostatniej jesieni, przez wiele dni nie widziałam Belli. Zdziwiła mnie, a potem zaniepokoiła jej nieobecność, w końcu zwróciłam się do Ramony:

- A gdzie jest ta pani... ta tutaj? - zrobiłam nieokreślony ruch ręką.

- A co, z urzędu skarbowego? - odpowiedziała, taksując mnie uważnie, jakby pierwszy raz w życiu mnie widziała.

- Nie, tylko tyle czasu jej nie ma... Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Ciekawa pani, czy nie umarła, co? A co to za różnica umarła czy żyje, takie życie to myśli pani, że coś wielkiego. Ja tobym chętnie zamieniła się z tym nawet wróbelkiem, bo co on niby ma za kłopoty, jedzenia dużo nie potrzebuje, woda mu wystarcza do picia, nie to co mnie. Taka ptaszyna każdemu miła, nikomu nie zawadza... - Ramona z pasją oddała się afirmacji wróbelkowego żywota.

- No nie, ja tylko... przepraszam - odeszłam pospiesznie.

Ale widać Ramona rozważyła wszystkie za i przeciw, rozpoznała w moich oczach autentyczny niepokój, i kiedy już byłam daleko usłyszałam wołanie: - Ej, ej, proszę pani! Pani zaczeka! Renia jest w szpitalu, ma raka, będą ją chlastać. Pozdrowię ją od pani. Ucieszy się, że ktoś się o nią martwi.

Elżbieta Szadura-Urbańska

KSIAŻKI NADESŁANE

- *Biało-Czerwonej*, almanach Chelmskiej Grupy Literackiej *Lubelska 36*, TAWA, Chełm 2009, ss. 36;
- Tadeusz Budziak: *W hołdzie komendantowi. Józef Piłsudski we wspomnieniach i refleksjach*, Polihymnia, Lublin 2009, ss. 143;
- Zbigniew Dmitroca: *Zakaz przekraczania granicy*, zbiór wierszy, SPP&Świat Literacki, Lublin(?) 2008, ss. 64;
- Paweł Wojciech Maciąg: *Splendor Lubelszczyzny*, wiersze, ilustracje, Polihymnia, Lublin 2009, ss. 280;

Mariusz Kargul

A pokryf znaleziony w jajeczku

A było to w piątą niedzielę Wielkiej Posuchy Literackiej. Przed grotą nauczyciela i mistrza Grafa Omana, zebrali się strwożeni uczniowie, pragnący przelać w swe serca choć odrobinę nadziei i otuchy. Najstarszy wiekiem i doświadczeniem - Koszałko Opałko - rzekł:

- Master, a powiedz ty nam, kiedy wreszcie pisanie wierszy stanie się dochodowym zajęciem, a z tomików poetyckich będzie można utrzymać samego siebie, rodzinę, wielbłądy, ośła i muła?

Na dźwięk tych słów z gór poczęły osypywać się kamienie, spadł śnieg nienotowany w tych stronach od czasów Noego, a krzaki jęły pałać żywym ogniem. Mistrz wyszedł przed grotę, podniósł do góry prawicę i, patrząc wysoko w niebo, ozwał się w te słowa:

- Tato, nie teraz...

Po chwili, gdy wszystko ustało, kontynuował:

- Zaprawdę, powiadam wam, że prędeż „Norbertinum” wyda Kamasutrę, niż poeta przejdzie przez ucho igielne kapitalizmu.

„O, kurczątko!” - dało się słyszeć tu i tam pośród uczniów. Koszałko chciał natychmiast pacyfikować bluźniercze nastroje w gronie zebranych, na co Graf Oman zareagował:

- A ostaw ty ich, mój mały, wszak nie wiedzą, co czynią. Zaprawdę, za darmo i w promocji - powiem wam, że coście sami sobie w tomikach uczynili, uczyniliście też i mnie. Kiedyś któryś z was obejmie po mnie schedę i wyjdzie na jaw, kogo w chwale po „empikach” nosić będą, a komu samemu w pocie czoła znój swych mąk twórczych po zieleniakach osiedlowych kolportować przyjdzie.

Tymczasem chodźcie dziatki pod me ramiona i zaśpiewajmy wspólnie odwieczną pieśń skrybów:

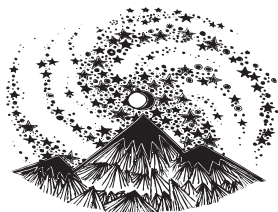
Alleluja, alleluja!

Nie ma lotra ani zbója.

Jeden jest tylko Twórcza w powiecie,

Ale wy i tak o nim nie wiecie! Yo, jamen.

Mariusz Kargul



Tadeusz Polanowski

Norwid - nowator sztuki



„Poeta i sztukmistrz” jest trzecim zbiorowym opracowaniem poświęconym Norwidowi w ramach serii „Studia i Monografie”. Poprzedziły go pozycje: „Norwid i chrześcijaństwo” (2002) oraz „Liryka Cypriana Norwida” (2003). Książka jest pokłosiem konferencji „VII Colloquia Norwidiana” zorganizowanej w 2003 roku w Kazimierzu Dolnym przez Zakład Badań nad Twórczością Cypriana Norwida KUL wraz z Fundacją Norwidowską i Towarzystwem Naukowym KUL. Zawiera piętnaście referatów wygłoszonych przez polonistów różnych ośrodków naukowych, sześć innych ukazało się wcześniej w roczniku „Studia Norwidiana”. Wszystkie, dowartościowując plastyczny dorobek Norwida, *poszukują związków i zależności, jakie łączą jego sztukę słowa ze sztuką obrazu* (s. 7).

Studia zawarte w „Poecie i sztukmistrzu” nawiązują tytułem i swoją zawartością do wydanej przed sześćdziesięciu laty pracy Kazimierza Wyki. Badają relacje między poetycką i plastyczną twórczością Norwida. Mówią o malarsko-rzeźbiarskiej, religijnej, intelektualnej i symboliczno-alegorycznej wrażliwości poety. Wskazują na nowy, w stosunku do romantycznego, rodzaj intelektualno-zmysłowego obrazowania Norwida, które przeciwstawiało się malarskiemu widzeniu rzeczywistości „wielkich poprzedników”. *Poeta - pisze E. Kasperski w szkicu „Słowne obrazy Norwida” - pragnął okiełznać romantyczną bujność i barwność obrazów, ale bynajmniej nie wyrzekł się obrazowania, które konkretyzowało, uplastyczniało i unaoczniało treści intelektualne* (s. 89).

Ks. A. Dunajski w rozprawie „Ikonaografia religijna w literackich aluzjach Norwida” wskazuje na istotny dla tego późnoromantycznego poety problem wiary. *Czytając jego utwory w porządku chronologicznym - pisze A. Dunajski - odnosimy wrażenie, że młody Norwid „tak wierzy, jak widzi”, a Norwid dojrzały [...] coraz bardziej widzi tak, jak wierzy*. Dzieje się w ten sposób, bo: *Bardzo często Norwid będzie „widział” na obrazie to, czego tam w sensie materialnym i dosłownym nie ma, ale jest jakby ukryte w głębszym planie symboli i sensów możliwych do odczytania jedynie przez odniesienie do tekstów biblijnych lub wprost do chrześcijańskiego systemu prawd i wartości* (s. 55).

Takie spojrzenie na dzieło „wielkiego nowatora”, nierozumianego i odrzucanego przez współczesnych, staje się możliwe w świetle późniejszego rozwoju sztuki (skrótowość, metaforyczność obrazu) i wyakcentowania płynącego z wiary systemu religijnych odniesień. S. Rzepczyński w artykule „Plastyczność przedstawienia postaci w Czarnych kwiatach”, mówiąc o myśleniu alegorycznym i symbolicznym Norwida, wskazuje na religijne pojmowanie sztuki przez poetę, który sądził, że: *Sztuka przestała odgrywać istotną rolę, nastąpiła jej degeneracja, oddzieliła się od tego, co ją zrodziło, od religii, i stała się czymś w rodzaju ozdobnika, dodatku do życia, związała się z trendami unifikującymi świat, depersonalizującymi go* (s. 106). (Warto notabene zaznaczyć, że przed kilkunastu laty Jan Paweł II, wychodząc ze zbliżonego założenia, „List do artystów” napisał w celu przywrócenia sztuce właściwej roli, zaproponował zbliżenie jej do religii, powołał się tam też na jeden z utworów C. K. Norwida).

Podobnym do S. Rzepczyńskiego spostrzeżeniem dzieli się także D. Kalinowski - autor szkicu „Fotografy epistolarne Norwida” - i m.in. pisze: *W rozumieniu Norwida podstawowym zadaniem sztukmistrza winno być takie uprawianie piękna, w którym dochodzi do eksponowania pierwiastka duchowego, zawartego w kształtach ciała, postrzeganego zmysłami. [...] Właśnie od tak rozumianej sztuki zależy „pewne uczucie - wyższego - porządku - rzeczy”* (s. 333).

Problemem sztuki twórcy „Fortepianu Szopena” szerzej zajmuje się J. Rudnicka w rozprawie „Wieloaspektowość zainteresowania Norwida sztuką”. W niej autorka zwraca uwagę m.in. na przypisywaną sztuce religijną funkcję, która - według poety - *podnosi człowieka z pierwszego upadku Adama, wymaga zupełnego, jakby benedyktyńskiego, poświęcenia się dla niej* (s. 31).

Norwid stawia przed sztuką na sposób romantyczny podwyższone zadanie, ma ona bowiem, oprócz własnej estetyczno-poznawczej funkcji, pełnić też funkcję religijną i właściwą dla filozofii. W tym względzie bardziej pojemne staje się dla poety nie malarskie lecz rzeźbiarskie jej skrzydło. W wielu szkicach „Poety i sztukmistrza” autorzy zbliżają się do zauważonej przez K. Wykę prawidłowości, że Norwid odchodzi od ujęć malarskich, a wprowadza rzeźbiarskie, że w rzeźbiarski i posągowy sposób widzi postać ludzką (T. Skubalanka „Kategoria ruchu...”, M. Kaziuk „Motyw plastyczny w *Vade-mecum* Norwida”).

Dzieje się tak w twórczości słownej i plastycznej zapewne dlatego, że *Poeta przeczuć* - jak zapisał w dwadzieścia lat po śmierci Norwida Stanisław Witkiewicz na marginesie „Promethidiona” - *łamał i dręczył język dla wynalezienia wyrazu na pewne stany duszy, na pewne pojęcia dotychczas nieprzeczuwane i nieprzemysłane*.

Tadeusz Polanowski

Poeta i sztukmistrz. O twórczości poetyckiej i artystycznej Norwida. red.: Piotr Chlebowski, Towarzystwo Naukowe KUL, Instytut Badań nad Twórczością Cypriana Norwida KUL, Lublin 2007, ss. 376.



Najady - rysunek Cypriana Kamila Norwida z 1846 r.

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Ryszard Maleszyk (red.): *Antologia krasnostawskiego konkursu poezji więziennej 1994-2007*, Polianna, Krasnystaw 2008, ss. 232;
- Jacek Romanek (red.): *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956*, Polihymnia, Lublin 2009, ss. 293;

Agnieszka Szykuła

Pejzaż pogranicza

Kilkanaście tygodni temu ukazała się nowa publikacja Muzeum Zamojskiego, zatytułowana „Kapliczki, figury i krzyże przydrożne w pejzażu pogranicza”. Zawarty w książce materiał jest efektem prac terenowych i badawczych Muzeum Zamojskiego, tym razem obejmujących swym zakresem krajobraz świątków i figur z obszaru środkowowschodniej Polski. Wydawnictwo ma charakter albumowy, ale nie brakuje w nim rzetelnych opisów, a także analizy zilustrowanych obiektów. Na końcu publikacji znajduje się mapa obszaru badań, z zaznaczeniem miejscowości, w których występują zabytki.

Jak czytamy w słowie wstępnym dyrektora Muzeum Zamojskiego, Andrzeja Urbańskiego, *nie spotyka się nigdzie indziej takiej ilości przydrożnych kapliczek i krzyży różnych wyznań chrześcijańskich*. Są to [...] *elementy dziedzictwa kulturowego bardzo silnie wrosnięte w krajobraz wiosek, miasteczek, pól, łąk i rozstajnych dróg*. Obszar ten pod względem zróżnicowania kulturowego jest szczególnie interesujący, bowiem nakładały się tutaj wpływy kulturowe Zachodu i Wschodu. Był on zamieszkiwany przez wyznawców religii rzymskokatolickiej, prawosławnej i greckokatolickiej.

Tej różnorodnej tematyce jest poświęcony album. Po raz pierwszy zebrano w nim materiał fotograficzny, usystematyzowano dotychczasowy stan wiedzy i wyciągnięto wnioski na temat typologii kapliczek, figur i krzyży przydrożnych. Omówienia tematu kapliczek i krzyży przydrożnych w pejzażu pogranicza podjął się Piotr Kondraciuk. Album podzielony został na siedem następujących rozdziałów: *Figury Matki Bożej i świętych, Kapliczki, Krzyże betonowe, Krzyże i figury kamienne, Krzyże drewniane, Krzyże metalowe i kute, Krzyże żeliwne*. Szczególną uwagę autor poświęcił krzyżom żeliwnym z figurami Chrystusa. Tekst został poparty rzetelną wiedzą, autor powołuje się na klasyczne dotychczas publikacje Zygmunta Glogera, Tadeusza Seweryna (*Kapliczki i krzyże przydrożne w Polsce*), prace Romana Reinfussa oraz artykuły zawarte w czasopiśmie „Twórczość Ludowa”.

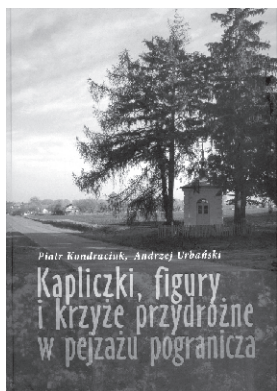
Opracowania zawierają opisy techniczne kapliczek i krzyży, ich analizę stylistyczno-porównawczą. Po raz pierwszy - co szczególnie ważne - zajęto się ich typologią.

Wyodrębnionych zostało 21 typów ujęć, z uwzględnieniem układu ciała ukrzyżowanego Chrystusa, modelunku perizonium (szaty okrywającej biodra) i ornamentyki. Z opracowania dowiadujemy się, że wplecione w krzyże ornamenty pąków i kwiatów maku symbolizują nieśmiertelność, a umieszczona pod krzyżem postać z kie-

lichem w uniesionej dłoni być może nawiązuje do apokryficznej opowieści o świętym Graalu. Według legendy, święty Graal był właścicielem kielicha używanego podczas Ostatniej Wieczerzy, do którego Józef z Arymatei zebrał przelaną podczas ukrzyżowania krew Jezusa Chrystusa - również symbolizującą nieśmiertelność.

Książka pokazuje krajobraz pogranicza polsko-ukraińskiego, usiany kapliczkami i krzyżami przydrożnymi. Warto choć przy jednej z kapliczek zatrzymać się i zastanowić nad przyczyną fundacji, pochodzeniem, charakterem jej formy. Jak czytamy w albumie, [...] *ten krajobraz należy zatrzymać i przekazać jako unikalne dziedzictwo pokoleniom, zanim będzie za późno.*

Album powstał dzięki środkom finansowym pozyskanym przez Muzeum w 2008 roku z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Edukacja kulturalna i upowszechnianie kultury, priorytet Ochrona dziedzictwa kultury ludowej.



Agnieszka Szykuła

Andrzej David Misiura

To wszystko

to co chciałbym wystawić
zamazuje korekta
wszystko już było

przezorni lustra kneblują
próg twardo
oczekuje pokłonu

przydeptane łuski
zastygły
z wyrazami twarzy

nie przebieram
a pęka nagie ziarno
różańca

Andrzej David Misiura

Opium władzy

Każdy dzień zawiera w sobie elementy rywalizacji. Nie zawsze ten stan rozpoznajemy i bywa, że określamy go całkiem innym pojęciem. Faktem pozostaje, że ciągle chcemy być lepsi i nie ma w tym nic złego, wręcz przeciwnie. Gorzej, gdy zazwyczaj raz otrzymaną zdolność lub przywilej pragniemy zachować na zawsze, szczególnie jeżeli odczuwamy, że niezasłużenie stała się naszym udziałem. Zaczynamy się zabezpieczać. Szukamy sojuszników, budujemy zasieki, stawiamy w gotowości wojsko, uruchamiamy tajne służby itd. Wszystko ze strachu przed utratą np. władzy. Dziwne? Ale tak to jest! Pozostaje tylko uciszyć tych, którzy mają inne zdanie, a więc krótko mówiąc - wrogów. Mały to sukces, jeżeli użyjemy do tej walki żelaznego argumentu propagandy, czyli gazet i środków masowego przekazu, ale gdy jeszcze powołamy jakiś urząd bezpieczeństwa - efekt będzie murowany.

Do takich też zabiegów posunięto się w PRL. Tysiące ludzi utraciło życie za walkę o niepodległość i marzenia o wolnej Ojczyźnie. Aparat prześladowczy, który miał za zadanie ścigać i eliminować ludzi z powodu chociażby innego zdania nazywał się Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego, na usługach rządu (o zgrozo!) podporządkowanemu obcemu państwu (ZSRR). Ramienia UB bali się nawet jego zwolennicy. Najbardziej tragicznym był fakt, że zarówno prześladowani jak i w większości prześladowcy często wyznawali te same poglądy. Co więc sprawiało, że publicznie dla bliźnich stawiali się katami? Pieniądze, zaszczyty, strach, perspektywa wygodnego życia, a może barbarzyńskie i sadyistyczne dewiacje, które dają namiastkę władzy - takie opium władzy? Dzisiaj byli funkcjonariusze prymitywnie tłumaczą się, że wykonywali jedynie zawodowe obowiązki. A wystarczyło tylko zmienić pracę, aby nie brać na siebie tak ciężkich grzechów.

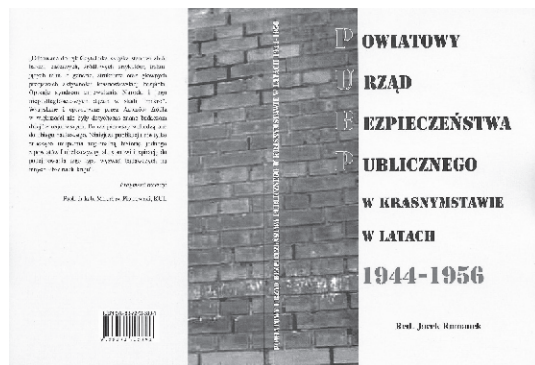
Bezwzględność tych służb powoli zaczyna wychodzić na światło dzienne. Ostatnio ukazała się publikacja poświęcona funkcjonowaniu krasnostawskiej bezpieki pt. *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956*. Co prawda, nie znajdziemy w niej komentarzy, ale bardzo dużo faktów. To pierwsze tego typu opracowanie oparte w całości na bogatej dokumentacji. Wnika w zawiłą historię losów wielu ludzi. Powstało głównie w oparciu o materiały dotychczas niewykorzystywane, przechowywane w archiwum lubelskiego IPN oraz archiwach państwowych (m.in. APL, AAN). Posłużono się w niej także wspomnieniami oraz publikacjami z zakresu historii najnowszej. Rozdziały książki

składają się z artykułów i materiałów źródłowych przedstawiających obraz m.in.: funkcjonowania PUBP, portret zbiorowy funkcjonariuszy, zabezpieczenie wyborów z 1947 r., likwidację podziemia niepodległościowego, relacje na linii UB-PSL, UB-PPS, oraz edycji źródeł w postaci dokumentów wytworzonych przez resort. W sposób pionierski i na tak dużą skalę przedstawia działalność krasnostawskiego PUBP - instytucji, która miała tak wielki wpływ na życie Polaków.

Ważny bez wątpienia fragment powojennej historii Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego opracowany został jako praca zbiorowa pod red. Jacka Romanka. Wsparcia autorskiego udzielili mu Grzegorz Joniec i Daniel Piekaruś - pracujący na co dzień w Lubelskim Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej oraz krasnostawscy historycy i regionaliści - Piotr Zieliński i Artur Borzęcki. Czytelnicy znają już nazwiska niektórych autorów z publikacji w *Nestorze*.

Opracowanie nie wyczerpuje jednego z tematów ze względu na zawłości i zależności tajnych współpracowników. Z tego samego powodu niektóre nazwiska nie znalazły się w skorowidzu, ale historycy ciągle pracują nad kolejną odsłoną. Tymczasem wspólnie z autorami zapraszam do interesującej lektury. Książka jest do nabycia w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie.

Andrzej D. Misiura



Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956, praca zbiorowa pod redakcją Jacka Romanka, Polihymnia, Lublin 2008, ss 293.

Artur Borzęcki

Okupacja Trawniki - przystanek śmierci

Pamiętnik Stanisława Pucha, wydany blisko 40 lat po śmierci autora, opowiada o hitlerowskim obozie w Trawnikach założonym na terenie byłej cukrowni. Obóz ten, czy jak uważają niektórzy, kilka obozów w jednym, spełniał różne złożone funkcje: był obozem szkoleniowym, pracy oraz przejściowym. W miejscu tym przebywali głównie Żydzi (z różnych państw Europy), ale też i jeńcy radzieccy oraz Polacy, przede wszystkim z powiatów: chełmskiego, krasnostawskiego, hrubieszowskiego i zamojskiego. Szacuje się, że w czasie funkcjonowania obozu (od lata 1941 do jesieni 1943) przez Trawniki przeszło ok. 23 tys. osób, z czego 17 tys. poniosło śmierć (nie tylko w samych Trawnikach, ale i Dorohuczcy oraz w pobliskich lasach „Dąbrowa” i „Borek”).

Książka (poprzedzona przedmowami: Renaty Maziarz - dyr. Gimnazjum w Trawnikach oraz siostry autora - Marii Puch-Świtaj) składa się z czterech części: wstępu (Okupacja), dwóch rozdziałów stanowiących trzon wspomnień (Zbrodnia, „Polscy bandyci”) oraz krótkiego uzupełnienia. Publikację dopełniają kolorowe fotografie z opisem Miejsc Pamięci Narodowej w gminie Trawniki. W rozdziale pt. Zbrodnia autor z pozycji naocznego świadka opisuje funkcjonowanie obozu pracy w Trawnikach, a szczególnie zorganizowaną tam sortownię mienia pożywowego. Działalność sortowni stała się dla autora tłem służącym do opisu eksterminacji więźniów. Z pracą sortowni wiązało się zjawisko przemytu i spekulacji, pojawił się handel, precjoza wymieniano na żywność. Intratnym zajęciem stał się tu także wywóz obozowych śmieci. Wartą podkreślenia zaletą tej części książki jest też to, iż autor nie tylko zdaje relację z tego, co widział, ale poddaje pod ocenę moralną postępowanie więźniów, strażników i miejscowej ludności. Dużo uwagi poświęca też strażnikom obozowym nazywanym potocznie „czarnymi” (od koloru umundurowania), dla których właśnie w Trawnikach zorganizowany był obóz szkoleniowy. Oddziały wartownicze składały się głównie z jeńców wojennych, a konkretnie - żołnierzy Armii Czerwonej, ale innej narodowości niż rosyjska (Ukraińców, Łotyszów, Litwinów i in.). „Czarni”, czasem okreśłani też jako „ludzie z Trawniki”, „służyli” też w innych obozach oraz brali udział w likwidacji getta warszawskiego.

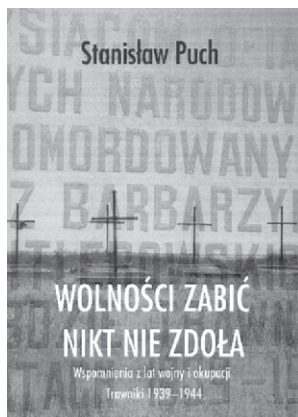
W części przewrotnie zatytułowanej „Polscy bandyci” autor jest już bezpośrednim uczestnikiem wydarzeń. W 1942 r. w wyniku masowych aresztowań, mających na celu oczyszczenie terenu

z oddziałów partyzanckich, Puch został zatrzymany, podobnie jak wielu mieszkańców bliższej i dalszej okolicy, i uwięziony w obozie przejściowym w Trawnikach. Do obozu trafił też m.in. nauczyciel z Krasnegostawu, którego personaliów autor nie podaje, prawdopodobnie nie znając ich. Ostatecznie Stanisław Puch, wraz z transportem innych więźniów, został przewieziony do obozu koncentracyjnego na Majdanku, skąd po czterech miesiącach w przedziwny sposób udało mu się wyjść i powrócić do domu.

Wspomnienia Stanisława Pucha, pomimo tego, iż nie są znaczną objętościowo publikacją, mają w sobie istotny ładunek poznawczy z zakresu tematyki obozowej. Szczególne znaczenie ma to właśnie w przypadku mało opisanego w literaturze obozu w Trawnikach, który Niemcy rozebrali w listopadzie 1943 r., a dokumentację zniszczyli.

Stanisław Puch urodził się w 1911 r. w Ewopolu. Szkołę powszechną ukończył w Piaskach w 1932 r. a następnie Seminarium Nauczycielskie w Lublinie. W 1936 r. został absolwentem Kursu Podchorążych Rezerwy Piechoty w stopniu podporucznika. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako stażysta, a później nauczyciel m.in. w Trawnikach. Po mobilizacji w sierpniu 1939 r. został dowódcą kompanii „Stanisław” w batalionie „Michał” 8. Pułku Piechoty Legionów w Lublinie. Brał udział w boju pod Puławami i w kilku innych potyczkach. W okolicach Krasnegostawu (Zastawie) został ranny w bark w czasie potyczki z Niemcami 18 września. W szpitalu w Krasnymstawie przebywał do 5 października 1939 r. Po kampanii wrześniowej powrócił do Ewopola. Po wojnie znów podjął pracę pedagogiczną. Zmarł 13 stycznia 1970 r. w Świdniku.

Artur Borzęcki



Stanisław Puch, *Wolności zabić nikt nie zdoła*. Wspomnienia z lat wojny i okupacji. Trawniki 1939-1944, „Norbertinum” Lublin 2008 ss. 51, [1], VIII.

Do Chaty zawiatał Powiatowy Konkurs Kultura 2009

Z zakończeniem roku komisja składająca się z przedstawicieli wszystkich gmin powiatu krasnostawskiego analizuje zgłoszone wnioski i nominuje po trzy osoby lub trzy zespoły do czterech kategorii konkursowych. Następnym etapem jest ocena komisji specjalistycznej. Tego roku składała się z przedstawicieli Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie i wyłoniła ostatecznych laureatów. Wyniki tradycyjnie ogłoszono w Dniu Pracownika i Działacza Kultury (21.05.09) tym razem w gminie Siennica Różana.

W kategorii Animator Kultury 2008 nominowano: Edwarda Kyca (muzyka i dyrygenta z gm. Krasnystaw), Czesławę Serokę (twórczynię i koronarkę z gm. Izbica) i Dariusza Zawadę (działacza i organizatora z gm. Łopiennik Górny). **Animatorem Kultury 2008 został Edward Kyc.**

W kategorii Talent Artystyczny 2008 nominowano: Gabrielę Gleń (plastyczkę z Krasnegostawu), Paulinę Kochaniec (poetkę z gm. Fajslawice, Grupa A4) i Monikę Bojarską (pisarkę z gm. Krasnystaw, Grupa A4). Nagrodą **Talent Artystyczny 2008** przypadała **Gabrieli Gleń.**

W kategorii Twórca Kultury 2008 nominowano: Krystynę Winiarczyk (poetkę z Siennicy Różanej), Edwarda F. Cimka (poetę z Izbicy) i Bronisławę Żuk (malarkę z Krasnegostawu). **Twórcą Kultury 2008 został Edward Franciszek Cimek.**

W kategorii Zespół Artystyczny 2008 nominowano: Amatorski Teatr Pokoleń z Siennicy Różanej, Kapelę Folkową Styrtą z gm. Krasnystaw i Zespół Artystyczny Łopieńczyacy z gm. Łopiennik. **Zespołem Artystycznym 2008 został Teatr Pokoleń.**

Wyróżnienia i nagrody okolicznościowe, oprócz starostów Andrzeja Kmicica i Janusza Szpaka, wręczali także dyrektorzy wojewódzkich placówek kultury oraz wójt Siennicy Różanej. Za pracę społeczną otrzymali je m.in. Regina Knap, Krystyna Winiarczyk, Jadwiga Szaron, Mariola Niewiadomska, Sylwia Kielbasa, Janusz Pawlicha, Bogusław Kargul, Henryk Mochniej, Kazimierz Brzysko. Wśród gości pojawiła się wicekurator oświaty Anna Dudek-Janiszewska oraz Andrzej Leńczuk kierownik oddziału kultury Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie.

Finałem uroczystego spotkania była inscenizacja II aktu *Chaty za wsią* w wykonaniu laureata, znanego już Czytelnikom *Nestora*, Amatorskiego Teatru Pokoleń powstałego przy Stowarzyszeniu Ziemi Siennickiej. Początkowo obawiano się, że przy dziennym oświetleniu, bez zaciemnienia, bez pełnej dekoracji i bez sceny, spektakl okaże się trudny do zagrania. Ryzyka przysparzała także zmiana obsady w rolach pierwszo- i drugoplanowych ze względu na wyjazdy

zagraniczne aktorów. Okazało się jednak, że nauka nie poszła w las. Reżyserzy postawili głównie na czystą grę aktorską. Wykonawcy, w kilka miesięcy po premierze zdołali okrzepnąć i z tym zadaniem poradzili sobie świetnie. Na szczególne uznanie zasługuje, społeczne zaangażowanie Henryka Mochnieja i Ireny Zarazowej, która w języku sceny i filmu, pełni jeszcze rolę kierownika produkcji. Wykonuje więc dużo niezauważanej i nieoklaskiwanej, ale koniecznej pracy.

(adm)



Foto adm

Andrzej David Misiura

Dni Złotego Karpia

Święto Powiatu i Miasta Krasnostaw czyli Dni Złotego Karpia, obchodzono po raz pierwszy, a trwały od 28 maja do 2 czerwca. Były bogatszą formą dotychczasowych Dni Krasnegostawu. Wzięły w nich udział placówki oświaty, kultury, sportu oraz stowarzyszenia. Nie zabrakło zawodów wędkarskich, strzeleckich, szachowych, pikników i wystaw. Odkonano szereg występów amatorskich zespołów artystycznych z wykorzystaniem parku, a właściwie rynku starego miasta.

W holu KDK zainstalowana została wystawa uderzających rozmiarami i profesjonalizmem płócien z malarstwem Roberta Gomułki, a w sali widowiskowej - wspólna uroczysta sesja Rady Powiatu i Rady Miasta (29.05.09). Na wstępie sekretarz Związku Powiatów Polskich Rudolf Borusiewicz wręczył staroście Januszowi Szpakowi statuetkę *Samorządowca Dziesięciolecia*. Gwoździem programu stała się jednak doroczna dekoracja honorowym wyróżnieniem *Złote Karpie*. Przypomnijmy, że wspomniane wyróżnienie (...) *nadawane jest od 1998 r. osobom za szczególne dokonania na płaszczyźnie zawodowej, społecznej lub artystycznej, które w sposób znaczący wpływają na rozwój Miasta.. Tegorocznymi laureatami zostali: ksiądz kanonik Roman Skowron - proboszcz Parafii Trójcy Przenajświętszej w Krasnymstawie, pomysłodawca „Wakacji z Bogiem” dla dzieci z najuboższych rodzin, prowadzi kuchnię dla ubogich, kieruje pracami związanymi z utrzymaniem w należytym stanie cmentarza parafialnego oraz inspirowanie pozytywne działania młodzieży. Drugim wyróżnionym jest Wiesław Brodowski - dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Krasnymstawie, radny Sejmiku Wojewódzkiego, prezes Stowarzyszenia Integracyjnego „Magnum Bonum”, przewodniczący Rady Lokalnej Grupy Działania „Krasnostaw Plus”, jest prawdziwym kreatorem i wizjonerem pomocy społecznej na terenie powiatu (cytat ze strony internetowej Urzędu Miasta).*

W oprawie widowiska wystąpił Chór Amikus działający przy *Magnum Bonum* i uzdolniony syn laureata - skrzypek Wojciech Brodowski.

Wspólne święto otwierały VI Eurobiegi zorganizowane przez starostwo (28.05.09). Po raz pierwszy wzięło w nich udział ponad 550 osób z czterech powiatów: krasnostawskiego, łęczyńskiego, włodawskiego i chełmskiego. Inicjator zawodów - wicestarosta krasnostawski Andrzej Kmicic tego roku także wziął w nich udział, zajmując w swojej kategorii 8 miejsce.

Co prawda osiemnasty koncert *Gloria Vitae*, oficjalnie nie mieścił się w programie obchodów, niemniej jednak dobrze, że wzbogacił kulturalną ofertę tych dni.

Gloria, gloria

Koncertem Gloria Vitae pragniemy uczcić wielką postać Kościoła i świata, św. Pawła Apostoła narodów... - tak pisze we wstępie programu ks. dziekan Henryk Kapica. Później nawiązuje jeszcze do 615. rocznicy urodzin miasta.

Mieszkańcy Krasnegostawu już po raz osiemnasty mieli okazję uczestniczyć w tej niezwykle imprezie, która za każdym razem wypełnia po brzegi miejsce koncertu, czyli kościół p.w. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. Pomysłodawcą wydarzenia był w 1992 roku ówczesny dyrektor Krasnostawskiego Domu Kultury Andrzej Leńczuk i organizuje je nieprzerwanie, obecnie jako prezes Stowarzyszenia Gloria Vitae. Współorganizatorem jest ciągle parafia, którą w owym czasie zarządzał powszechnie szanowany ks. kanonik Piotr Kimak.

W swojej historii Gloria Vitae gościła corocznie wybitne gwiazdy polskiej sceny. Ostatni koncert, który odbył się 31 maja, uświetniła znana z charakterystycznego delikatnego głosu Alicja Majewska i lubelska aktorka Halina Brulińska oraz kompozytor i muzyk Włodzimierz Korcz. W drugiej części występu W. Korcz dał solowy popis wygrywając na pianinie bardzo dynamiczną melodyjną kompozycję. Odniosłem wrażenie, że z artystycznym wyczuciem i powodzeniem wkomponował ją w odgłosy wybuchających petard i sztucznych ogni na pobliskim rynku, gdzie fetowano w tym czasie Dni Złotego Karpia. Warto dodać, że koncert zrealizowany został przy pomocy finansowej Województwa Lubelskiego i Starostwa Powiatowego, a honorowy patronat tradycyjnie sprawowany był przez Wojewodę Lubelskiego i Marszałka Województwa Lubelskiego.

(adm)

Biblioteka imienia Bojarczuka?

W kwietniu br. krasnostawscy urzędnicy wprawieni zostali w zakłopotanie. Sprawila to niespodziewana społeczna inicjatywa 20 osób. Wśród nich znaleźli się członkowie Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Złożyli oni petycję na ręce burmistrza Krasnegostawu następującej treści:

W związku z przypadającą w tym roku 140 rocznicą urodzin Stanisława Bojarczuka, krasnostawskie środowisko literackie proponuje upamiętnić tego uzdolnionego poetę związanego z naszym miastem.

Dotychczasowy wkład sił w upowszechnianie pamięci o nim - ze strony środowiska literackiego, władz miasta i Miejskiej Biblioteki Publicznej - powinien zyskać rozpoznawalny ślad.

Trwałym znakiem jego obecności w historii i kulturze Krasnegostawu byłoby nadanie Miejskiej Bibliotece Publicznej jego imienia. Byłby to znaczący wkład w tworzenie kultury Krasnegostawu, a także regionu.

W związku z powyższym, zwracamy się z prośbą do Pana Burmistrza, jako bezpośrednio nadzorującego Miejską Bibliotekę Publiczną, o inicjatywę uchwałodawczą w tej sprawie.

Poniżej widnieją podpisy w większości osób dobrze znanych z twórczości literackiej. Należy wspomnieć, że pismo przygotował Dariusz Włodarczyk, a adresu do korespondencji użyczył Mariusz Kargul. Otrzymali je do wiadomości przewodniczący rady miejskiej i przewodniczący komisji kultury, dyrektorzy biblioteki miejskiej i wojewódzkiej, oraz prezesi: Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Związku Literatów Polskich w Lublinie. Na najbliższej sesji poparł je także oficjalną interpelacją radny Andrzej Misiura. W chwili pisania niniejszej informacji władze miasta w przedmiocie petycji, dyplomatycznie pozostawiły decyzję dyrektor biblioteki Małgorzacie Antoniak.

Pamiętamy, że w ubiegłym roku Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie, uwzględniając głosy osób z tej samej grupy inicjatywnej, skutecznie zajęła się wydaniem obszernego tomu bezcennych sonetów Stanisława Bojarczuka. Spośród innych wniosków, jak do tej pory, nie udało się jedynie ufundować w miejskim rynku ławeczki naszego poety.

red.

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Zbigniew Strzałkowski: *Obszar wolności*, zbiór wierszy, Polihymnia, Lublin 2007, ss. 140;
- Zbigniew Strzałkowski: *Przestrzeń niepodległa*, zbiór wierszy, Polihymnia, Lublin 2008, ss. 282.

Kilka form prezentacji Grupy A4

O ile będę ubiegał się w przyszłości o jakiś stopień naukowy, co raczej mi nie grozi, napiszę dysertację na temat: „Grupa Literacka A4 jako akcelerator uczuć i wielki zderzacz komórek”. No bo, jak by nie było, z łona Grupy w stadło małżeńskie popadli swego czasu Agnieszka Królicka i Paweł Grądkowski oraz Monika Jasińska i Darek Włodarczyk. Ci pierwsi mają już trzyletniego Jasia, a tym drugim przyszedł na świat 19 maja br. Wojtuś. Z tej okazji Redakcja „Nestora” składa najserdeczniejsze gratulacje i życzenia szczęśliwym Rodzicom - niech Syn Wam rośnie na chwałę ziemi krasnostawskiej i pożytek Izbicy!

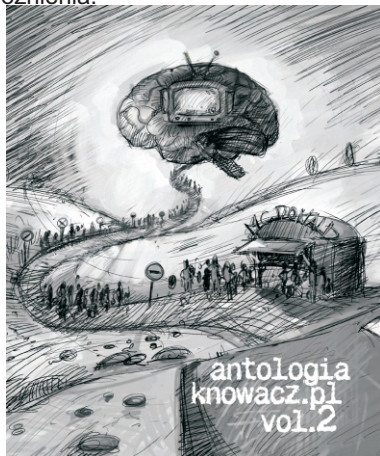
Mariusz Kargul

¶ Norbert Wojciechowski zazwyczaj stara się bywać na spotkaniach promujących książki, które ukazały się w jego prywatnym wydawnictwie Norbertinum. Toteż 30 kwietnia 2009 roku, nie omieszkął pojawić się w Krasnostawskim Domu Kultury, gdzie Jadwiga Demczuk podejmowała gości, dzieląc przed sobą *Spod stopy kamyk*. Drugi już indywidualny tomik poetycki, który wystarczająco długo wyczekał się na sfinansowanie, blokując tym samym na domowej półce ważne miejsce dla następnej książki. Spotkanie rychło przeniosło się w bardziej przyjazne miejsce, czyli do domu autorki, a tam mogli się wypowiedzieć nawet najbardziej małomówni.

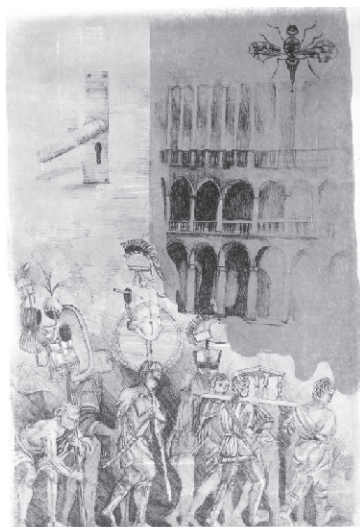
¶ 21 maja ogłoszono wyniki dorocznego Powiatowego Konkursu Kultura 2009. W kategorii talent roku nominowane zostały, aż dwie młode poetki z Grupy A4 Paulina Kochanec i Monika Bojarska, obok plastyczki Gabrieli Gleń (na zdjęciu poniżej), która „zmiotła” im tytuł sprzed nosa. W następnym roku życzymy poprawienia sukcesu.



¶ Krasnostawska Grupa Literacka A4 coraz żywiej zaznacza swoją obecność w świecie młodej literatury. Ostatnio w *Antologii knowacz.pl vol.2* na zaszczytnym miejscu znalazły się wiersze Marzeny Marioli Podkościelnej. Poetce, która aktualnie pełni funkcję sekretarza grupy, gratulujemy wyróżnienia.



¶ W dniu 10 czerwca grupa zaistniała w kolejnej formie, mianowicie redaktor Magda Lipiec poświęciła jej audycję w cyklu *Z daleka i z bliska Gość Radia Lublin*. Przedstawieni zostali najbardziej aktywni członkowie, czyli ci którzy zjawili się w studiu. Oprócz prezentacji wierszy przez kilka dni trwała wystawa dorobku wydawniczego grupy. W dwa dni później rozgłosnia powtórzyła fragmenty nagrania.



Agnieszka Szykula - In memoriam

Elżbieta Szadura-Urbańska

Hiperseksualni, agresywni, monogamiczni

Rozmowa z dr Zuzanną Stromenger - biologiem, filozofem, etologiem, popularyzatorką wiedzy seksuologicznej i dorobku czołowych światowych etologów: Ireneusza Eibl-Eibesfeldta, Konrada Lorenza, Wolfganga Wicklera. Należy do członków - założycieli kilku polskich i międzynarodowych stowarzyszeń naukowych, m.in. Polskiej Akademii Wiedzy Seksuologicznej. W ostatniej książce „W niewoli płci” wyjaśnia pierwotny, biologiczny sens wielu ludzkich zachowań.

Geny kombinują

Po co mamy płęć?

Przede wszystkim po to, by dwa osobniki połączyły swoje genotypy i w wyniku tego powstały nowe kombinacje genów, nowe kombinacje cech dziedzicznych. „Po to” traktujemy oczywiście w cudzysłowie, w przyrodzie nie ma przecież celowości.

Więc jak to się stało, że w drodze ewolucji została wyselekcjonowana płciowość?

I w dodatku jest ona tak powszechna! Uważa się, że jedyne istotami, u których nie ma żadnych zjawisk płciowych są pełzaki. Natomiast wszystkie inne, nawet jednokomórkowce, zawsze w jakimś momencie swojego cyklu życiowego, czasami wielopokoleniowego, wykazują zjawiska płciowości. Płęć narzuciła swój dyktat w selekcji. Jej biologiczną rolą jest przede wszystkim to, że dwa osobniki łączą swoje genotypy i w wyniku tego powstają nowe kombinacje genów, nowe kombinacje cech dziedzicznych. W przeciwieństwie do powszechnego wśród bezkręgowców zjawiska partenogenezy czyli dzieworództwa, gdzie zostaje powielony ten sam genotyp rodzicielski.

Czyli wbrew powszechnemu przekonaniu, rozmnażanie płciowe nie jest tak naprawdę żadnym rozmnażaniem, ale przede wszystkim udoskonalaniem?

Dla właściwego zrozumienia biologicznego sensu oraz funkcji płciowości i płci, niezwykle ważne jest stwierdzenie, że pierwotnie nie miały one nic wspólnego z procesami rozmnażania. Błędne poglądy w tym zakresie nieobce są nawet autorom podręczników biologii, gdzie np. pod rysunkami przedstawiającymi łączenie się pantofelków widnieją podpisy: „Rozmnażanie płciowe”. A czytelnik widzi jedynie, że osobniki wymieniają między sobą połowę materiału genetycznego i rozłączają się.

Z tym udoskonalaniem też sprawa nie jest taka jednoznaczna. Tylko jedna na około kilkadziesiąt tysięcy zmian może okazać się korzystna. Procesy płciowe prowadzą raczej do rozrzutu różnych kombinacji genetycznych cech dziedzicznych, do tego żeby zestaw cech nowego pokolenia był obfitszy.

Żeby było z czego „wybierać” w sytuacji kryzysu?

Tak. U szczurów i u wielu innych gatunków zwierząt, nasilenie zjawiska płciowości występuje, kiedy warunki życia stają się bardzo trudne. Mimo zagęszczenia, stresu, braku pokarmu one rozmnażają się w tempie zaskakującym, nierzadko zagryzając się nawzajem. Stwarza to jednak szansę, że wreszcie pojawią się osobniki, które zdolają przeskoczyć te ograniczenia. Przy ogromnym rozrzucie zwiększa się szansa, oczywiście szansa przypadkowa, że a nuż urodzą się takie osobniki, który przetrwają te skrajne warunki i wówczas one ratują grupę, populację, czy nawet gatunek przed wyginięciem.

U ludzi też to obserwujemy - przy dużym zagęszczeniu, stresie zjawiska płciowości nierzadko nasilają się, chociaż w sytuacji skrajnej biedy, wycieńczenia niekiedy może dojść do zupełnego wyciszenia popędu.

Seks dla seksu

Sferą typowo ludzką jest seks nieprokreacyjny. Jaka jest jego ewolucyjna funkcja?

Bardzo efektywnie wspomaga więź międzyosobniczą, więź partnerską między na przykład osobnikami męskimi i żeńskimi. Celowo mówię osobnikami, bo można zjawisko hiperseksualizmu zaobserwować również u niektórych prymatów np. szympansov karłowatych bonobo.

Wśród bonobo może i wspomaga więź, ale seksualizm człowieka chyba utrudnia budowanie trwałych więzi.

Hiperseksualizm to aktywność seksualna wykraczająca poza funkcje prokreacyjne, to „seks dla seksu”. To seks, w którym zostało oddzielone połączenie popędu od jajeczkowania. Dlatego kobiety po zakończeniu prokreacji zachowują popęd płciowy. To dowód na to, że seks ma wartość wiążącą pary. Nie tylko pary rodzicielskie, ale też np. dziadków. Seks ułatwia więc podtrzymywanie wspólnoty rodzinnej.

W toku ewolucji ten schemat nie tylko się utrwalił, ale i rozbudowuje. Z punktu widzenia etologa hiperseksualizm, byle nie przekraczał granicy patologii, jest cechą bardzo pożądaną.

Ty, tylko ty

Ale z punktu widzenia zdradzanego małżonka nie zawsze. Czy tendencja ku monogamii jest wynikiem naszego kompromisu z wymaganiami społecznymi, czy też ma jakiś biologiczny sens?

Oczywiście istnieją kultury dopuszczające wielożeństwo. Z obserwacji wiemy, że niektóre kobiety nie będące pod silnym wpływem tradycji też chętnie zmieniają swoich partnerów. Tak więc skłonność do wielości partnerów należy zawsze rozpatrywać kulturowo i indywidualnie.

Wiele wskazuje na to, o czym pisze Irenäus Eibl-Eibesfeldt, że ewolucja wskazuje tendencję ku małżeństwu monogamicznym. Wśród przodków naszego gatunku trend ten zaznacza się już od setek tysięcy lat. Tendencja ku monogamii w warunkach współczesnej cywilizacji jest bardzo rozchwiana: działanie naturalnej selekcji praktycznie nie istnieje, silne za to mogą być czynniki przekazywane drogą kulturową.

Co z dostępnych nam obserwacji przemawia za tym, że mielibyśmy być monogamiczni?

Zwróćmy uwagę, że nawet tam gdzie jest wielożeństwo czy wielomęstwo istnieje partner preferowany. Najkorzystniejsza dla następnego pokolenia, a więc dla utrzymania gatunku, jest sytuacja, w której wychowaniem zajmuje się jedna para rodzicielska. Negatywny oddźwięk rozpadu małżeństwa dotyka nawet dorosłe dzieci z tego stadła, nierzadko też wnuki. Zwróćmy uwagę, że zwierzęta też zazwyczaj chcą wychowywać tylko swoje potomstwo. Dlatego też samce niektórych gatunków, zajmując obce terytorium, mordują dzieci rywa. Natomiast młode gęsięta przepędzają nowego partnera matki. U ludzi też nieprzypadkowo mówimy o „złej macosze”, słyszymy o znęcających się ojczymach. Dzieciom zazwyczaj bardzo zależy na zgodności pary rodzicielskiej.

Będę się upierała, że jednak hiperseksualizm nie ułatwia bycia monogamistą.

Przeciwnie, jak to przekonująco uzasadnia Ireneusz Eibesfeldt, przedłużające się aktywność płciowa, wzajemne zainteresowanie seksualne pary rodzicielskiej znakomicie wzmacnia więź, utrwala ten związek daleko poza granice prokreacji. Taki jest biologiczno-społeczny sens wysokiej aktywności płciowej wyzwolonej spod imperatywu rui.

Oczywiste jest, że taki liryczny wzorzec w warunkach przeludnienia, cywilizacyjnych zmian ulega zakłóceniom. Ale monogamia jest obwarowana różnego rodzaju genetycznymi, społecznymi

barierami: zazdrością, poczuciem przynależności i wierności. Czyż np. zazdrość nie służy dobrze utrzymaniu związków monogamicznych? Żyjąca w związkach monogamicznych rybka zwana babką kalifornijską zapewnia sobie „wierność” tego drugiego tym, że przepędza precz każdego pojawiającego się przedstawiciela własnej płci. Dopiero „owdowiała” ma okazję poznać kogoś innego.

Zaznacz mnie

Cechą akcentującą wyłączność i przynależność jest u zwierząt znakowanie, nieobce i ludzkim zachowaniom.

Tak, towarzyszy nam ono w przeróżnych sytuacjach. Mało kto uświadamia sobie, że przejmowanie nazwiska męża jest właśnie takim znakowaniem się kobiety. Ciekawym zjawiskiem jest, że niekiedy kobieta bardzo pragnie być w ten sposób „ostemplowana”. Zależy to od pewnych czynników społecznych, np. przekonania o mniejszej wartości kobiet niezamężnych, ale również biologicznych: to silny samiec zmuszał samice do uległości, która pokazywała swoją podległość. Wojny o terytoria to aż nazbyt jaskrawy przykład atawistycznej potrzeby zaznaczania terytorium.

U zwierząt te zachowania są powszechne. U pewnego typu małpiek znakowanie polega na oddawaniu moczu na własną dłoń i rozmazywaniu tego wokół siebie. Samce piżmowców mają gruczoł piżmowy i podczas kopulacji wyciskają jego wydzielinę na odwłok samicy. Ten zapach mówi „ta samica należy do mnie”.

Dzieci w przedszkolu podobno pluja na kanapki, mówiąc w ten sposób „to moje”. Znakowanie u ludzi chyba w mniejszym stopniu dotyczy zachowań seksualnych.

Podam przykład, który może wydać się szokujący, ale łatwo znaleźć w nim biologiczne odniesienie. Amadeusz Mozart w swoich listach do kochanki i zarazem kuzynki wypisywał, zdawałoby się, niestworzone rzeczy. Opisywał swoje skłonności do saliromanii. Saliromania, (z francuskiego salir - brudzić) to znakowanie wybranej osoby, partnera seksualnego, własnymi wydzielinami i wydaliniami. Jest to kontynuacja znakowania przez zwierzęta swojego terytorium ich odchodami, oraz substancjami wydzielanymi przez specjalne gruczoły. To ważna funkcja komunikacji między osobnikami tego samego gatunku, ustalania stosunków hierarchii w grupie, zdobywania samic. U człowieka zjawisko to występuje o wiele częściej niż się przypuszcza. Dotyczy to bardzo intymnej sfery i atawizm przejawiany w tak drastycznej formie pozostaje tajemnicą alkowy i gabinetów seksuologicznych. Przyjemność z wąchania zapachu ciała, perfum ukochanej osoby, jest już upodobaniem bardziej powszechnym.

Sens homoseksualizmu

Mówiąc o nieprokreacyjnym seksie nie sposób pominąć homoseksualizmu. Czy są jakieś dowody, że to zjawisko pojawiało się na drodze ewolucji?

Obserwacja różnych form płciowości u zwierząt i roślin zdaje się wskazywać, że jest on wynikiem skłonności pierwotniejszych, ewolucyjnie bardziej archaicznych niż heteroseksualizm. Na prymitywnych szczeblach proces płciowy przebiega między osobnikami różniącymi się wprawdzie chemicznie, ale identycznymi w swej budowie, na przykład u pantofelka. Zróżnicowanie płciowe i reaktywność seksualna na te różnice przedstawicieli odmiennych płci, to nabytek ewolucyjnie późniejszy.

Jeden z antropologów, Edgar Morin, zwraca uwagę, że w archaicznych czasach kiedy mężczyźni tworzyli jedнопłciowe grupy wojenne lub łowieckie, kiedy to oddalali się od domostw dochodziło do tworzenia między nimi par homoseksualnych. To przyczyniało się do tworzenia spójności grupy. I w tym przypadku tendencje homoseksualne odgrywały pozytywną rolę dla całej populacji. Innym wyjaśnieniem może być pojawienie się homoseksualizmu jako jednego z hamulców naszej rozrodczości. Zjawisko homoseksualizmu spotyka się i u zwierząt współcześnie żyjących, niekoniecznie naszych przodków.

Ciekawe obserwacje par homoseksualnych wśród gęsi poczynił Konrad Lorenz.

Lorenz stwierdził to, co też można zauważyć u ludzi - więzi homoseksualne są nierzadko trwalsze i silniejsze niż wśród par różnopłciowych. Lorenz pisał o tym tak: „ponieważ agresywność wewnątrzgatunkowa występuje silniej u gąsiora niż u gęsi, silniejsza jest u niego również skłonność do krzyku tryumfального, i dwaj przyjaciele dopingują się zazwyczaj do śmiałych wyczynów. A że żadna różnopłciowa para nie jest w stanie stawić im czoła, pary gąsiorów uzyskują zawsze bardzo wysokie, jeśli nie najwyższe miejsce w hierarchii całego stada”.

Traktując zjawiska homoseksualizmu w kategoriach normy, odniosłam jednak wrażenie, że w książce „W niewoli płci” przestrzega pani przed mafijnymi obyczajami takich homofilnych grup.

Jeżeli ktoś chce jako partnera wybrać przedstawiciela tej samej płci to jego sprawa. Jednak czasami są to inwazyjne partnerstwa, zdarza się, że powiązane z pedofilią. Proszę zauważyć, że wśród par homoseksualnych pedofilię spotyka się częściej u mężczyzn niż u kobiet.

Może jakieś znaczenie ma tutaj wspomniany przez Konrada Lorenza wyższy wewnątrzgatunkowy poziom agresji?

Często powołuję się na przykład Lwa Tołstoja, w którego życie bezpardonowo wkroczył inny słabszy literat, za to bardzo ekspansywny i zaborczy homoseksualista. Z listów żony Tołstoja, Anny, dowiadujemy się, że było to tragiczne w skutkach nie tylko dla niej. Znam wiele podobnych sytuacji, jak chociażby ta, kiedy wokół nieżyjącego już wybitnego muzyka homoseksualisty, utworzyło się lobby wrogo nastawione wobec innych twórców. Często właśnie poziom agresywności i jednocześnie wysokie miejsce w hierarchii homoseksualnego dominanta stwarza takie ciśnienie, że trudno tę grupę rozbić, przeciwstawić się jej praktykom.

Siła przywódcy

Nasuwa mi się skojarzenie z tym o czym ostatnio donoszą media. Nie ograniczając się tylko do zjawiska pedofilii, łatwo zauważyć, że przeskok od seksu do agresji jest bardzo łatwy.

Ośrodki agresji i przyjemności są w mózgu położone blisko siebie. Na podstawie badań neurobiologicznych wiemy, że przy pobudzeniu jednego ośrodka dochodzi do rozszerzenia się pobudzenia na blisko położone struktury mózgowe. Z punktu widzenia obserwacji etologicznych zauważamy, że seks wzmacnia zachowania agresywne. Stąd też obyczaj kastrowania zwierząt, nie tylko żeby zmniejszyć rozrodczość, ale żeby złagodzić ich obyczaje.

Agresywne, wojownicze samce np. niektórych małp, wchodząc na teren zasiedlony przez inną grupę, zaczynają od przepędzenia samca przywódcy i kopulowania z samicami. Co więcej, taki nowy samiec jest w stanie zgładzić dzieci i te noworodki, które przyszły na świat za wcześniej, a więc zostały poczęte przed nastaniem jego rządów. Hunowie, i wiele innych plemion przed nimi i po nich, też tak robili: zabijali mężczyzn i chłopców, gwałcili kobiety i uprowadzali zdolne do rozrodu dziewczyny. Tak wygląda nieokiełznany normami społecznymi popęd.

Bycie najsprawniejszym seksualnie samcem łączy się więc z pozycją w hierarchii społecznej?

Nie zawsze. Dominantem, a więc jednostką najsilniejszą w stadzie, nie musi być najsprawniejszy seksualnie i niekoniecznie samiec. Obserwowałam na moim podwórzu zachowanie wykastrowanego kota, który przed kastracją był przywódcą. Okazało się, że nadal nim pozostał bo był największy, najsprawniejszy, zapewniał ochronę przed intruzami i niezwykle czule opiekował się grupą podporządkowanych mu kotów.

Mamy podobno ewolucyjnie zakorzenione zapotrzebowania na przywódcę?

Co więcej, jak wykazuje eksperyment z pewnego rodzaju rybkami, zwanymi strzeblami, ten przywódca może być nawet odmóżdżony. Jednego osobnika poddano operacji odcięcia półkul mózgowych. Kiedy wpuszczono go z powrotem do towarzyszy, ten pozbawiony płatów mózgowych samiec pływał sobie jednoznacznie, zdecydowanie w jednym, zupełnie przypadkowym, kierunku. Okazało się niebawem, że wszystkie rybki płynęły za nim. A więc ten, który nie odczuwa zagrożenia, jest bezrefleksyjny może pociągnąć za sobą stado. On się niczego nie boi, nie wie po co płynię, gdzie jest pokarm, a gdzie zagrożenie, ale jednak one płyną za nim.

On tak się zachowuje bo jest odmóżdżony, ale dlaczego inne płyną za nim?

Łatwość podporządkowania się jakiemuś dominantowi, którego w danej chwili uznaje się za „opiekuna społecznego” to wspólne dziedzictwo genetyczne, które motywuje zarówno zwierzęta jak i ludzi. Społegliwy, czyli taki na którym można polegać, wybierany jest raczej intuicyjnie niż rozumowo. Taki, który zachowuje się pewnie, zdecydowanie, uruchamia w nas przekonanie, że jest mądry, nadaje się na przywódcę.

Żeby wiedzieć, że on nie wie, potrzebny jest wysiłek intelektualny, a to już znacznie młodsza ewolucyjnie dyspozycja. Sfera emocjonalna jest starsza filogenetycznie, bardziej archaiczna i ściślej wszczepiona w nasze zachowanie, aniżeli sfera rozumowa. Więc, żeby się przeciwstawić czyjejś bezmyślności trzeba zaapelować do rozsądku pozostałych, ale „tym pozostałym” przecież łatwiej uruchomić emocje.

Przepisy na przeżycie

W sferze popędowej, o czym już mówiliśmy, niezwykle miejsce zajmuje agresja. Czy możemy się jej pozbyć?

Popęd agresji to nasza biologiczna spuścizna i nie ma szans, że się jej pozbedziemy. Nie uda się nam pozbawić jej, wychowując dzieci bezstresowo. Jedynie, co można zrobić, to go skanalizować, zrytualizować, przesterować w społeczeństwie akceptowanych formach, w rywalizację, która nie będzie zagrożeniem. Mitem jest jakoby były plemiona zupełnie pozbawione zachowań agresywnych, bo nawet pokojowo nastawieni Eskimosi urządzają konkursy śpiewacze, gdzie dają upust złościwościom. Jednak wnikliwi badacze odkryli, że i im w zaciszu domostw zdarza się bić własne żony. Plemiona Buszmenów na pustyni

Kalahari mają piękną tradycję radzenia sobie z agresją małych dzieci, i tym samym uczenia radzenia sobie z nią w życiu dorosłym. Rozzłoszczony malec ma bezwzględny zakaz uderzania drugiego, może jednak do woli bić pięściami w miękki worek z pakułami powieszony przy wejściu do chaty.

Agresję bardzo łatwo wzniecić, podjudzić do niej obojętny na początku tłum. Powinni zdawać sobie z tego sprawę politycy, wychowawcy i komentatorzy sportowi. Słowa „dokopie im”, „nasi zmietli ich w pył” nie pozostają bez echa. Nikłe hamulce agresywności, w jakie jesteśmy wyposażeni, pozostają daleko w tyle za wynalazczością ludzkiego umysłu doskonalącą narzędzia samozagłady.

A może, mimo wszystko seks łagodzi obyczaje? Tak przynajmniej sądził Freud.

Etolodzy powiedzą, że u ludzi nie jest to w stu procentach prawdą. Naturalnym antagonistą agresji jest raczej „popęd przyjaźni”. Wykazujemy mniejszą agresywność wobec tych, których znamy, lubimy. Zaprzyjaźnianie się stanowi więc skuteczniejsze zabezpieczenie przed agresją.

Natomiast u wspomnianych szympanсів karłowatych bonobo, jest to zjawisko jaskrawo widoczne i mocno zakorzenione. Jeżeli któryś z osobników popada w złość, poszukuje wyładowania seksualnego. Przy czym dzieje się to w najróżniejszych kombinacjach partnerskich: samice z samcami, samce i samice między sobą, z dziećmi, dzieci między sobą. Bonobo wykazują przy tym dużą inwencję i pomysłowość „tak jakby czytali Kamasutrę”.

Może więc powinniśmy brać przykład z szympanсів i żyć w zgodzie z naturą?

Nie byłoby to żadnym „zbawczym powrotem do natury”, ale zwykłym patogennym atawizmem. Warto znać biologiczne korzenie własnych zachowań i umieć dostrzec, że często to, co biologicznie zakorzenione jest dla nas mniej korzystne niż to, co społecznie narzucone.

Dziękuję za rozmowę.

Elżbieta Szadura-Urbańska



Championy Mariusza

rozmowa z najlepszym trenerem Pucharu Narodów
Mariuszem Liśkiewiczem z Krasnegostawu

Andrzej D. Misiura: Championat Świata może zdobyć tylko najlepszy koń. A jeżeli do tego przyczynił się jego trener pochodzący z niewielkiego Krasnegostawu, to wieść o takiej nagrodzie powinna wstrząsnąć całą rodzimą okolicą. Dlaczego tak mało wiemy o Twoich sukcesach?

Mariusz Liśkiewicz: Czy ja wiem... zaskoczyłeś mnie takim pytaniem. Widać ludzie zajęci są innymi sprawami. Sobą, a może lokalną polityką...? Hm. W każdym razie w okolicach Michałowa, gdzie obecnie mieszkam i pracuję, oraz w fachowej ogólnopolskiej i zagranicznej prasie takim tematom poświęca się sporo miejsca. Mówisz o moich sukcesach, a musisz wiedzieć, że to przede wszystkim zasługa tych najwspanialszych zwierząt, jakimi są konie.

ADM: Zawsze byłeś skromny, więc pozwól, że czytelnicy dowiedzą się jak ważna jest rola trenera, na przykład w czasie gdy prezentowałeś klacz Ejrene z Michałowa. Anna Stojanowska, międzynarodowa sędzia była urzeczona i zachwycona, że uzyskałeś tak niesamowite porozumienie z tym zwierzęciem i wyraziła się wówczas, że zrobiłeś to bez porównania skuteczniej, niż dwa miesiące wcześniej inny znakomity prezenter. Koń był ten sam, a wyniki różne, to o czymś świadczy. Na dodatek ten pokaz był przecież Twoim debiutem, i jakże udanym. Mariusz, ale umówmy się, że teraz ja się wyłączę, a Ty sam będziesz opowiadał wszystko od początku, czyli zacznij może od... genów.

ML: Dziadka nie pamiętam, ale w dzieciństwie odwiedzałem wujka, który przejął po nim zamiłowanie do koni. Mnie one też fascynowały, więc starałem się jak najczęściej bywać w rodzinnym Romanowie, oraz doglądać i dosiadać co spokojniejszych okazów. Mama, jak wiesz, ukończyła zootechnikę na AR w Lublinie i pracowała jako nauczycielka w technikum rolniczym, a w ramach programu nauczania prowadziła też zajęcia w Państwowym Stadzie Ogierów w odległej o kilka kilometrów Białce. Niebawem i ja zacząłem tam jeździć jako wolontariusz. Wówczas naukę jazdy odpracowywało się, czyszcząc ogiery. Nauczyłem się tego. Po zdobyciu uprawnień instruktorskich, jeszcze jako student geografii, prowadziłem ośrodek Biura Podróży i Turystyki „Almatur” w tejsze

Białce. Były więc wakacje w siodle za darmo. Dwa w jednym. W 1984 roku na Międzynarodowych Zawodach Hippyckich w Szwecji (Lund) dla studentów zdobyłem srebrny medal, przegrywając jednym jedynym punktem z francuską amazonką. A od 1988 r. byłem już certyfikowanym instruktorem jazdy konnej. Później staż w Stadzie Ogierów w Łącku i w CWKS Legia w Starej Miłosnej.



Klacz Galilea Championka Polski i Świata w 2005 r.

ADM: Kiedy zetknąłeś się z arabami?

ML: Hobbistycznie w Białce. Zawodowo - bodajże w styczniu 1992 roku, gdy rozpocząłem pracę w Janowie Podlaskim. Tam spotkałem życzliwych dla sportu jeździeckiego ludzi. Na przykład pana Marka Trełę - lekarza weterynarii i później dyrektora Stadniny Janów Podlaski. Lata te wspominam bardzo ciepło.

ADM: Na czym polegała Twoja praca?

ML: Moją pracą była jazda i trenowanie koni do rajdów długodystansowych. Zwykle do dyspozycji miałem ich około sześciu, w różnym wieku. Wyjeżdżałem na zawody do Hiszpanii i Wielkiej Brytanii... Zmiany nastąpiły kiedy po śmierci dyr. J. Wawiórki pojawił się w stadninie inż. Michał Maciejewski, hodowca i dyrektor Stadniny Koni w Walewicach. Twierdził, że konie czystej krwi arabskiej do sportu się nie nadają. Był zwolennikiem zaprzęgów, czyli powożenia, które miałem niebawem rozpocząć. Uznałem wówczas, że w Janowie nie ma już w takim razie dla mnie pracy. Natychmiast zaproponował mi ją w Michałowie mgr inż. Jerzy Białobok, w tym czasie zootechnik i propagator użytkowania arabów w sportach konnych. W styczniu 1994 roku znalazłem się więc w SK Michałów, której dyrektorem był wówczas Ignacy Jaworowski.

ADM: W Michałowie mieszkasz i pracujesz już od 15 lat, co on takiego wniósł do Twojego życia, że jesteś mu wierny? Spełniły się tutaj jakieś marzenia?

ML: Tutaj przede wszystkim poznałem Marzenę, absolwentkę Technikum Rolniczego w Chrobrzu. Pracowała w księgowości, a w wolnym czasie miała mi pomagać w treningach i... później została moją żoną. Mamy dwóch synów - Huberta i Michała. Jest fajnie, tym bardziej, że na dobre wciągnęły mnie właśnie treningi przygotowujące konie do pokazów, bo Michałów to nie tylko hoduwa i sport, ale pokazy i aukcje.



Klacz Zagrobla Championka Świata Paryż rok 2000.

ADM: A co powiesz o owocach swojej pasji i pracy, jaka była pierwsza licząca się nagroda?

ML: Pierwszym sukcesem pokazowym było zdobycie Championatu Polski w 1995 r. rocznym wówczas ogierkiem Ekstern. Pasma zagranicznych sukcesów rozpoczęło się w Paryżu 2000 r. Klacz Emmona (siwa córka Monogramma i Emildy po Pamir), została Championką Świata Klaczy Młodszych, jej półsiostra Zagrobla, (siwa, Monogramm - Zguba po Enrilo) - Championką Klaczy Starszych i wreszcie Kwestura, (kasztanka, Monogramm - Kwesta po Pesennik) Vice-championką Świata Klaczy Starszych, Ekstern zdobył Championat Świata Ogierów Starszych. W roku 2002 otrzymałem tytuł najlepszego trenera i prezentera podczas Pucharu Narodów w Aachen (Akwizgran).



Klacz Emendoria Championka Świata w Paryżu.

ADM: Mam właśnie przed sobą pokaźną listę zdobytych tytułów. Trudno je policzyć, a coś dopiero wymienić. Powierzchnowe artykuły napotykanie w zwykłych gazetach, zazwyczaj opowiadają tylko o koniach, opisując urodę, albo wychwalając ich właścicieli, a mało kto wspomina o ludziach, dzięki którym wydobyte zostają wyjątkowe walory tych zwierząt, takie jak wdzięk, ruch itp. Wtajemniczeni dobrze wiedzą, że to dzięki mądrości i intuicji prowadzącego koń zdobywa na przykład prestiżowy championat. Jak zostać liczącym się w świecie trenerem? Tobie się udało.

ML: Trening koni czystej krwi arabskiej do pokazów to taki sam trening jak zawodników sięgających po medale igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata. Koń ma zaprezentować fenomenalny ruch, chrapy rozdęte, ogon postawiony, ma płynąć w powietrzu, aby po kilku sekundach stanąć w odpowiedniej pozie bez ruchu. Trening i prezentacja koni w kraju, Europie i na świecie to moja praca. Na szkolenia i po wiedzę o treningu wyjeżdżałem do Stanów Zjednoczonych w okolicie Seattle (Waszyngton), do Santa Inez (Kalifornia) i Scottsdale - Phoenix (Arizona). Pokazywanie koni to jednocześnie ich promocja i sprzedaż. To życie stadniny. Warunkiem powodzenia w takiej pracy jest wzajemne porozumienie, ponieważ koń powinien zrobić wszystko, o co go poproszę. Musi być całkowicie posłuszny, a osiągnąć taki stan może przy bezgranicznym zaufaniu do prowadzącego.

ADM: Jakie są zasady oceniania w championatach?

ML: Konie przystępują do konkursów z podziałem na płeć i wiek, a w ocenie brane są pod uwagę: 1. typ konia arabskiego, 2. głowa i szyja, 3. kłoda, 4. nogi, 5. ruch. Ocenia troje lub pięcioro sędziów, mających do dyspozycji 5x20 punktów. Najlepszy okaz zdobywa około 93 punkty. Przed występem konie odbywają nawet zabiegi kosmetyczne. Tak więc każdego roku na wiosnę rozpoczynam z około 40 młodymi końmi szkolenie i układanie. Po miesiącu eliminuję 7-10, a po kolejnym następne i z pozostałymi dwudziestoma przyjeżdżam w maju na Ogólnopolskie Championaty Juniorów w Białce. Po zakończeniu tego pokazu dobieram kolejne 40 koni, aby przygotować je tym razem na Ogólnopolski Narodowy Championat w Janowie Podlaskim odbywający się w sierpniu. Michałów to największa na świecie stadnina koni czystej krwi arabskiej, w której hoduje się około 420 koni tej rasy.



Klacz Kwestura Championka Polski i Świata - sprzedana w 2008 r. za 1 125 000 euro.

ADM: Dobry koń kosztuje...

ML: Najdroższym koniem arabskim w powojennej historii Polski była Kwestura, którą sprzedaliśmy w 2008 roku za 1 125 000 euro.

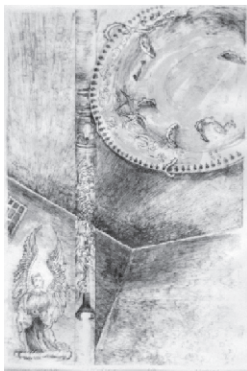
ADM: Stykasz się z mnóstwem koni, a czy masz jakiegogo ulubionego?

ML: Moim ulubionym koniem sportowym był Faktor, karogniady syn Fanatyka i Fugi, urodzony w stadninie w Michałowie. Zdobyliśmy brązowy medal Mistrzostw Polski w Długodystansowych Rajdach Konnych - Miłki 1993 r. Natomiast ulubionym koniem pokazowym jest El Dorado aktualnie przebywająca w stadninie.

ADM: Dzisiaj zakończyły się doroczne Ogólnopolskie Championaty Juniorów w Białce. Czy ciągle trzymasz formę?

ML: Chyba tak, zdobyłem Championat rocznym ogierkiem Chimeryk (imię adekwatne do charakteru) i Vicechampionat roczną klaczką Parmana.

ADM: Gratuluję i dziękuję za rozmowę. Życzę też, aby krasnostawianie mieli okazję usłyszeć o Twoich kolejnych sukcesach jeszcze tego roku.



Agnieszka Szykuła - Bez tytułu

Stanisław Bojarczuk

Autonekrolog

I

Chłop z pra-pra chłopą, analfabetablis,
zbędny pisowni uczonej prawideł,
prostak od pługą, cepa, kosy, wideł,
stworzyć śmiał kilkaset sonecianych tablic.

Śmiał wejść, acz nie w centr, to przynajmniej na w bliż
kształconych fachowstw twórczości mamideł.
Wkłął ceremonie wesel, żniw, plewideł,
w wzór bata skrybi od prac, łuków, szabli...

Świadom poczucia, że się jest śmiertelnym,
powziął, bądź, co bądź, stać się nieśmiertelnym,
więc ideałem sztukotwórczym płonął.

Iskra twórcza podnieła do zgonu w nim tkwiła.
Wielbił twórczością przyrody pierś, łono,
więc go przyroda do się przytuliła.

II

W podkrasnostawskiej wsi zwanej Przedmieściem,
roku Pańskiego... o wczesnej wiosence,
przybywał na świat, jak to sielski sens chce,
w przewianej chatce krytej słomy śmieciem.

Kmieć z pra - pra kmiecia i pozostał kmieciem.
Chodził w konopnej lub lnianej pasemce.
Dotrzymał wiary cepom i koseńce.
Kochał się w słońcu i w pięknie niewieściem.

A gdy wybiła godzina nakładu,
z bibliotekarzem wydawcy układu...
Droższe to było wydajnie, czy tanie?

Nim, i na jaki sąd, i kiedy stanie.
Tymczasem logik ten, zwolennik ładu,
prosi o zdrowych jego rad czytanie.

Krasnystaw - Rońsko, 20 III 1869 - 1940

Weekend w Bishop Hill

Weekend zapowiada się pogodnie. Grażyny nie muszą przekonywać do wyjazdu. Żona uwielbia takie eskapady. To wchodzi w krew. Jeszcze w Polsce, od czasów narzeczeństwa, całe godziny spędzaliśmy przecież za kierownicą motocykla, bo jedynym samochodem, jaki mieliśmy był Fiat Topolino 500 z 1938 roku, którego nie zdążyłem wyremontować, a szkoda ponieważ była to piękna maszyna.



Dzisiaj ruszamy autem przygotowanym już na wszelkie ewentualności. To taki mój mały patent, o którym opowiem może przy innej okazji. Trasa prowadzi przez rodzinny stan Illinois, jeżeli mogą tak powiedzieć, ponieważ w dalszym ciągu nie przestałem być chłopakiem z Krasnegostawu. Po drodze zatrzymujemy się w Bishop Hill, chociaż naszym celem jest zupełnie inne miasteczko. Uwagę ściąga spora grupka zainteresowanych tym miejscem turystów. W miasteczku panuje atmosfera spokoju i ciszy, tak niedostępnej w dużej chicagowskiej aglomeracji. Małe bar serwuje



posiłki i ciasta z owocami domowego wypieku. Stało się tradycją, chyba w całych Stanach, że w takich miejscach spotykają się codziennie lokalni emeryci, aby przy kubku kawy pogawędzić z kumplami, z którymi przeszli przez całe życie. Na pewno w tych rozmowach nie ma miejsca na temat zdrowia i doświadczanych dolegliwości. Ten temat każdy pozostawia samemu sobie, przez co bez wątpienia czuje się do końca swych dni znacznie młodziej.



Tutaj także spotykamy starszych miejscowych bywalców oraz praprawnuczkę założycieli miasteczka, którą z łatwością udaje nam się zachęcić do interesującej rozmowy i opowieści. Ku naszemu zdziwieniu okazuje się, że jest tutaj około 6 % mieszkańców przyznających się do polskich korzeni, czyli co 16 osoba(!). Pytamy, czy oni też przybyli 150 lat temu razem z osadnikami? Raczej nie - otrzymujemy odpowiedź i wysłuchujemy egzotycznej i tragicznej opowieści o Bishop Hill. Pani Davidson wcieliła się w rolę przewodnika, opowiada o wszystkim i w żadnym wypadku nie wydaje się obciążona przeszłością pradiadów. Widać, że chce przekazać nam jak najwięcej i w dodatku jest miła, tak jak wszyscy w tym miasteczku. W ogóle ludzie na tzw. *country* są mili i rozmowni. Po powrocie do domu uzupełniamy swoją wiedzę z innych źródeł. Historia nabiera kolorów.

Otóż wszystko zaczęło się w Szwecji, w miejscowości Biskopskulla, gdzie w 1808 roku urodził się Erik Jansson. Już jako młodzienc przejawiał wybitne zdolności przywódcze i charakteryzował się dużą siłą przekonywania. Mając swoje wizje, zapragnął prowadzić wiernych kościoła szwedzkiego inną drogą. Stał się zwolennikiem i inicjatorem ruchu religijnego pietystów, którego celem było sprzeciwianie się sformalizowanym zasadom religii. Początkowo udało mu się przekonać sporą grupę ludzi i to go zdecydowanie ośmieliło. Z czasem poglądy Janssona stawały się coraz bardziej radykalne. Wytykał niepoprawności

miejscowego Kościoła Luterńskiego i tym samym popadł z nim w głęboki konflikt. Ataki i agresja (jak to bywa i w naszych miasteczkach) okazały się zgubnym narzędziem propagowania własnych idei. Jansson zaczął tracić poparcie, ubywało mu wiernych i sympatyków, a ruch pietystów zaczęło zdecydowanie prześladować.

Jako że nasz guru wysłał wcześniej jednego ze swoich ludzi na rozpoznanie sytuacji w Stanach Zjednoczonych, plan miał sprecyzowany i cel upatrzony wcześniej. W międzyczasie, od 1843 roku zajmując się handlem mąką, docierał do dużej liczby chętnych rozpoczczenia życia w nowym świecie, nazywanym też powszechnie *łędem religijnej wolności*. Szybko zwerbował około 1200 (inne źródła - do 1500) osób zdecydowanych na wyjazd do Ameryki pod jego przywództwem. Erik Jansson poczuł się drugim Chrystusem, zdolnym pociągnąć za sobą cały świat, a cel swojej wyprawy nazwał Nową Jerozolimą.

Pierwsza grupa dotarła do stanu Illinois po trzymiesięcznej podróży. Najpierw żaglowcem przez ocean do Nowego Yorku, potem stateczkiem po Kanale Erie i przez Wielkie Jeziora do Chicago, skąd pieszo, bądź niektórzy konno, do miejsca oddalonego od Chicago około 240 kilometrów. Dystans ten pokonali dość szybko, bo w ciągu dwunastu dni, docierając do celu wyznaczonego na bezludnej wówczas jeszcze prerii. Był rok 1846. Wtedy nabyli 1 200 akrów ziemi, która nigdy dotąd nie widziała pługa (1 hektar = 2,5 akra). W zboczach parowu, który dzisiaj znajdowałby się pośrodku obecnej osady, rozpoczęli kłecić ziemianki - osobne dla kobiet z dziećmi, osobne dla mężczyzn.

Wymarzony łąd religijnej wolności zrazu nie przyniósł im szczęścia, albowiem najbliższej zimy z pionierskiej grupy czterystu emigrantów, epidemia cholery, uśmierciła aż 96 osób. Pięćdziesiąt z nich pochowano w zbiorowym grobie Red Oak Grove. Część z podążających do Illinois, zmieniła zamiary i pozostała na Wschodnim Wybrzeżu.

O odwrócenie nie mogło być już mowy. Pierwszą decyzją było zatrudnienie amerykańskiej nauczycielki języka angielskiego. Rozpoczęli produkcję cegieł i zajęli się uprawą ziemi. Wszystko na zasadach stuprocentowej komuny - wspólna praca i równy podział środków do życia, wspólna kuchnia i posiłki. Powstała też pierwsza świątynia, w której dwa dolne piętra stanowiły mieszkania, a sala kościelna urządzona została na samej górze. Wzniesiony został też pierwszy murowany budynek z wypalanej już przez siebie własnej cegły, i niebawem liczebność miasteczka wzrosła do 900 osób.



Drugi wstrząs przeżyli bardzo szybko, bo już w roku 1850. Niespodziewanie Erik Jansson został zamordowany przez byłego członka grupy, powodem okazała się kobieta. Nikt nie zajął jednak miejsca lidera, ponieważ zdesperowana komuna postanowiła wybrać do przewodzenia kolonią siedmioosobową radę. Z czasem wyodrębniło się z niej dwóch głównym przywódców Jonas Olson i Olof Johnson. Praca w kolonii została bardziej zorganizowana i stała się wydajniejsza. Pracowali wszyscy, łącznie z dziećmi. W Bishop Hill rozpoczęła się produkcja płótna, mebli, furmanek, a przede wszystkim mioteł ze specjalnej odmiany kukurydzy. Wzniesionych zostało 20 dużych murowanych budynków, w tym dwa duże hotele dla licznych hurtowników kupujących ich wyroby. Ciekawostką jest, że nałożono też limit na przyrost naturalny - jedna rodzina mogła mieć nie więcej niż siedmioro dzieci, chociaż jak wspominałem, one też pracowały, wykonując lepsze prace.



Trzecią klęską, jaka dopadła zbuntowanych szwedzkich kolonistów, był pożar magazynu, w którym złożone były gotowe miotły o niebagatelnej, jak na tamte czasy, wartości 50 000 dolarów. Brak dobrej passy prześladował ich już nieustannie, ponieważ mimo sukcesów popadli w kolejne problemy finansowe z powodu niegospodarności Olofa Johnsona, który na własną rękę podjął kilka inwestycji bez uzgodnienia, i skutki tego okazały się katastrofalne. Doprowadził mianowicie Bishop Hill do ruiny finansowej. Po tym fakcie mieszkańcy dokonali w 1861 roku formalnego rozwiązania kolonii. Później powołana została spora liczba mężczyzn do wojsk Unii w wojnie Północ-Południe. Inni udali się do Kalifornii jako poszukiwacze złota i tak zakończyła się piętnastoletnia egzystencja utopijnej osady, która przyjęła nazwę zbliżoną do nazwy miejscowości z której pochodził Erik Jansson, a może też skupiała w sobie nazwę funkcji jej kościelnego zwierzchnika - biskupa?



Dzisiaj Bishop Hill to wioska-muzeum zamieszkała przez 125 osób (spis z 2000 r). Nadal mieszkają w niej potomkowie pionierów. Prawdopodobnie żyją z turystów, sprzedając ostatni majątek pradziadów, czyli niefortunną historię.



Szybko mija kilka godzin w wyludnionej miejscowości. Na powrót zajmujemy miejsca w naszym aucie i - jakby mogło się wydawać - wcale nie milczymy. Zastanawiamy się jak można i co można zrobić z ludzi. Z jaką łatwością jakiś drobny wąsaty świr ulepił w swoich palcach szwedzki, wydawałoby się mądry, naród. Daleko przed nami mający znacznie ciekawsze i nieco większe miasto. Dzisiaj nie będę zdradzał szczegółów, ale postaram się o nim napisać w następnym wydaniu Nestora.

wojtek
grafie autor

Przyp. redakcji: Wojtek opuścił Polskę przed 25 laty. Dom odnalazł w stanie Illinois. Pisownia imienia jest zgodna z wolą Autora.

Ernest Bryll

xxx

Sami zdeptaliśmy tłumnie
Delikatny ślad na pierwszym śniegu
Jak inaczej? Każdy już w biegu
I nikogo nikt nie zrozumie
Wcześniej. Prawie wśród nocnej ciszy
Zanim ziemia z niebem się uleży
Niszczymy te znaki świeże
Pewne - chociaż niewidoczne prawie
Właśnie wtedy gdy w zbieleń trawie
Na ukos, po szronie kruchym
Przemykają wracające duchy
A skąd? Nie wiadomo lecz warto
Wierzyć: Do nas wracają. W otwarte
Usta, półoddech o świcie
Jak powraca dobre serca bicie
Tylko ślad - jak zwykle - zatarty
Zdeptany. Nigdzie nie prowadzi
Może jutro będzie bardziej świeży
Wreszcie ziemia z niebem się uleży
I uładzi...

Artur J. Katolo

Arborësch - zapomniana mniejszość etniczna w Kalabrii (Włochy Południowe)

Od lat pracując na Wydziale Teologicznym w Rende (prow. Cosenza), spotykam się z różnymi ciekawostkami ziemi kalabryjskiej - ziemi słodkiej i zarazem kwaśnej.

Arborësch? Po raz pierwszy tę nazwę usłyszałem od kleryków Seminarium Eparchii w Lungro (Ungër - jęz. arborësch), którzy studiują na Wydziale Teologicznym w Rende. Jeden z naszych wykładowców, ks. prof. Raffaele Papas mawia: „Jesteśmy katolikami obrządku grecko-albańskiego”.



Autor artykułu
w Acquafarmosa

21 maja 2009. W godzinach popołudniowych wyruszam wraz ze studentami zamówionym autokarem do miejsc, gdzie osiedlili się Albańczycy jeszcze w XV wieku. Osiedlili się w Kalabrii, gdyż inwazja turecka zmusiła ich do opuszczenia własnej ojczyzny. W ten sposób ocalili pierwotną wiarę, język i kulturę Albanii. Dzisiejsza Albania, islamska a częściej ateistyczna, nie ma nic wspólnego z Arborësch.

Od 1444 r. Mahomet II, po zdobyciu Konstantynopola oraz wielu miast w Grecji, skierował swoje wojska przeciwko Albanii. Albańczycy pod wodzą *capitano d'Albania*, Giorgio Castriota, zwanego „Scandenberga”, wielokrotnie odpierali ataki tureckie. Dopiero po nagłej śmierci Scandenberga w 1467 r. Albania została częściowo zajęta. W 1487 r., na skutek pokoju zawartego między Wenecją a Mahometem II, terytorium albańskie zostało wcielone do Imperium Otomańskiego.

Niezlomna postawa Giorgio Castrioty Scandenberga zyskała uznanie w oczach ówczesnego świata chrześcijańskiego. Papież Kalikst III oraz Pius II, nadali mu tytuł *Athleta Christi*.

Syn Giorgio Castrioty, Giovanni Skandenberga, zebrawszy resztki wojsk oraz tych, którzy zdecydowali się opuścić Albanię, udał się do Włoch, lądując na Sycylii. Stamtąd zwrócił się do Ferdynanda I z prośbą o pozwolenie na osiedlenie się. Król Neapolu, w obawie przed zagrażającą inwazją turecką, zabronił osiedlania się Albańczykom na terenie królestwa. W tej sytuacji uciekinierzy podjęli decyzję dotarcia do samego Neapolu. Należy podkreślić, iż powodem emigracji oraz chęci osiedlenia się na Półwyspie Apenińskim, było pragnienie zachowania narodowej kultury, zwyczajów oraz religii. Byli to, w pełnym tego słowa znaczeniu, uchodźcy polityczni.

Grupy uchodźców pod wodzą Giovanniego Skandenberga zostały przyjęte przez ludność Neapolu jako bohaterowie i obrońcy wiary. Dodatkowo Irena Skandenberga, kuzynka Giovanniego, wyszła za mąż za księcia Bisignano, Pietroantonio Sanseverino. Powstawaniu kolonii albańskich przyczyni byli również dominikanie z Altomonte, którzy w ten sposób chcieli zasiedlić wyludnione po trzęsieniu ziemi w 1456 r. majątki zakonne. W 1478 r. grupa Albańczyków otrzymała na własność ziemie w okolicach Plataci, blisko miasta Cerchiara - tak zwana Kalabria Jońska.

W Kalabria Citra pierwsze grupy uchodźców albańskich zaczęły osiedlać się w latach 1467-1471. Początkowo były to okolice miasta Aciri, a następnie - S. Giorgio, Vaccarizzo, S. Cosmo, Macchia i S. Demetrio. Albańczycy musieli jednak spełnić jeden warunek: uprawiać ziemię oraz ogrody, aby zapewnić sobie warunki utrzymania.

Albańskie kolonie wojskowe obecne były na terytorium Kalabrii już od 1444 r. Kiedy wybuchła rewolta w Kalabrii, pod wodzą Antonio Centelles w Marchesato di Crotone, tymi, którzy przyczynili się do jej stłumienia byli żołnierze albańscy. W dokumencie wydanym w Gaeta 1 września 1448 r. można znaleźć następującą wzmiankę: „Demetrio Reres, dzielny kapitan Epiriotów [Albańczyków - przyp. AJK], dowódca trzech kolonii albańskich, wielce się przysłużył, z ogromnym poświęceniem militarnym, do zdobycia całej prowincji Kalabrii Niższej (Calabria Inferiore), wraz ze swymi synami Basilio i Giorgio”.

Pierwsze kolonie albańskie pojawiły się w 1444 r. w miejscowościach: Amato, Andali, Arietta, Vena i Zangarona. Następnie zaś w Caraffa, Carfizzi, Pallagorio, S. Nicola dell'Alto i Gizzeria. Były to okolice właściwie wyludnione, o czym zaświadcza *Liber focorum* z 1443 r.

Stosunki między Kalabryjczykami a Albańczykami układały się pokojowo. Albańczycy z Plataci, tak zwani „Toschi” (z południa), udawali się na do Cerchiara, aby sprzedawać żywność, załatwiać sprawy u notariusza oraz w prefekturze. Podobna sytuacja jak w Kalabrii Jońskiej, miała miejsce w Kalabria Citra, gdzie osiedlili się tak zwani „Geghi” (z północy).

Z czasem jednak to pokojowe współżycie skończyło się. Jak pisze ówczesny kalabryjski kronikarz, G. M. L'Occaso: „Albańczycy, którzy przybywają w nasze okolice, nie przynoszą ze sobą żadnej sztuki. Półbarbarzyńcy, słabi rolnicy, mówiący innym językiem, uparci w swoich rytach i zwyczajach, nie potrafili zbratać się z innymi mieszkańcami. I ciągle miały miejsce bójki [...], kradzieże i obrazy”. W końcu nienawiść między Albańczykami a Kalabryjczykami doszła do takiego punktu, iż zrodziło się powiedzenie: „jeśli spotkasz wilka i Albańczyka, to puść wolno wilka, a zabij Albańczyka”.

Opinia G. M. L'Occaso jest, zdaniem V. Barone, bardzo przesadzona i nie do końca prawdziwa. Albańczycy z Plataci i Civita nigdy nie wchodzili w konflikty z Kalabryjczykami z Cerchiara. „Toschi” cieszyli się opinią sumiennych pracowników: byli bardzo dobrymi rolnikami i pasterzami. Okazali się bardzo zdolni w uprawie pszenicy, produkcji oliwy i wina. Tym bardziej, iż zagospodarowali ziemię, których nikt nie chciał uprawiać z powodu stepowienia lub też zbytnej lesistości. Nierzadkie były również i małżeństwa między Albańczykami i Kalabryjczykami. Ponadto do tego pokojowego współistnienia dwóch narodów przyczyniło się małżeństwo Ireny Skandenberg z księciem Bisignano, Pietroantonio Sanseverino. Małżeństwo to potrafiło utrzymać w pokoju te dwie grupy etniczne, które tak bardzo różniły się zarówno pod względem ekonomicznym jak i politycznym. W Kalabrii Jońskiej Albańczycy cieszyli się ogromnym szacunkiem wśród miejscowej ludności.

W Kalabrii Citra sytuacja była jednak odmienna. Albańczycy, niezadowoleni z terenów, jakie otrzymali, dokonali zbrojnego zajęcia miasta San Sofia. Coraz częściej dochodziło do rozbojów i kradzieży. Jak pisze R. Capalbo: „ta imigracja spowodowała wiele niepokojów wśród miejscowej ludności, gdyż wraz z dzielnymi przywódcami, przybył agresywny plebs, który nie szanował nikogo. Skargi na kradzieże, porwania, zniszczenia i rozboje nie kończyły się, co spowodowało wprowadzenie bardzo surowych kar”.

W 1564 r. wicekról Neapolu, Don Perafane, zmuszony został wydać dekret przeciwko rozbójnikom albańskim. W rzeczywistości jednak, dekret ten dotknął pokojowo nastawioną ludność albańską: „największe szkody w tych regionach, jak i w całym królestwie, spowodowane są przez Albańczyków, którzy kradną co się da i popełniają wiele innych przestępstw. Chcąc ukrócić te prakty-

ki, zarządza się, iż żadnemu Albańczykowi nie wolno podróżować koniem, który wyposażony jest w siodło, uzdę, ostrogi, strzemiona. Albańczykom nie wolno posiadać, ani używać żadnej broni, pod karą pięciu lat więzienia”.

W 1596 r. niektórzy Albańczycy otrzymali przywilej posiadania konia wierzchowego. Dotyczył on mieszkańców miejscowości Demetrio i Lazzaro Bellusci, należących do dóbr miasta Civita: „[niektórzy Albańczycy] będąc ludźmi uczciwymi, cichymi i bogatymi, jak ma to w przypadku wielkiego kapitana oraz burmistrza rzeczonej miejscowości, mogą podróżować osiodłanym koniem z uzdą, ostrogami i strzemionami”.

Nie w całej Kalabria Citra miały miejsce problemy z Albańczykami. W okolicach miasta Aciri kolonie albańskie żyły w doskonałej zgodzie z miejscową ludnością. Pozostając w zależnościach feudalnych, posiadali własną, odrębną administrację.

Wśród wielu odmienności, które odróżniają Albańczyków od rodzimej ludności Kalabrii, należy wymienić: zwyczaje, mentalność, język, folklor, liturgię. Uciekinierzy albańscy byli grekokatolikami, uznającymi władzę Ojca Świętego oraz nauczanie Magisterium Kościoła Rzymskiego. Liturgia pozostawała greckowschodnia, co skutkowało tym, iż nabożeństwa odprawiane były w języku greckim. Bogata symbolika oraz cały ceremoniał były czymś nieznanym dla łacińskiego Kościoła lokalnego w Kalabrii. Dodatkowym curiosum była możliwość zawierania małżeństw przez duchownych, o ile uczynili to przed przyjęciem święceń kapłańskich.

Włoscy biskupi łacińscy nie zawsze umieli uszanować te odrębności. Niejednokrotnie wydawali dyspozycje, mające na celu całkowitą integrację wiernych i duchownych obrządku grecko-albańskiego z miejscowymi strukturami łacińskimi. Kres tym praktykom położył papież Leon X w 1521 r., zobowiązując biskupów włoskich do poszanowania rytu oraz prawodawstwa grecko-albańskiego. Dodatkowe dyspozycje Ojca Świętego zezwoliły żonatym duchownym albańskim na podejmowanie dodatkowych acz uczciwych prac w celu utrzymania rodzin. Ponadto zostali zwolnieni ze wszelkich obciążeń podatkowych.

W 1676 r. myśłano o ustanowieniu biskupstwa obrządku grecko-albańskiego dla Kalabrii. Stało się to jednak dopiero 13 lutego 1919 r., kiedy to papież Benedykt XV konstytucją apostolską *Catholici fidelis graeci ritus*, ustanowił diecezję w Lungro dla wiernych tegoż obrządku. Diecezja objęła terytorialnie dwanaście miejscowości zamieszkanych przez Albańczyków, biskup zaś cieszył się pełną jurysdykcją ordynariusza miejsca.

Jedną z największych zasług obrządku grecko-albańskiego było zjednoczenie etnicznej mniejszości albańskiej w Kalabrii. Dzięki temu nie utraciła ona swojego języka, tradycji, zwyczajów i kultury. Szczególnie wymownym jest taniec „Vallje”, podczas którego śpiewane są ballady epiki albańskiej.



Kościół parafialny w Acquafarmosa

W Plataci kościół dla wiernych wzmiankowanego obrządku dedykowany jest św. Janowi Chrzcicielowi. Największym jednak świętem obchodzonym w tej świątyni do dziś jest święto patronalne Najświętszej Maryi Panny z Konstantynopola. Uroczystości odbywają się w pierwszy wtorek po Zesłaniu Ducha Świętego.

Język albański używany jest na co dzień w 55 z 94 gmin italo-albańskich. Godnym podkreślenia jest fakt, iż od 500 lat język ten, który nie jest nauczany w szkołach, przeżył w Kalabrii dzięki tradycji ludowej i Kościołowi obrządku grecko-albańskiego. Dodatkowym czynnikiem był fakt, iż kolonie albańskie, żyjąc w małych i odizolowanych miejscowościach, zdolne były oprzeć się wpływowi języka włoskiego i kalabryjskiego. Język używany przez Albańczyków mieszkających w Kalabrii do dziś, nazywany jest „brescio”. Alfabet składa się z 36 liter. Ks. Emanuele Giordano di Eianina opublikował *Dizionario degli Albanesi d'Italia*. Dzieło to zawiera ponad 19 000 rzeczowników, zdań, powiedzeń, wierzeń ludowych, wiadomości historycznych, zwyczajów i przysłów mniejszości albańskiej mieszkającej w Kalabrii.

Problematyce kościelnej związanej z obrządkiem grecko-albańskim w diecezji Bisignano poświęcono sporo uwagi podczas synodu w 1630 r. zwołanego przez bp. J. B. De Paola, zaś jeden z dokumentów zatytułowano wprost: *De Albanensibus, seu graeco ritu viventibus*. W świetle dekretów synodalnych, zakazane zostały niektóre zwyczaje związane z kulturą ludową Albańczyków. W miejscowościach, gdzie mieszkała ludność mieszaną (włoska i albańska), jak na przykład w Rota, Albańczykom nakazano przyjęcie zwyczajów łacińskich, aby uniknąć skandali.



Uliczki Acquafarmosa

W Acquafarmosa (Firmoza) i w Lungro czas się zatrzymał. Wąskie uliczki, mieszkańcy siedzący na progach swoich domów i rozmawiający ze sobą w języku arborësch. Nikomu się nigdzie nie spieszy. Zwiedzamy pierwszą kaplicę grecko-albańską dell'Immacolata z XV wieku. Nasz przewodnik, ks. Raggaele Papas, pochodzący z Acquafarmosa, oprowadza nas po miejscowości. Wspinaczka do kaplicy z XIX wieku i zarazem możliwość podziwiania przepięknej panoramy masywu górskiego Pollino. Mieszkańcy pozdrawiają nas i pada zawsze pytanie w języku włoskim: „Skąd jesteście?”. „Z Redne” - odpowiadamy. I za chwilę żywo wymienione uwagi na nasz temat w języku arborësch. „Nie martwcie się” - mówi ks. Papas - „Dobrze o was mówią. Cieszą się, że ktoś ich odwiedził. A tym bardziej, że turystami są studenci teologii wraz z profesorem” (i uśmiech w moją stronę).

Jedziemy do Lungro. Znowu wspinaczka krętymi, wąskimi drózkami masywu Pollino. Podzi-

wiam kierowcę autokaru - niesamowite umiejętności, aby autokarem turystycznym dla 50 osób tak sprawnie manewrować na drodze szerokości jednego, większego samochodu osobowego. A jest to droga dwukierunkowa! Dobrze, że nikt nie jechał z naprzeciwka...

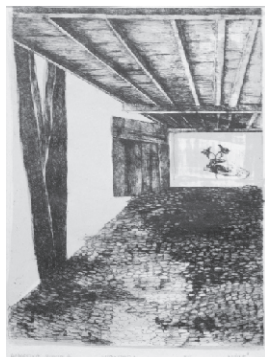


Pomnik Skandenbergą

Lungro. Na głównym placu miasta, obok katedry, pomnik Skandenbergą. Zwiedzamy katedrę i idziemy na spotkanie z biskupem grecko-albańskim Mons. Lupinaccim. Wspaniałe spotkanie, wiele ciekawostek z historii osadnictwa albańskiego. I czas wracać do Rende. Na pamiątkę zostają fotografie i końcowe błogosławieństwo ks. bp. Lupinacciego - naturalnie, w języku arborësch.

Jeśli ktoś z Czytelników będzie w Kalabrii, warto odwiedzić te miejsca.

ks. prof. dr hab. **Artur J. Katolo**
Papieski Wydział Teologiczny Italii
Południowej w Rende (Cs)



Agnieszka Szykuła
- Wyjście

Marek Kusiba

Sen o Siennicy

Przed dwoma laty miałem piękny sen. Podzieliłem się sennym marzeniem z przyjacielem, któremu tej samej nocy przyśniło się prawie to samo. Zdumieni zbieżnością marzeń sennych usiedliśmy do stołu w jego lubelskim domu, z kartką papieru i dwoma długopisami. Zaczęliśmy przerysowywać sen na papier. Wykładowca akademicki Franciszek Piątkowski przepisał zdanie ze zbioru wykładów Ryszarda Kapuścińskiego *Ten Inny: Zatrzymaj się. Oto obok ciebie jest inny człowiek*. Ja wygrzebałem z pamięci cytaty z Cypriana Norwida: (...) *dom mój ruchomy, z wielbłądziej skóry*; tak poeta definiował w *Pielgrzymie* życie w podróży. Na tułaczce po obcych krajach pozostawał od 21 roku życia. W swych peregrinacjach nie ominął także Ameryki. Jego „ruchomym domem” były często sandały ze skóry wielbłąda.

Ryszard Kapuściński reporterskie podróże rozpoczął, gdy miał tyle samo lat, co Norwid. Nie wiem, czy chodził w sandałach po pustyniach Sahelu i piaskach Sahary. Wiem za to, że tuż za progiem jego warszawskiej pracowni stoją poleskie postole, czyli proste łapcie z brzoźowego łyka. Symbolizują nie tylko pasję podróżniczą pisarza. Znany w świecie *Kapu* czerpał z mądrości starych plemion afrykańskich, bo rozumiał, że potrafią one, dzięki przebytnym szlakom, zasłyszonym i przekazany następcom opowieściom, ogarnąć i zrozumieć świat. Poleskie łapcie symbolizują także jego dzieciństwo. Gdy był dzieckiem - w Pińsku, a potem w okolicach okupowanej Warszawy, marzył o drewnianych chodakach, na które musiał zarobić, sprzedając mydełka. Pisał: *Przez całą wojnę moim marzeniem są buty. Mieć buty. Ale jak je zdobyć? Co zrobić, żeby mieć buty? W lecie chodzę boso i skórę na stopach mam twardą jak rzemień*.

Ostatnie lato przed wojną spędził w Pawłowie na Lubelszczyźnie. Byłem tam w poniedziałek i chodziłem wokół otynkowanego dziś domu Józefa Bobki, wujka 7-letniego wtedy Ryśka. Nad okolicą górował zamknięty na cztery zamki i trzy zasuwę potężny, z otwartą raną wyrwanej kłamki, dziwnie martwy kościół. Przypomniał mi się wers z Jana Lechonia: *Wiem, że był tam Pan Bóg, lecz go nie widziałem...* Za to w Gminnym Ośrodku Kultury zobaczyłem trzy 7-letnie aniołki; dziewczynki malowały „panią Lato”. W innej sali siedem osób uczyło się trudnej sztuki garncarstwa. Wojtek P. przeprowadził wywiad z formującymi glinę paniami; zbierał materiał do reportażu o kolejnym zlocie „kapumaniaków” we wsi słynącej do niedawna jedynie z wyrobu garnków i beczek.

My jednak nie przyjechaliśmy tam ani na zlot, ani na kurs ginącej sztuki sprawnych rąk. Przybyliśmy z nieodległej Siennicy Różanej, gdzie od tygodnia trwały zajęcia pierwszej edycji Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego, zorganizowanej pod honorowym patronatem Marszałka Województwa Lubelskiego dr. Krzysztofa Grabczuka. Gdy piszę te słowa, zajęcia jeszcze trwają, studenci dziennikarstwa, polonistyki i politologii z kilku lubelskich uczelni, razem z uczniami z liceów Krasnegostawu i Lublina słuchają wykładów prowadzonych przez profesorów z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, który objął opieką naukową młodych dziennikarzy, rozmawiają z tuzami polskiego dziennikarstwa i artystami, dyskutują do późna w noc o pisaniu i życiu, czytają i omawiają fragmenty twórczości „cesarza reportażu”, uczą się trudnej sztuki zatrudniania słowa - z nie mniejszym wysiłkiem, jak amatorzy trudnej sztuki garncearstwa.

Nie wypada mi pisać o sukcesie, skoro to nasz wspólny z Franciszkiem Piątkowskim pomysł, który nie tylko nam się przyśnił, ale i po dwóch latach starań i zabiegów stał się jawą, przede wszystkim dzięki determinacji Franka. Mogę jedynie napisać o własnej radości z powodu spotkania niezwykle młodej, napawającej także radością i dumą Alicję Kapuścińską, pełniącą w wakacyjnej szkole pisanie funkcję honorowej pani rektor, jak i naukowców, redaktorów i dziennikarzy, łącznie z Wojciechem Giełżyńskim; tak się zachwylił poziomem młodych adeptów pióra i mikrofonu, że zamiast jednego wykładu - dał aż trzy.

Doświadczyłem niezwyklej przygody, intelektualnej i duchowej, dzięki dobroci serca i rozumu naszych gospodarzy: Wójta Gminy Siennica Różana Leszka Proskury, Starosty Powiatu Krasnystaw Janusza Szpaka, pań Anny Fornal i Ireny Zarazy ze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej, jak i dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Siennicy, pani Doroty Bzikot. Franek nie podołałby wyzwaniu, że coś się od nas Ryszardowi Kapuścińskiemu należy, bez tytanicznej pracy jego prawej ręki, Elżbiety Pydy, pracownika UMCS. Mieszkamy w internacie Zespołu Szkół Ministerstwa Rolnictwa, gdzie czuwa nad spokojnym snem naszych studentów dyrektor Jacek Jagiełło, a nad radościami podniebienia - Tomek Badach, prezes OSM Krasnystaw, bez którego uczynności nie byłoby Akademii. Smak pysznych jogurtów i najlepszych w Polsce serków będzie mi się długo śnił w Kanadzie - aż do następnego lata w gościnnej, pięknej i mądrej Siennicy, jak najbardziej Różanej...

Marek Kusiba

Publikacja za: Nowy Dziennik/Przegląd Polski, Nowy Jork 10 lipca 2009.

Wiesław Krajewski

Księżyc, ludzie i słowa

W lipcu minie 40 lat od lądowania człowieka na Księżycu. Między innymi dlatego rok 2009 ogłoszono Międzynarodowym Rokiem Astronomii. Jak doszło do tego fascynującego wydarzenia?

Właściwie lot na Księżyc zawdzięczamy wysiłkowi zbrojeń i atmosferze rywalizacji między wielkimi mocarstwami. To jedna z niewielu pożytecznych rzeczy, jakie stworzyła ta nienormalna sytuacja dekad lat 60. XX wieku.



Prezydent J. F. Kennedy przemawia w Kongresie USA. 25 maja 1961 r.

Idea lotu człowieka na Srebrny Glob została sformułowana przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna. F. Kennedy'ego podczas przemówienia w Kongresie 25 maja 1961 r. I trzeba powiedzieć, że był to wariacki pomysł. Może określenie „wariacki” nie przystoi do powagi urzędu prezydenta USA, ale zastanówmy się chwilę, jaki to był czas? Zaledwie półtora miesiąca wcześniej poleciał w kosmos pierwszy człowiek - Jurij Gagarin. Na początku maja Amerykanie wysłali w kosmos swoją pierwszą misję załogową. Alan Shepard odbył wtedy jednak tylko tzw. lot suborbitalny. Nie okrążył nawet Ziemi. Pierwszym amerykańskim kosmonautą (według nazewnictwa anglosaskiego - astronautą) był John Glenn dopiero 20 lutego 1962 roku! A więc w maju 1961, nie mając jeszcze właściwie żadnych doświadczeń w lotach wokół Ziemi, prezydent Kennedy zapowiada lądowanie człowieka... na Księżycu. I to nie tylko sam lot, ale i powrót oczywiście, określa nawet termin realizacji przedsięwzięcia - przed końcem dekady. Trzeba szaleńca, żeby składać w takim momencie podobne deklaracje. Czy to nie było porywanie się - dobre określenie - z motyką na

Księżyc? Kennedy szaleńcem nie był, ale był wściekły. Co go rozwścieczyło? Fakty. Sukcesy kosmonautyczne Związku Radzieckiego. Pierwszy sztuczny satelita Ziemi - rosyjski Sputnik, pierwszy organizm żywy w kosmosie - собака Łajka, pierwszy człowiek w kosmosie - towarzysz Jurij Aleksiejewicz, pierwszy próbnik Księżyca - radziecka Łuna, pierwsze zdjęcia odwrotnej strony Księżyca - kolejna Łuna z napisem CCCP, pierwszy... Dość tego! Amerykanie byli zszokowani, sfrustrowani, upokorzeni. Mieli już dość bycia na drugim miejscu. Do tego wszystkiego dołożyła się jeszcze klęska w Zatoce Świń na Kubie. Na gwałt potrzebowali sukcesów. Już w 1957 roku, po starcie Sputnika Nikita Chruszczow ogłosił wyższość komunizmu nad kapitalizmem. Prezydent Kennedy musiał czym prędzej udowodnić sobie, swoim rodakom i całemu światu czyj ustrój jest lepszy. Przemawiając 12 września 1962 r. na Uniwersytecie Rice w Houston, powiedział: *Oczy świata zwrócone są dziś w kosmos, na Księżyc, na planety. Zobowiązaliśmy się, że nie dopuścimy, aby zatknął na nich swoją flagę wrogo do innych nastawiony zdobywca, lecz uczynimy wszystko, by załopotał na nich sztandar wolności i pokoju.* To bardzo ważne słowa.

Tak rozpoczął się wyścig na Księżyc. Zaangażowano do pracy setki tysięcy ludzi, przeznaczono miliardy dolarów na badania, próby, konstrukcje, rakiety. Czasu było mniej niż mało - zaledwie 8 lat. Najpierw program wokółziemskich jednoosobowych statków Merkury, potem dwuosobowe loty Gemini, do tego loty bezzałogowe serii Ranger, Surveyor i Lunar Orbiter, wreszcie próby statków Apollo mających lądować na Księżycu. Największy problem, a może po prostu jeden z wielu największych problemów, to budowa rakiety zdolnej do takiej podróży. Rozwiązał go Werner von Braun, budując kolosa o wysokości 111 metrów i wadze 3 000 ton. Już choćby to pokazuje z jakimi wyzwaniem należało się zmierzyć.



Logo programu Apollo.

Zacząło się fatalnie. Tragicznie. Najgorzej, jak tylko mogło. Podczas ćwiczeń w dniu 27 stycznia 1967 roku następuje pożar w kabinie Apolla 1. Ginie cała trzyosobowa załoga: Virgil Grissom, Edward White i Roger Chaffee. Wystarczyła iskra. Nie mieli żadnych szans. Kabina wypełniona była czystym tlenem. Ten wypadek opóźnił prace o wiele miesięcy. Potem były kolejne próby i testy, wyczerpujące ćwiczenia, sprawdzanie różnych koncepcji i założonych etapów podróży. Następny (właściwie pierwszy) załogowy lot - w statku Apollo 7 - nastąpił w październiku 1968 roku. A do końca dekady pozostało tylko 2 lata...

Trzeba było się spieszyć. Realne zagrożenie ze strony Rosjan istniało. Przed Bożym Narodzeniem 1968 leci kolejna załoga - Apollo 8. I jest pierwszy ważny sukces. Rankiem 24 grudnia statek Apollo wchodzi na orbitę okołoksiężycową, tym samym lecący nim astronauta stali się pierwszymi ludźmi, którzy opuścili orbitę wokółziemską i odwiedzili inne ciało niebieskie. Był to lot absolutnie niezwykle. Załoga była świadkiem czegoś, czego jeszcze nikt nigdy nie widział: zafascynowani oglądali z orbity wschód Ziemi nad horyzontem księżycowym. Jeden z nich - Frank Borman - powiedział wtedy: *To jest najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem, zapierający dech w piersiach.* Proszę zwrócić uwagę na te cytaty. Będzie ich więcej. To są jedne z najważniejszych słów wypowiedzianych w XX wieku! Ale oni nie tylko mówili. Robili zdjęcia. Wiele zdjęć. Każdy podróżnik chce fotografować piękne widoki. Zwróćcie uwagę na te zdjęcia! To są najwspanialsze fotografie ubiegłego stulecia!



Wschód Ziemi nad horyzontem Księżyca.

Podczas tego lotu wydarzyło się jeszcze coś zupełnie wyjątkowego. Coś o nieprawdopodobnym ładunku emocjonalnym. W Wigilię Bożego Narodzenia, podczas transmisji telewizyjnej, załoga Apolla 8 nadała przesłanie do wszystkich ludzi na Ziemi. Przesłanie to zaskoczyło każdego.

Pilot William Anders rozpoczął czytać: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem...* następne wersy czytał Jim Lovell, kolejne - dowódca Frank Borman, który zakończył, przekazując życzenia świąteczne: *Niech Bóg błogosławi was wszystkich - wszystkich na tej dobrej Ziemi.* A na ekranach telewizorów majaczył widoczny przez iluminator skrawek Księżyca. To było niesamowite - astronauta okrążający Księżyc, jako przesłanie dla ludzi na Ziemi czytają Księgę Rodzaju.

Kolejne ćwiczenia, kolejne loty. Nadchodzi czas na Apollo 11. Start: 16 lipca 1969. Załoga: Neil Armstrong, Michael Collins, Edwin Aldrin. Cel: Księżyc. Widzowie: cały świat.



Załoga Apolla 11 - Neil Armstrong, Michael Collins, Edwin Aldrin.

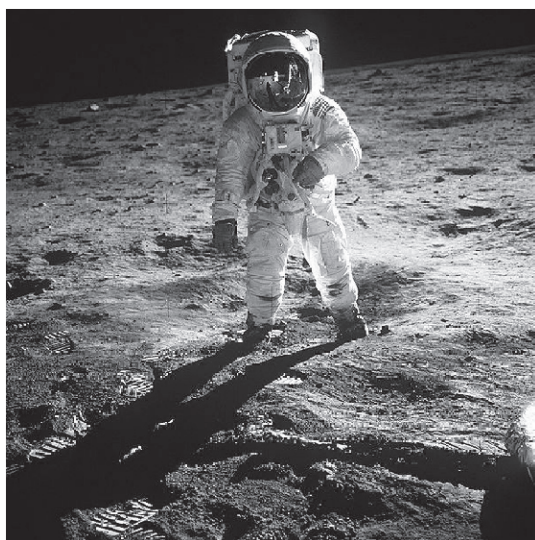
Wszystko przebiega zgodnie z planem. Jest niedziela, 20 lipca, godzina 16.17 czasu wschodnioamerykańskiego. Do Centrum Kontroli Lotów w Houston dociera meldunek Neila Armstronga: *Houston, tu Baza Spokoju. Orzeł wylądował.* Kolejne historyczne słowa. Za kilka godzin następuje wyjście na Srebrny Glob. W Polsce jest już 21 lipca, godzina 3.56, kiedy Neil Armstrong stawia pierwszy krok na powierzchni Księżyca. Towarzyszą temu znów znamienne słowa: *To jest mały krok człowieka, ale wielki skok dla ludzkości* (w oryginale: *It's one small step for a man, but one giant leap for mankind*). Czyż nie są to najważniejsze słowa dekady lat 60. XX wieku? A zdjęcia z historycznego, dwugodzinnego spaceru po Księżycu ukazały się na pierwszych stronach wszystkich gazet świata.

Ten krok i pierwsze skoki po Księżycu obserwuje pół miliarda ludzi na Ziemi w bezpośredniej transmisji. Wśród nich byłem i ja. Właśnie mija 40 lat od tego czasu, a ja ciągle wspominam jak wpatrywałem się w środku nocy w niewyraźny czarno-biały obraz na ekranie telewizora. Obraz nie z tej Ziemi. Z Księżyca.



Odcisk buta Neila Armstronga na powierzchni Księżyca.

Polska to jedyny kraj tzw. demokracji ludowej, w którym przeprowadzono transmisję na żywo. Wczujmy się w atmosferę tamtych dni, czytając następne niezapomniane słowa pierwszych „księżycowych turystów”. Armstrong: *Oto Księżyc... Jego surowe piękno robi wrażenie.* Surowe, bo co oni tam zastali - pustynię szarego pyłu i drobnych kamieni. A jednak dla nich był to cudowny widok. Aldrin: *Tu jest pięknie, pięknie! Wspaniałe pustkowienie!* Te słowa nie wymagają komentarza.



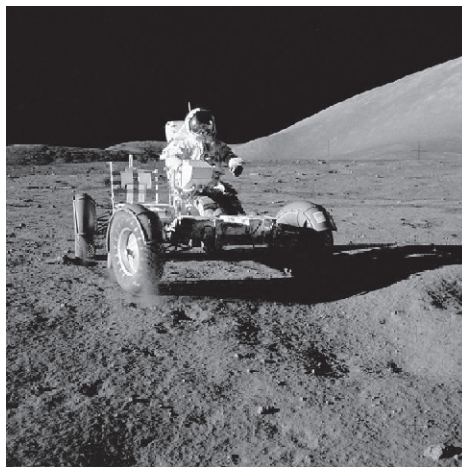
Edwin Aldrin na Księżycu.

W tych dniach powstało nowe określenie - *lunonauta* lub *selenonauta*. Wyras *astronauta* stał się już mało precyzyjny. Pierwsi lunonauce zostawili na Księżycu plaketkę z napisem: *W tym miejscu ludzie z planety Ziemia po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu. W lipcu Roku Pańskiego 1969. Przybywamy w pokoju w imieniu całej ludzkości*. Potem była droga powrotna i wodowanie na Oceanie Spokojnym. Witając załogę Apolla 11 na pokładzie lotniskowca Hornet, prezydent Nixon zwrócił się do nich słowami: *Jest to największy tydzień w historii świata od momentu jego stworzenia. Dotąd nic tak nie zbliżyło ludzi do siebie*. Pamiętny tydzień, pamiętne słowa.

A więc cel nakreślony przez prezydenta Kennedy'ego został zrealizowany. Flaga amerykańska została wbita w grunt księżycowy. Sukces był bezsporny. Nie pozostawiał żadnych złudzeń. To było wielkie, ale to wielkie wydarzenie w historii całej ludzkości. Może największe. Następne loty programu Apollo były tylko jego przypieczętowaniem. Nawet poważna awaria podczas misji Apolla 13, która uniemożliwiła lądowanie na Księżycu, okazała się sukcesem. Ogromnym sukcesem w tej skrajnie trudnej sytuacji było bezpieczne sprowadzenie załogi z powrotem na Ziemię. Wszyscy przypominają sobie trzy zaledwie słowa, które przeszły do historii, wypowiedziane przez astronautę Johna Swigerta w chwilę po wybuchu zbiornika z tlenem: *Houston, mamy problem*. Słowa pełne niepokoju, obawy. Te słowa też obiegły cały świat. A już po szczęśliwym powrocie, dowódca Jim Lovell oznajmił: *Nasza misja się nie powiodła, ale uważam, że było to poniekąd udane niepowodzenie*.

Skoło już tyle o słowach, warto przytoczyć jeszcze zdanie wypowiedziane przez Pete Conrada z załogi Apolla 12, tuż po zrobieniu przez niego pierwszego kroku na Księżycu. Conrad odezwał się wtedy ze sporą dozą humoru: *To może był mały kroczek dla Neila, ale dla mnie jest bardzo duży*. Nie są to może aż tak historyczne słowa, ale przecież wypowiedział je jeden z zaledwie dwunastu selenonautów.

Następne wyprawy na Księżyc nie dostarczały już takich wrażeń, jak te pierwsze, mimo że też wydawały się medialnie atrakcyjne. Astronauce używali najpierw ręcznego wózka, a potem mieli specjalny pojazd (uboższa wersja dzisiejszego quada o napędzie elektrycznym), którym przemierzali nawet kilkadziesiąt kilometrów księżycowych bezdroży. A dowódca wyprawy Apollo 14 - Alan Shepard, jako pierwszy człowiek grał nawet na Księżycu w golfa. Wybił dwie piłeczki, z których druga w słabym polu grawitacyjnym poszybowała bardzo daleko. Shepard zawołał wtedy: *Poleciała kilometry, kilometry w dal!* Pewnie nie były to zaraz kilometry, ale żaden ziemski golfista nie może tak powiedzieć, nie może nawet o tym pomarzyć.



Księżycowy wehikuł ostatniej misji - Apollo 17.

Historię tworzą ludzie. Ludzie, którzy tworzą historię, wypowiadają historyczne słowa. Słowa, które przechodzą do historii świadczą o ich czynach. Lądowanie człowieka na Księżycu było niebywałym osiągnięciem. Cel został zrealizowany. Skończył się program Apollo, skończyły się loty na Księżyc. Przywiezione wtedy próbki gruntu księżycowego do dziś są ciągle badane. To materialne okruchy Księżyca, ale są jeszcze i te bardziej duchowe w postaci wielkich słów i niezwykłych zdjęć, które pamiętamy.

Wiesław Krajewski

Andrzej David Misiura

Chwila

nie zaniósłem pogodnego spojrzenia
nie zdążyłem pogadać o niczym
pan ci wygładził zmarszczki
a we wspomnienia obrócił oczy

popłynęła moja cząstka
gdzie się schronić godzę
pod bulwar pamiętnego miasta
tam dawno wszyscy na spacerze

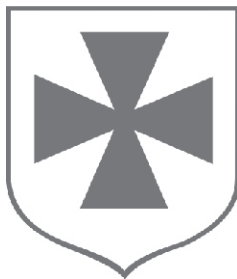
chwila czysta jak święto
światło zaciągnęło rzadką sieć
krótko błysnęły okna kamienicy

i ty

**POWIAT
KRASNYSTAW**



Gmina Izbica



**Gmina
Kraśniczyn**



22-300 Krasnystaw
ul. Mostowa 39
tel./fax (082) 576 68 87
www.hotelrapa.com.pl
e-mail: hotrapa@ch.onet.pl

Hotel RAPA

oferujemy
wypoczynek w przytulnych
i dobrze wyposażonych pokojach
oraz smaczną kuchnię.

Restauracja *Nostalgia*

Organizujemy
imprezy okolicznościowe

30/06/2005

tel.: 604 53 64 45 www.parpolmeble.pl parpolmeble@o2.pl

MEBLE NA ZAMÓWIENIE

- Wysokiej jakości z 25 letnim doświadczeniem
- Pomiar i profesjonalny projekt gratis
- Meble w półtora tygodnia
- Dla naszych klientów AGD w atrakcyjnych cenach

SALONY

- JACKÓW 14A, 21-007 MEŁGIEW
- LUBLIN, ul. ZEMBORZYCKA 96
- KRASNYSTAW, ul. T.KOŚCIUSZKI



KUCHNIE TWOICH MARZEŃ

**MIEJSCE
NA TWOJĄ
REKLAMĘ**

FIRMA
GRANDNET
Barbara Rogowska

ul. Czysta 16
22-300 Krasnystaw
NIP 564-000-40-21

biuro: tel. (082) 576 10 70
576 71 11
0-509 965 921

Oferujemy:

RTV
AGD
Komputery
Rowery
Pilarki
Kosiarki
Meble

CYFRA +

SPRZEDAŻ - MONTAŻ - SERWIS



Ulotki
Foldery
Kalendarze
Etykiety
Książki z numerem ISBN
Druki według zamówienia
Oprawy introligatorskie

DRUKARNIA
I WYDAWNICTWO „ROMAR”
ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw
tel. 082 576 12 75, kom. 0 605 594 813

CHEMIA GOSPODARSTWO DOMOWE * FARBY	HURT DETAL DOM HANDLOWY „KRASNAŁ”	Art. dla DZIECI WÓZKI * ŁÓŻECZKA * ZABAWKI
Krasnystaw, ul. Piłsudskiego 2	~ wózki dziecięce ~ łóżeczka ~ zabawki ~ ubranka ~ chemia gospodarcza	



poleca:

- ~ śniadania
- ~ obiady
- ~ kolacje
- ~ bankiety
- ~ przyjęcia okolicznościowe

22-300 Krasnystaw, Tuligłowy 2, tel. 082 576 47 55

Galeria jednego obrazu

Galeria jednego obrazu



Agnieszka Szykula



Agnieszka Szykuła

Agnieszka Szykuła - urodzona w 1980 r. w Szczepleszynie. Ukończyła Liceum Plastyczne im. Bernarda Morando w Zamościu (specjalizacja - tkanina artystyczna). Absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS (dyplom z grafiki warsztatowej - litografia) i historii sztuki KUL.

Obecnie mieszka w Łabuńkach, koło Zamościa. Pracuje jako redaktor odpowiedzialny Zamojskiego Kwartalnika Kulturalnego. W kręgu jej zainteresowań pozostaje sztuka i kultura Zamojszczyzny. Zajmuje się pisaniem ikon, uprawia malarstwo olejne i rysunek. Jej prace znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.

